

24257 *42*

Jadwiga Kołodziejska

Szerokie okno biblioteki

WYDAWNICTWO

SBP



NAUKA - DYDAKTYKA - PRAKTYKA



Jadwiga KOŁODZIEJSKA jest bibliotekoznawcą. W latach 1968-2000 była kierowniczką Instytutu Książki i Czytelnictwa Biblioteki Narodowej. Od 1998 r. jest wykładowcą w Instytucie Informacji Naukowej i Studiów Bibliologicznych Uniwersytetu Warszawskiego oraz członkiem

Krajowej Rady Bibliotecznej. W 1954 r. ukończyła studia magisterskie w Zakładzie Bibliotekoznawstwa Uniwersytetu Warszawskiego. W 1967 r. uzyskała stopień doktora na tymże Uniwersytecie. W 1974 r. uzyskała stopień dr hab. w Instytucie Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej Uniwersytetu Wrocławskiego. W 1986 r. otrzymała tytuł profesora nadzwyczajnego.

Opublikowała ok. 700 artykułów, recenzji, felietonów, w tym 18 książek. Współpracuje stale z „Notesem Wydawniczym” i „Nowymi Książkami”.

Jest prezesem Polskiego Towarzystwa Czytelniczego, członkiem Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich i członkiem the International Development in Europe Committee of the International Reading Association.

Profesor Jadwiga Kołodziejska jest miłośniczką gór, lubi muzykę klasyczną, literaturę pamiątkarską, dobry film i towarzystwo przyjaciół.

Szerokie okno biblioteki

*Pamięci
Profesora Jiřego Cejpka*

Polish Librarians Association

SCIENCE-DIDACTICS-PRACTICE

Jadwiga Kołodziejska

**BROAD WINDOW
OF THE LIBRARY**

WYDAWNICTWO



Warsaw 2006

Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich
NAUKA-DYDAKTYKA-PRAKTYKA

Jadwiga Kołodziejska

**SZEROKIE OKNO
BIBLIOTEKI**

WYDAWNICTWO

SBP



Warszawa 2006

Komitety Redakcyjny serii wydawniczej
<<NAUKA-DYDAKTYKA-PRAKTYKA>>

Marcin DRZEWIECKI (przewodniczący), Stanisław CZAJKA, Artur JAZDON,
Barbara SOSIŃSKA-KALATA, Danuta KONIECZNA, Krzysztof MIGOŃ,
Mieczysław MURASZKIEWICZ, Janusz NOWICKI (sekretarz), Joanna
PAPUZIŃSKA-BEKSIK, Wanda PINDŁOWA, Maria PRÓCHNICKA,
Jadwiga SADOWSKA, Barbara STEFANIAK, Elżbieta STEFAŃCZYK,
Hanna TADEUSIEWICZ, Zbigniew ŻMIGRODZKI

**Publikacja dofinansowana przez Instytut Informacji Naukowej
i Studiów Bibliologicznych Uniwersytetu Warszawskiego**

Recenzent
Marcin DRZEWIECKI

Redakcja techniczna i korekta
Anna LIS

© Copyright by Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich

ISBN 83-89316-57-9

CIP – Biblioteka Narodowa
Kołodziejska, Jadwiga

Szerokie okno biblioteki / Jadwiga Kołodziejska ; Stowarzyszenie Bibliotekarzy Pol-
skich. - Warszawa : Wydawnictwo SBP, 2006. - (Nauka, Dydaktyka, Praktyka ; 80)

10.10.06; 4p SBP; 28.00,-

SPIS TREŚCI

WSTĘP	7
Rozdział I	
RZUT OKA W PRZESZŁOŚĆ	17
Rozdział II	
BIBLIOTEKARSKIE KONTAKTY POLSKO-CZESKIE	29
Rozdział III	
JAK TO BYŁO NA POCZĄTKU	39
Rozdział IV	
ZMAGANIA Z ANALFABETYZMEM	49
Rozdział V	
ELITARNOŚĆ I POWSZECHNOŚĆ CZYTANIA	63
Rozdział VI	
CZYTANIE – PISANIE – KRYTYCZNE MYŚLENIE	77
Rozdział VII	
SPOŁECZNE FUNKCJE BIBLIOTEK PUBLICZNYCH	89
Rozdział VIII	
KANON LITERACKI WE WSPÓŁCZESNYM OBIEGU CZYTELNICZYM ..	103
Rozdział IX	
PAŃSTWO OPIEKUŃCZE – GOSPODARKA RYNKOWA – BIBLIOTEKI ...	119
Rozdział X	
PRZEKLEŃSTWO CENZURY	133
Rozdział XI	
OKNO NA PODWÓRZE CZY SZYBA PANORAMICZNA	149
BIBLIOGRAFIA	161

CONTENTS

INTRODUCTION	7
Chapter I	
GLANCE IN THE PASTE	17
Chapter II	
POLISH-CZECH LIBRARIAN'S CONTACTS	29
Chapter III	
HOW IT WAS IN BEGINNING?	39
Chapter IV	
STRUGGLES WITH ILLITERACY	49
Chapter V	
ELITISM AND COMMONNESS OF THE READING	63
Chapter VI	
READING – WRITING – CRITICAL THINKING	77
Chapter VII	
SOCIAL FUNCTIONS OF THE PUBLIC LIBRARIES	89
Chapter VIII	
LITERACY CANON IN THE CONTEMPORARY READER'S CIRCULATION ..	103
Chapter IX	
PROTECTIVE STATE – MARKET-ECONOMY – LIBRARIES	119
Chapter X	
CURSE OF THE CENSORSHIP	133
Chapter XI	
BROADLY OPEN WINDOW OR PANORAMIC WINDOW PANE	149
REFERENCES	161

Wstęp

Pomysł napisania tej książki zrodził się przypadkowo, podczas zajęć konwersatoryjnych z grupą studentów zaocznych w Instytucie Informacji Naukowej i Studiów Bibliologicznych Uniwersytetu Warszawskiego. Wśród kilku dyskutowanych tematów, jeden wywołał szczególnie żywy oddźwięk. „Widziane z okna biblioteki”, tak brzmiał jego tytuł. Był on pewnym ryzykiem, bo, to co tak naprawdę można zobaczyć z bibliotecznej perspektywy i czy to, co jest widoczne odpowiada rzeczywistości, czy nie jest wynikiem naszych subiektywnych ocen. Okazało się jednak, że są one wielce zróżnicowane. Jednym rzuca się w oczy bliższe otoczenie, w którym widoczne są odnowione bloki mieszkalne i parking samochodowy, na którym nie ma już maluchów, widoczny jest trzepak i ławeczka, przy której gromadzą się mężczyźni bez pracy. Nie słychać dzieci grających w dwa ognie, gdzieś się poukrywały. Pewnie oglądają telewizję i buszują w Internecie.

Z biblioteki wiejskiej widać nowo założoną kanalizację i gazociąg. To wielkie zmiany. Podobnie jak nowe domy i ukwiecone ogródki. Do biblioteki przychodzą mali czytelnicy, których rodzice pracują sezonowo za granicą. Te wyjazdy za chlebem mają swoją cenę. Co z tego, że rodzice kupują dzieciom telefony komórkowe, odtwarzacze a nawet komputery, jeżeli mają one słabe wyniki w nauce i jak nie muszą, to nie czytają.

Bibliotekarki, zwłaszcza te z dłuższym stażem dostrzegają zmiany społeczne i chciałyby przystosować do nich organizację bibliotek. Stąd za-

biegi wokół pozyskania lokalu na czytelnię, w której dzieci mogłyby odrabiać lekcje, większe środki na zakupy nowości wydawniczych, na spotkania z autorami piszącymi dla dzieci, dostęp do Internetu itp. Bibliotekę traktują jak gospodarstwo, o które trzeba dbać i stale je unowocześniać.

Bywa, choć rzadko, że z okna biblioteki widać jesień, mieniący się kolorami park, odpoczywających na ławeczkach spacerowiczów i że wszystko to skłania do zadumy i pozwala osiągnąć wewnętrzny spokój.

Najmniej widoczne z okna biblioteki są zjawiska szersze wykraczające poza środowisko lokalne. Inaczej mówiąc, to, co dzieje się w kraju i w szerokim świecie. W czasie konwersatoryjnych dyskusji bibliotekarki dowiodły, że wiedzą czym jest globalizacja, powiązana z wysoką techniką, jaki wpływ na pracę bibliotek ma kultura popularna i wiele innych, bardziej szczegółowych zjawisk, jak chociażby wydłużenie się życia ludzkiego, starzenie się społeczeństwa, załamanie się opieki zdrowotnej, bezrobocie i duża sfera ubóstwa, kłopoty systemu oświaty itp.

Najtrudniejsze okazało się jednak powiązanie i sformułowanie prawidłowych wniosków z tego, co można dostrzec gołym okiem a tym, co jest poza zasięgiem naszego bezpośredniego doświadczenia. Prawie każdy, kto próbuje na bieżąco orientować się w tym, co się dzieje w jego najbliższym otoczeniu i tym dalekim (europejskim, afrykańskim, południowoamerykańskim) musi dokonywać selekcji w zalewających go informacjach i wybierać tylko najistotniejsze, bez przekonania, że to one są najbliższe prawdy. Dotyczy to głównie problemów społecznych, niestabilnych i często zaskakujących, z pozoru niekonsekwentnych i trudno przewidywalnych. Mimo tych trudności w pracy tej będziemy się starali wskazać te zjawiska, które będą w bliższej i dalszej przyszłości wpływały na rozwój naszego społeczeństwa, w tym również na pracę bibliotek. Na tyle, by widoczna z okna biblioteki grupka bezrobotnych nie była czymś wyjątkowym, ale miała swoje odniesienia szersze, właśnie globalne. Proponujemy czytelnikom tej książki skupienie uwagi na kilku problemach.

Jako pierwszy i najważniejszy należy wymienić globalizację widoczną w trzech sferach: ekonomicznej, kulturalnej i technicznej. Ta pierwsza staje się już widoczna dla przeciętnego obserwatora i polega na rozwijaniu ekonomii wysokiej wydajności i równie wysokiej technologii (high technology), które to umożliwiają rozwój nieznającego granic wolnego

handlu. „Obecnie – piszą Hans-Peter Martin i Herald Schumann – to nie ideologie, ani kultura pop, czy międzynarodowe organizacje, ani nawet ekologia łączą ze sobą narody świata, lecz elektronicznie zsynchronizowana, otaczająca kulę ziemską, finansowa maszyna banków, ubezpieczeń i funduszy inwestycyjnych”¹. To wszystko wydaje się dalekie i ponad naszymi głowami. To, czego można doświadczyć jest znacznie bliżej. Nasze wstąpienie do Unii Europejskiej to nie tylko dopłaty dla rolników, czy fundusze na budowę autostrad. Otwarcie granic, swoboda podróżowania ma nie tylko znaczenie turystyczne, ale również ekonomiczne i to w wymiarze pojedynczych ludzi. Młody człowiek mający plantację truskawek pod Myślenicami zatrudnia przy ich zbiorze Ukraińców i o świcie wiezie je samochodem dostawczym do Terchovej (Mała Fatra) na Słowacji. Wiadomo, że w górach owoc ten jest rarytasem, więc go sprzedaje w godzinę i wraca po nowy transport. Granicę przekracza na dowód osobisty i nikt mu do kobiałek nie zagląda. Ukraińcy zarobili grosz, właściciel zbył towar zamiast wystawać godzinami w punkcie skupu, a „babički” w Terchowej nasmażyły konfitur i dżemów i wszyscy są zadowoleni. To jest taka mała globaliacja na miarę zwykłych ludzi.

Tak więc skutki globalizacji mogą być rozmaite, zarówno dobre, jak i złe. Nas interesuje głównie, jaki wpływ mają te procesy na rozwój bibliotekarstwa oraz całej sfery kultury zarówno tej elitarnej, jak i popularnej. Bibliotekarze widzą (i nie tylko oni), że jedną z głównych konsekwencji demokracji, globalizacji jest wycofywanie się państwa nie tylko ze sfery gospodarczej, ale również tradycyjnych funkcji, takich jak ochrona zdrowia, opieka społeczna, świadczenia socjalne, edukacja, kultura i poddanie ich mechanizmom rynkowym. Płacić czy nie za studia i za jakie, dopłacać do leczenia, do leków, ograniczyć pomoc dla samotnych matek, dopłacać do produkcji filmowej i z jakich źródeł utrzymywać teatr, czy go z braku środków po prostu zamknąć itp. Demokratyzacja usług socjalnych i innych przerosła dziś możliwości finansowe nawet bogatych państw.

Biblioteki, tak jak i inne instytucje kultury były przez cały XX w. beneficjentami państwa opiekuńczego (welfare state). Klasycznym i wręcz wzorcowym tego przykładem były kraje skandynawskie, gdzie rządzą-

¹ H. P. Martin, H. Schumann: *Pułapka globalizacji*. Wrocław 2000 s. 61-52.

ce partie socjaldemokratyczne starały się zapewnić wszystkim obywatelom dostęp do książki i upowszechniać piśmiennność. Historia nie dała nam w tym zakresie szansy. W okresie międzywojennym państwo było po prostu biedne i targane różnymi sprzecznościami ideologicznymi, etnicznymi i narodowościowymi. Gwoli sprawiedliwości trzeba stwierdzić, że w państwie gospodarki planowej, jakiemu byliśmy poddani przez pół wieku, dzięki zasadom centralnie prowadzonej redystrybucji wypracowanych środków, biblioteki publiczne mogły utrzymywać pewien status materialny, a bibliotekarze mieć poczucie bezpieczeństwa w zachowaniu miejsca pracy. Oczywiście pod warunkiem, że nie sprawiali władzy kłopotów, a ujmując rzecz dosadniej, nie angażowali się politycznie.

Ekonomiczne procesy globalizacyjne nie byłyby możliwe bez udziału wysokiej techniki (high technology). Wirtualny przepływ pieniądza bankowego, powstanie ponadnarodowych firm i korporacji, ich ekspansja w poszukiwaniu nowych rynków zbytu i taniej pracy, nowe technologie w zakresie komunikacji, komputeryzacja niemal wszystkich dziedzin życia, Internet i telefonia komórkowa wszystko to sprzyja nie tylko gospodarce, ale również kulturze popularnej upowszechnianej przez środki masowego przekazu, głównie telewizję, a ostatnio Internet.

W przeciwieństwie do literatury pięknej głównie kanonicznej, której główną cechą jest pierwiastek narodowy, treści kultury popularnej mają charakter uniwersalny. Sprzyja temu globalizujący się rynek wydawniczy. Podobnie jak w innych dziedzinach gospodarczych sterują nim wielkie koncerny wchłaniając systematycznie mniejsze przedsiębiorstwa. Niezależnie od ekonomicznych przekształceń słowo drukowane jest nadal obecne w kulturze i nic nie wskazuje na to, by łatwo ustąpiło miejsca obrazkom. I w tym kryje się szansa kontynuowania ciągłości działania dla bibliotek, zarówno w bliższej, jak i w dalszej perspektywie.

Czwartym (po globalizacji, wysokiej technologii i kulturze popularnej) elementem mającym znaczenie dla rozwoju bibliotek są dramatyczne podziały i zróżnicowania między bogactwem i biedą. Nie jest to wyłącznie polska specjalność. Ostatnie doświadczenia w Nowym Orleanie dowiodły, że nawet w tym najbogatszym kraju, jakim są niewątpliwie Stany Zjednoczone sfery ubóstwa są rozległe. Oczywiście, to co stało się udziałem tego milionowego państwa po przejściu tajfunu Katerina nie

da się porównać z podobnymi katastrofami w Azji czy Afryce, ale obnażyły one sytuacje społeczne, o których niewiele się mówiło.

Dystanse społeczne w Polsce przekładają się nie tylko na wysoki procent bezrobocia (ok. 20), niski poziom dochodów, konieczność dożywiania 30% dzieci w szkołach, ale również nierówności w dostępie do oświaty, opieki lekarskiej, pomocy społecznej itp. Ta nierówność dotyczy zarówno miasta jak wsi. Mamy 1,8 mln osób związanych z rolnictwem. 20% gospodarstw wytwarza około 80% żywności na rynek wewnętrzny, to co zjadamy, 50% gospodarstw produkuje żywność na własne potrzeby. 300-400 tys. gospodarstw sprzedaje na rynku wewnętrznym i eksportuje pozostałe 20% żywności.

Produkt krajowy brutto (PKB) stanowi dla wsi 6116 dol., zaś dla miasta 8892 dol. Ludzie żyjący poniżej minimum socjalnego stanowią na wsi 62,5%, w mieście 42,7%. Żyjący w skrajnym ubóstwie stanowią na wsi 8,7%, zaś w mieście 3,3%². Nie może przeto dziwić fakt, że na wsi wydatki na zakup książek są minimalne, podobnie na dzienniki i czasopisma. Według danych GUS w 2001 r. rolnicy wydali rocznie na książki i inne wydawnictwa niecałe 2 zł (1,83 zł). Nawet w grupie emerytów i rencistów, traktowanych w publicystyce jako jedna z uboższych grup społecznych wydatki te były dwukrotnie większe (4,86 zł). W gospodarstwach rolniczych wydatki na kulturę wyniosły w tymże roku 111,72 zł, dwa razy mniej niż w gospodarstwach emerytów i rencistów (244,68 zł). W strukturze wydatków na kulturę najczęściej pochłonęły opłaty za abonament telewizyjny i radiowy (22,99 zł). Na zakup gazet i czasopism wydano 17,62 zł³.

837 tys. dzieci w wieku przedszkolnym, mieszkających w większości na wsi nie uczęszcza do przedszkoli – pisze Ewa Nowakowska, a to oznacza, że będą miały gorszy start szkolny i mniejsze szanse edukacyjne. Zespół do spraw Wczesnej Edukacji powstały przy Instytucie Spraw Publicznych próbuje coś na to poradzić. Nie jest to proste zadanie wobec zdewastowanej sieci przedszkoli. Na koniec lat osiemdziesiątych było w Polsce 26 500 przedszkoli, w latach 2001-2002 r. już tylko 8176, z czego 2869 na wsi. Podziały w dostępie do edukacji przedszkolnej

² B. Fedyszak-Radziejowska: *Przepchnęliśmy na wieś biedę*. „Przegląd” 2003 nr 10.

³ *Kultura 2001*. Główny Urząd Statystyczny Warszawa 2002 s. 70.

mają nie tylko wymiar ogólnokrajowy, ale również regionalny. Na przykład w województwie podlaskim edukacją przedszkolną objętych jest ogółem 19% dzieci w wieku 3-5 lat, ale na wsi tylko 5%, w powiecie suwalskim jest tylko jedno przedszkole, a w sejneńskim dwa. Ale za to wielkowiejskie prywatne przedszkola płatne 1000 zł miesięcznie, zapewniają dzieciom edukację w małych grupach, naukę języków obcych, sporty, opiekę: lekarską, logopedy i psychologa.

W większości krajów europejskich wychowanie przedszkolne traktowane jest jako pierwszy etap edukacji. Do przedszkoli uczęszcza 80-90% dzieci, w większości bezpłatnie, a programy zatwierdzają resorty edukacji. Pracownicy przedszkoli muszą mieć specjalistyczne kwalifikacje, a ich zarobki w porównaniu z polskimi wynoszą 3:1 albo 4:1⁴.

Według opinii Rady Edukacji Narodowej w polskim systemie oświaty nadal brak czytelnych etapów edukacyjnych. Brak również rozwiązań tworzących warunki dla uznania wychowania przedszkolnego za pierwsze ogniwo systemu powszechnej edukacji. Tymczasem właśnie przedszkole odgrywa kluczową rolę w przezwyciężeniu społecznych nierówności i otwieraniu szans edukacyjnych przed dziećmi pochodzącymi ze środowisk o niskich aspiracjach edukacyjnych⁵.

I tu zaczyna się ważna rola społeczna bibliotek publicznych, które podejmują działania zbliżone do tego, co robi przedszkole. W środowiskach wiejskich i małomiejskich, również w wielkich miastach widoczne są utalentowane, wykształcone i kreatywne młode kobiety, które zaznaczają swoją obecność w różnych dziedzinach. Miejmy nadzieję, że w bibliotekarstwie też. Może tylko z tą różnicą, że tu bardziej widoczne będą osoby w średnim wieku, z dużym doświadczeniem organizacyjnym i praktycznym sprzyjającym modernizowaniu bibliotek, ale w rozsądnych, zgodnych z uwarunkowaniami lokalnymi, granicach.

Studia zaoczne są niepowtarzalną okazją do przekroczenia granic wyznaczonych przez praktykę zawodową, do spojrzenia na wiele zjawisk z szerszej perspektywy, do poszukiwań w lekturach i kontaktach z pracownikami akademickimi przyczyn, dla których ta codzienna biblioteczna rzeczywistość kształtuje się dobrze lub byle jak. Studentki-

⁴ E. Nowakowska: *Powiedz Jasiu, powiedz Olu*. „Polityka” 2003 nr 6.

⁵ *Obywatelska odpowiedzialność za edukację narodową*. Biuro Rzecznika Praw Obywatelskich. Warszawa 2003 s. 22.

bibliotekarki zaoczne już po kilku latach zaczynają się swobodnie poruszać w takich niełatwych przecież problemach jak globalizacja, zmiany w strukturze społecznej, rola mediów, znaczenie nowych technologii informacyjnych, kształtowanie się zainteresowań czytelniczych itp.

Na zorganizowanym przez Bibliotekę Narodową seminarium „Dziecko i książka” zmiany w środowisku bibliotekarskim były widoczne gołym okiem. Wzięło w nim udział ponad 200 bibliotekarek z całej Polski. Wykształcone, modnie ubrane, tworzą zupełnie inną jakościowo grupę polskiej inteligencji, która nie ma ambicji przekształcania świata, ale w swoim środowisku lokalnym robi pożyteczną i odpowiedzialną pracę. To one wprowadzają cierpliwie rok po roku najmłodsze generacje do uczestnictwa w kulturze. Czytają na głos najmłodszym, opowiadają bajki, śpiewają i tańczą z dziećmi, jak trzeba to ucierają nosy. Mają wręcz nieprzebrane pomysły, by zainteresować maluchów książką. Zapraszają na spotkania pisarki, prowadzą konkursy i wywiady z mikrofonem, organizują przedstawienia teatralne, zachęcają do malowania, lepienia, gry na różnych starych instrumentach itp. To jest ta profesjonalna inteligencja, która tworzy w środowiskach lokalnych na wsi i w małym mieście klimat sprzyjający zainteresowaniu książką i oto przecież chodzi, i to jest najważniejsze.

We wsi Długosiodło położonej na Białych Kurpiach, a więc niebogatej części kraju, bibliotekarka włączyła swoich małych czytelników w międzynarodowy program dla dzieci i młodzieży pod nazwą 4-H. Te cztery H są nazwami angielskimi, bo i ruch przywędrował do nas w początkach lat dziewięćdziesiątych ze Stanów Zjednoczonych. „Hands” znaczy tyle, co umiejętności, „Head” to wiedza i myślenie, „Heart” odpowiada uczuciom i wartościom, a „Health” to po prostu dbanie o zdrowie zarówno własne, jak i innych. Głównym hasłem tego programu jest: Uczyc się działając. Pasuje to jak ulał do tego, co robią biblioteki. W Polsce począwszy od 1993 r. powstało 400 takich klubów. Głównym ich zadaniem jest aktywizacja środowisk wiejskich i małomiejskich, pozyskiwanie wolontariuszy, rodziców, sympatyków i poprzez własne działanie wzmocnienie więzi rodzinnych i społecznych, poszerzanie wiedzy, nauka odpowiedzialności za własne decyzje. Ruch 4-H polega głównie na uczestnictwie w działaniu, na aktywnym i ciekawym spędzaniu wolnego czasu, zwłaszcza po szkole, na przyjemności życia w grupie i robieniu czegoś pożytecznego.

W gminnej Bibliotece Publicznej w Długosiodle dzieci zrzeszone w Klubie 4-H: malują, rysują, czytają, bawią się, przygotowują wspólną choinkę i wigilię, na którą ostatnio zaprosiły samotną, pozbawioną ciepła rodzinnego dziewczynkę. W konkursie ogólnopolskim Klubów 4-H dzieci z Długosiodła zajęły pierwsze miejsce i w nagrodę pojechały na wycieczkę do Warszawy. Radości było co niemiara.

Narzekania, że oto brakuje nam wzorów osobowych, że ze świecą szukać ludzi o niekwestionowanym autorytecie, zwłaszcza że zawiedli politycy, samorządowcy, ludzie mediów, o czym pisze Teresa Bogucka⁶, są tylko częściowo uzasadnione. Czy przypadkiem nie dzieje się tak, że przedstawiciele środowisk twórczych prowadzą dość nudnawy dyskurs o stanie własnego ducha, a w Długosiodle i setkach innych miejscowości autorytetem jest – bibliotekarka i to ona wprowadza młode generacje do uczestnictwa w życiu kulturalnym i literackim, starając się przybliżyć im, a może i przyswoić system pozytywnych wartości, przeciwdziałając biernemu wysiadywaniu przed telewizorem, a ostatnio również przed komputerem.

Zaprasza ona do biblioteki nie tylko pisarzy: Krystynę Nepomucką, Wandę Chotomską, ale również młodą poetkę, uczennicę pobliskiego liceum, której wiersze spodobały się rówieśnikom i przyniosły jej rozgłos. Jakby nie było tego dosyć, wspólnie ze szkołą podstawową, Towarzystwem Naukowym w Ostrołęce zorganizowano sesję naukową pod hasłem „Puszcza Biała – jej dzieje i kultura”. Profesor Henryk Samsonowicz, którego dziadek wywodzi się z tamtych stron wygłosił na tej sesji referat o historii ludów zamieszkujących tereny Puszczy Białej dowodząc, że już w XVI w. król Zygmunt Stary nadał Długosiodłu prawa miejskie.

Wiele bibliotekarek ma świadomość, że społeczeństwa obywatelskiego nie zbuduje się za pomocą najszluszniejszych haseł, że jest to praca ciągła, powtarzana stale i od nowa w małych środowiskach lokalnych. W tym budowaniu trzeba wiele cierpliwości, a i talentów, w pozyskiwaniu osób chętnych, które poświęcą swój czas dzieciom, ludziom starszym, niepełnosprawnym. To w takich małych lokalnych grupach kierowanych przez dzielne bibliotekarki zmienia się nasze społeczeństwo według hasła ruchu 4-H „Lepsze niech będzie jeszcze lepsze”⁷.

⁶ T. Bogucka: *Inteligent w rozterce*. „Gazeta Wyborcza” 2003 nr 290.

⁷ E. Krysiak: *Rola i znaczenie Gminnej Biblioteki Publicznej w Długosiodle w środowisku lokalnym*. Praca magisterska wykonana w 2005 r. pod moją opieką i łaskawie mi udostępniona.

Wypada oszczędzić czytelnikowi tej pracy omawiania poszczególnych rozdziałów. Po prostu dlatego, że jest ich jedenaście i z wyjątkiem pierwszego dotyczą szerszego kontekstu społecznego, głównie rodzimego, choć sporo jest odwołań do tego, co dzieje się w innych krajach. Nie wydaje się też konieczne powtarzanie tego, co zawierają poszczególne partie tekstu. Dla pracujących bibliotekarzy – studentów zaocznych informacje zawarte w tej pracy mogą być przydatne przy dokonywaniu porównań z własnymi doświadczeniami, jak również krytycznych odniesień zwłaszcza tam, gdzie autorka nie ustrzegła się od nazbyt subiektywnych sądów. Jeżeli chodzi o studentów stacjonarnych, to wypada żywić nadzieję, że książka ta ukaże im, jak z pozoru odległe problemy polityczne, gospodarcze, kulturalne warunkują działania bibliotek. Zarówno w przyszłości, jak i współcześnie. Polityków i samorządowców, którzy zechcą po nią sięgnąć może przekonać, że inwestowanie w biblioteki jest ze wszelch miar opłacalne.

Bibliografia dołączona do pracy poszerza wiedzę o różnych kontekstach społecznych ważnych dla funkcjonowania bibliotek. W doborze poszczególnych pozycji kierowałam się ich merytoryczną wartością, jasnością wykładu i popularnością języka. Dla rozpoczynających studia są to sprawy ważne. Autorka jest wdzięczna swoim studentom za współpracę w doborze tej bibliografii.



Rozdział I

RZUT OKA W PRZESZŁOŚĆ

Idea zakładania bibliotek wywodzi się z ducha Oświecenia. Postęp nauki, rozwój przemysłu i rzemiosła oraz idee wolności myśli, słowa i druku w czasach Woltera, Rousseau i encyklopedystów przyczyniły się do rozwoju piśmiennictwa, produkcji wydawniczej i drukarstwa. Umożliwiło to popularyzację wiedzy i upowszechnienie literatury w szerszych kręgach społecznych. Wybitni ludzie oświecenia: Mirabeau, Talleyrand, Condorcet domagali się, by biblioteka publiczna stanowiła integralną część wychowania narodowego. Tak więc była ona nazywana rozmaicie: biblioteka oświatowa, powszechna, ludowa, masowa, publiczna biblioteka samorządowa.

W 1731 r. w Filadelfii Benjamin Franklin zainicjował stworzenie biblioteki na zasadzie klubu, do którego każdy członek wносił jakąś książkę. W latach 1731-1780 powstało w Nowej Anglii 51 bibliotek publicznych założonych przez organizacje społeczne. W 1815 r. było ich 500, zaś w 1850 r. już 1064.

Podobnie jak inni twórcy Deklaracji Niepodległości oraz Konstytucji amerykańskiej (Aleksander Hamilton, John Adams, James Madison, Thomas Jefferson, określane często jako ojcowie założyciele), również prezydent Stanów Zjednoczonych Abraham Lincoln był znakomicie wykształcony i głęboko wierzył, że druk jest głównym narzędziem porozumiewania się, a ci, którzy uczestniczą w sprawach publicznych muszą wykazać się minimalną sprawnością intelektualną, chociażby w zakresie

umiejętności czytania i pisania. Gazeta, broszura były w końcu XVII i na przełomie wieków XVIII i XIX głównymi przedmiotami lektur Amerykanów. Benjamin Franklin ubolewał, że tak niewiele czasu pozostaje im na czytanie książek. Stąd wziął się pomysł zorganizowania biblioteki.

Ilościowy rozwój bibliotek publicznych w Stanach Zjednoczonych nastąpił w pierwszej połowie XX w. W latach 1911-1923 powstało 1677 bibliotek publicznych fundowanych i utrzymywanych przez Carnegie Corporation. Inicjatorem i opiekunem tych placówek było Amerykańskie Stowarzyszenie Bibliotekarzy (the American Library Association – ALA) założone w 1876 r. Największą biblioteką publiczną powstałą z połączenia fundacji: Astora, Lenoxa i Tildena jest Nowojorska Biblioteka Publiczna (the New York Public Library). Oprócz niej powstały inne wielkie biblioteki publiczne, takie jak: Biblioteka Publiczna Miasta Bostonu (the Public Library of City Boston), Chicagowska Biblioteka Publiczna (the Public Library of Chicago). W 1835 r. stan Nowy Jork uchwalił prawo biblioteczne (library law), jako część ogólnej ustawy szkolnej, określającej zasady opodatkowania samorządów lokalnych na rzecz tych placówek.

W 1848 r. stan Massachussets, a w 1849 r. stan New Hampshire wprowadzają u siebie ustawy biblioteczne, szybko adaptowane przez inne stany. Ustawy amerykańskie były od początku zróżnicowane, uzależnione od warunków lokalnych, niemniej jednak określały wysokość budżetu wyasygnowanego przez władze miejskie bądź wysokość podatku bibliotecznego przeznaczanego na potrzeby tych placówek.

W drugiej połowie XIX w. kraje Europy Zachodniej wprowadzają obowiązek kształcenia w szkole podstawowej, robotnicy uzyskują redukcję czasu pracy i wyższe zarobki oraz ubezpieczenia społeczne. Stała się produkcja papieru, wzrosły nakłady gazet i czasopism, książka stała się powszechnie dostępna.

W krajach europejskich w: Szwecji, Danii, Norwegii, Holandii, Finlandii, Belgii, Francji, Prusach i Saksonii biblioteki stowarzyszeń społecznych otrzymywały zasiłki od samorządów, a potem były przez nie stopniowo przejmowane. Poszczególne rządy przychodziły z pomocą w postaci subwencji pieniężnych lub książkowych¹.

¹ W. Dąbrowska: *Nowoczesne ustawodawstwo w zakresie bibliotek publicznych*. Warszawa 1929.

Prawdziwą pionierką ustawodawstwa bibliotecznego na gruncie europejskim była jednak Anglia. Uchwalony w 1849 r. tzw. Bill Evarta upoważniał miasta liczące powyżej 10 000 mieszkańców i na żądanie 1/5 wyborców do zakładania bezpłatnych bibliotek publicznych i muzeów oraz pobierania na te cele specjalnego podatku (1/2 penny od 1 funta szterlinga podatków ogólnych). Bill wniesiony do parlamentu przez Evarta, prezesa Komitetu Kształcenia Dorosłych, przeszedł w następnym roku większością zaledwie 17 głosów. Wśród wypowiedzi oponentów zanotowano wówczas i takie głosy, że czytanie wśród robotników będzie służyło agitacjom politycznym, że otworzy to drogę do następnych roszczeń, np. gry w piłkę nożną, a według opinii jednego parlamentarzysty czytanie jest czymś paskudnym i nie należy go popierać.

W 1850 r. parlament brytyjski uchwalił dekret nakazujący każdej gminie liczącej ponad 10 000 mieszkańców opodatkowanie się na rzecz publicznie dostępnej biblioteki.

Na przełomie XIX i XX w. rodzą się pierwsze projekty zorganizowania bibliotek na wsi. Z inicjatywy Melvila Deveya władze stanu Nowy Jork przyznały po raz pierwszy dotację na zorganizowanie służby bibliotecznej na wsi. Melvil Devey, przewodniczący Komisji Bibliotecznej stanu Nowy Jork, dyrektor biblioteki Stanowej stanu Nowy Jork, twórca klasyfikacji dziesiętnej opracował wzorcowy komplet książek wysyłanych na wieś. Składał się on ze 100 tomów, wśród których 25 stanowiły książki z dziedziny ekonomii, 25 książek dla dzieci, 35 rolniczych i tylko 15 z literatury pięknej².

Wszystkie poczynania w dziedzinie organizacji bibliotek w Stanach Zjednoczonych były rozproszone, zależne od stopnia wyrobienia kulturalnego poszczególnych środowisk, ambicji oraz zamożności jednostek. Ale u źródeł tych inicjatyw leżała chęć przysłużenia się społeczeństwu lokalnemu, zaspokojenia jego aktualnych oświatowych i rekreacyjnych potrzeb. Ówczesnym prywatnym fundatorom bibliotek, jak wspomnianemu Carnegie'emu z Pittsburga oraz wielu innym, przyświecała idea ułatwienia dostępu do książki, traktowanej jako źródło wiedzy, z której światły obywatel powinien korzystać.

Społeczeństwo amerykańskie dążąc do zakładania bibliotek publicznych chciało stworzyć ludziom możliwość pożytecznego spędzenia cza-

² J. Kołodziejska: *Biblioteki amerykańskie*. Warszawa 1971.

su wolnego od pracy. Biblioteka obok szkoły i kościoła miała spełniać funkcje przeciwdziałające rozprężeniu moralnemu i obyczajowemu. Zagrozało ono szczególnie napływającym masom imigrantów. Nie bez znaczenia były zasługi bibliotek w dziele integracji językowej. Ta funkcja jest w dalszym ciągu aktualna.

Cele, które przyświecały zakładaniu bibliotek publicznych były rozmaite i wynikały z realiów społecznych, politycznych, kulturowych i gospodarczych poszczególnych krajów. Mieściły się w nich nastawienia patronackie powszechne wśród polityków, działaczy gospodarczych i oświatowych, którzy chcieli udostępnić wiedzę ludziom mającym utrudniony do niej dostęp. Samokształcenie miało w jakiejś mierze wyrównać braki w wykształceniu formalnym. Preferowano więc umiejętności praktyczne, np. w dziedzinie rolnictwa, hodowli czy rzemiosła. W opozycji do tych pragmatycznych nastawień były inicjatywy podejmowane przez różne grupy społeczne dążące do budowy własnej odrębności czy tożsamości: narodowej, etnicznej, kulturowej czy klasowej. Bywało, że biblioteczce przypisywano zadania związane z kultywowaniem przeszłości, ale też zakorzenieniem jednostki i grup w teraźniejszości.

Amerykańska biblioteka publiczna miała przyczyniać się do integrowania społeczności lokalnej, sprzyjać upowszechnianiu postaw obywatelskich, praktyk demokratycznych, zaś w Polsce głównym jej zadaniem było wprowadzanie warstw chłopskich do uczestnictwa w kulturze narodowej, przeciwstawianie się akcjom germanizacyjnym i rusyfikacyjnym. Różne i nieporównywalne były to zadania.

Po I wojnie światowej ustawy biblioteczne wprowadzają u siebie Czechosłowacja (1919), Bułgaria (1920), Dania (1920), Belgia (1921), Estonia (1924), Finlandia (1927), Litwa (1935). W Związku Radzieckim wydano dekret (1920) rady komisarzy ludowych o scentralizowaniu pracy bibliotecznej w RSFSR. Stworzył on ramy ustawowe dla bibliotekarstwa radzieckiego, diametralnie różne od form organizacyjnych w krajach Europy Zachodniej i Środkowowschodniej.

Główną ideą ustaw bibliotecznych w krajach skandynawskich, w Anglii i Stanach Zjednoczonych było przejęcie przez państwo i samorządy opieki nad bibliotekami publicznymi i zapewnienie im rozwoju.

W Polsce pierwsza biblioteka publiczna pełniąca jednocześnie funkcję biblioteki narodowej, powstała z inicjatywy Andrzeja Stanisława i Józefa Andrzeja Załuskich (1747).

Troska o biblioteki publiczne, o udostępnienie książki szerszej publiczności uwidoczniła się w instrukcjach i zarządzeniach Komisji Edukacji Narodowej. W czasie jej dwudziestoletniej działalności (1773-1794) uwzględniono w preliminarzu budżetowym potrzeby bibliotek publicznych. W okresie zaborów swoje prywatne zbiory upubliczniali: Raczyńscy, Krasińscy, Tarnowscy, Dzieduszyccy i inni. Zakres wykorzystania tych zbiorów był ograniczony do wąskich grup ludzi wykształconych.

Biblioteki publiczne były zakładane w XIX w. w zaborze rosyjskim przez Wydział Czytelń Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności (1872), Towarzystwo Oświaty Ludowej w zaborze austriackim (1872), Towarzystwo Czytelń Ludowych w zaborze pruskim (1880), Towarzystwo Szkoły Ludowej w zaborze austriackim (1891), Polską Macierz Szkolną w zaborze rosyjskim (1905). W 1912 r. powstała w Krakowie Biblioteka Publiczna przy Oddziale Krakowskiego Towarzystwa Uniwersytetu Ludowego im. A. Mickiewicza. Z inspiracji TSL powstawały biblioteki miejskie o publicznym charakterze we Lwowie, Tarnopolu, Rzeszowie, Zakopanem, Borysławiu.

W 1907 r. powstało w Warszawie Towarzystwo Biblioteki Publicznej, które utworzyło Bibliotekę Publiczną. W 1916 r. powstało Towarzystwo Biblioteki Publicznej w Łodzi, które zorganizowało Bibliotekę Publiczną o naukowym charakterze.

Głównym celem bibliotek publicznych było udostępnianie książek zarówno z literatury pięknej, jak i popularnonaukowej. Czytelnictwo miało wprowadzać warstwy chłopskie, robotnicze i rzemieślnicze do kultury narodowej, ale też i uniwersalnej. Zadaniem ich było utrwalanie umiejętności czytania, upowszechnianie wiedzy o przeszłości, przybliżanie kultury literackiej, umacnianie poczucia narodowego, zwłaszcza wśród młodzieży.

Oprócz literatury pięknej, drugim nurtem było udostępnianie książek edukacyjnych, praktycznych, fachowych dotyczących nowoczesnego gospodarowania, higieny osobistej, racjonalnego żywienia, wychowania dzieci itp. Społeczny zasięg oddziaływania bibliotek publicznych utrudniał powszechny, zwłaszcza na wsi, analfabetyzm.

W środowisku inteligenckim powszechny był pogląd, że to właśnie analfabetyzm wśród ogromnej większości społeczeństwa, głównie chłopstwa uniemożliwiał tworzenie nowoczesnego narodu polskiego zdolne-

go odzyskać niepodległość. W przeciwieństwie do amerykańskich działaczy oświatowych, dla których czytanie książek (w ogólności słowa drukowanego) było sposobem na integrowanie społeczności lokalnych i włączenie jednostki w system wartości obywatelskich, polscy inteligenci angażujący się w zakładanie bibliotek publicznych i upowszechnianie czytelnictwa wierzyli, że jest to główna droga wprowadzająca do uczestnictwa w kulturze narodowej, upowszechniająca wiedzę o przeszłości, głównie za pośrednictwem literatury pięknej. W polskich warunkach zawartość opracowanego przez Melvila Deveya księgozbioru dla środowisk wiejskich preferująca książki praktyczne i użyteczne nie miałaby żadnego uzasadnienia. Popularnych przez cały wiek XIX *Śpiewów Historycznych* Juliana Ursyna Niemcewicza nie dałoby się zastąpić poradnikiem o hodowli buraków czy kukurydzy. Inne i nieporównywalne były sytuacje społeczne, polityczne, gospodarcze, inne cele i zadania.

W latach II Rzeczypospolitej działało w Polsce 9411 bibliotek typu oświatowego. Były one prowadzone przez organizacje i towarzystwa oświatowe i kulturalne oraz parafie. Ich zbiory były małe, a wykorzystanie niewielkie. Bibliotekarze skupieni w Związku Bibliotekarzy Polskich czynili przez całe dwudziestolecie starania o wprowadzenie ustawy bibliotecznej. W 1921 r. złożyli pierwszy projekt, w latach 1927, 1928, 1934 następne. Żaden z nich nie doczekał się realizacji. Najwięcej starań wokół rozwoju bibliotek publicznych samorządowych położyli: Jan Muszkowski, Wanda Dąbrowska, Józef Grycz, Adam Łysakowski³.

Poszczególne samorządy terytorialne (Hrubieszów, Łódź, Stanisławów, Łuck) zorganizowały publiczne biblioteki samorządowe we własnym zakresie. W 1938 r. było ich w całym kraju 1033.

W latach II wojny światowej biblioteki publiczne poniosły ogromne straty. Okupanci zamykali je, a księgozbiory niszczyli. Pod okupacją niemiecką ocalało niewiele ponad 40% przedwojennego stanu posiadania, choć są to jedynie szacunki.

Dekret o bibliotekach i opiece nad zbiorami bibliotecznymi (1946) uchwalony przez Radę Ministrów i zatwierdzony przez Prezydium Kra-

³ J. Kołodziejska: *Publiczne biblioteki samorządowe w okresie międzywojennym*. Warszawa 1967.

jowej Rady Narodowej powołał do życia sieć bibliotek publicznych i włączył ją do ogólnokrajowej sieci bibliotecznej składającej się z: bibliotek publicznych, naukowych i szkolnych. Państwo i samorządy przyjęły na siebie obowiązki utrzymania bibliotek publicznych. Ustawa o bibliotekach (1968) podtrzymała te zasady. Sieć bibliotek publicznych zmieniała kilkakrotnie swoją strukturę organizacyjną zgodnie z kolejnymi reformami administracyjnego podziału kraju. Do 1975 r. struktura sieci była trzystopniowa: biblioteki wojewódzkie, powiatowe i gminne. Po zlikwidowaniu powiatów zmieniała się ona na dwustopniową: biblioteki wojewódzkie i gminne⁴.

Zmiany te wpłynęły na organizacyjną i merytoryczną działalność bibliotek i nie zawsze były korzystne. Współczesne trudności związane z przystosowaniem struktury organizacyjnej sieci do nowego podziału administracyjnego kraju biorą się w dużej mierze z tego, co dokonało się w 1975 r.

Główną cechą charakterystyczną dla bibliotekarstwa publicznego w Polsce po 1945 r. było wykorzystanie doświadczeń okresu międzywojennego. Mieściła się wśród nich zasada gęsto rozbudowanej sieci, uzupełnianej jeszcze liczniejszymi społecznie prowadzonymi punktami bibliotecznymi. Przy ówczesnym zagospodarowaniu przestrzennym, przewadze ludności wiejskiej, niedostatku dróg, połączeń komunikacyjnych i słabej telefonizacji kraju, tak pomyślana organizacja bibliotek tworzyła sprzyjające warunki do udostępniania książki w szerokich kręgach społecznych, głównie na wsi. Mamy tu na myśli przede wszystkim fizyczną osiągalność książki, a nie rzeczywiste upowszechnienie nawyków korzystania z niej, które kształtowane są przez inne uwarunkowania społeczne.

W latach 1946-1975 starano się utrzymać zgodność między strukturą organizacyjną sieci bibliotek publicznych a administracyjnym podziałem kraju. Najwięcej uwagi i starań poświęcono powiatowym bibliotekom publicznym, traktując je jako główne ogniwo sieci. W 1974 r., a więc na rok przed reformą podziału administracyjnego kraju w skład struktury organizacyjnej sieci wchodziło: 21 wojewódzkich bibliotek publicznych, wojewódzkich i miejskich bibliotek publicznych, miejskich bibliotek publicznych, miejskich bibliotek publicznych miast wydzielonych

⁴ J. Kołodziejska: *Biblioteki publiczne po reformie administracyjnej kraju*. Warszawa 1980.

nych, 380 powiatowych bibliotek publicznych, powiatowych i miejskich bibliotek publicznych, miejskich bibliotek publicznych miast stanowiących powiaty, 254 miejskich bibliotek publicznych miast nie stanowiących powiatów, 2243 bibliotek gminnych⁵.

Mimo licznych braków materialnych i trudności kadrowych sieć ta działała sprawnie i z pożytkiem dla rozwoju czytelnictwa. Reforma w administracyjnym podziale kraju zmieniła dotychczasową strukturę sieci, a poprzez likwidację bibliotek powiatowych naruszyła to, co było jej najmocniejszą stroną. Podjęto więc próby zachowania w strukturze sieci tych elementów, które sprawdziły się w wieloletniej pracy. Zakładano, że biblioteki miejskie (dawne powiatowe) będą w dalszym ciągu wspomagać pracę wojewódzkich bibliotek publicznych. Było to uzasadnione, ponieważ kilkanaście tych bibliotek, mianowanych z dnia na dzień wojewódzkimi nie miało ani warunków materialnych, ani personalnych, by takie funkcje skutecznie pełnić.

Historia powtórzyła się w 1999 r., kiedy to w wyniku nowego podziału administracyjnego kraju zlikwidowano 32 wojewódzkie biblioteki publiczne i podjęto próby powołania bibliotek powiatowych, o których wielu bibliotekarzy już zapomniało.

Głównymi celami bibliotek publicznych są: edukacja, informacja, rekreacja. Zgodnie z nimi są one bezpłatne dla każdego obywatela niezależnie od jego narodowości, miejsca zamieszkania, wykształcenia i pochodzenia społecznego. W krajach Europy Zachodniej, krajach skandynawskich oraz w Stanach Zjednoczonych biblioteki publiczne są utrzymywane z dwóch źródeł: budżetów samorządowych i budżetu państwa i dotacje państwowe mają charakter pomocniczy i dotyczą działań wykraczających poza teren gminy samorządowej. Są to: programy modernizacyjne, głównie w zakresie komputeryzacji i dostępu do Internetu, tworzenie ogólnokrajowych katalogów centralnych, wypożyczeń międzybibliotecznych, obsługi czytelników niepełnosprawnych, imigrantów, mniejszości narodowych i etnicznych, chorych w szpitalach, więźniów itp.

W Polsce biblioteki publiczne działają na podstawie następujących aktów prawnych; Ustawy z dnia 24 lipca 1998 r. o wprowadzeniu zasadniczego, trójstopniowego podziału terytorialnego państwa; Ustawy z dnia

⁵ „Biblioteki publiczne w liczbach” 1974. Warszawa 1975 s. 12, 13.

25 października 1991 r. o organizowaniu i prowadzeniu działalności kulturalnej; Ustawy z dnia 27 czerwca 1997 r. o bibliotekach oraz zmian wynikających z reformy samorządowej wprowadzonej 1 stycznia 1999 r.

Wszystkie biblioteki publiczne są zarządzane i utrzymywane przez samorządy lokalne. Organizator (samorząd lokalny) powinien zapewnić warunki do ich działania. Należą do nich: lokal, środki na wyposażenie, zakup materiałów bibliotecznych oraz szkolenie zawodowe pracowników. Wobec braku obligatoryjnych standardów realizacja tych zaleceń jest traktowana przez samorządy bardzo rozmaicie, zgodnie z możliwościami finansowymi.

Główny kształt organizacyjny bibliotek publicznych określają statuty. Biblioteka publiczna jest samodzielną jednostką organizacyjną i działa na podstawie aktu o jej utworzeniu oraz statutu nadanego przez organizatora. Na strukturę sieci bibliotek publicznych składają się: biblioteki wojewódzkie, powiatowe (grodzkie i ziemskie), gminy wiejskiej, filie (na wsi i w mieście), oddziały dla dzieci, punkty biblioteczne, bibliobusy (bardzo nieliczne). Ponadto biblioteki publiczne działają w strukturze innych instytucji (biblioteki publiczno-szkolne) lub w ośrodkach (domach) kultury.

Księgozbiory bibliotek publicznych składają się z dokumentów tekstowych (książki, czasopisma, gazety, rękopisy, dokumenty życia społecznego, regionalia), materiałów audiowizualnych (wideokasety, kasety z nagraniami muzycznymi, książki mówione, płyty kompaktowe, płyty analogowe), dokumentów elektronicznych (CD-ROM), mikrofilmów i mikrofisz.

Najczęstszą formą udostępniania zbiorów są: wypożyczenia na zewnątrz (do domu), na miejscu w czytelnich oraz dość rzadkie wypożyczenia międzybiblioteczne. W większości bibliotek czytelnicy mają wolny dostęp do półek. Świadczone usługi informacyjne obejmują środowisko lokalne, regionalne, ogólnokrajowe, a nawet międzynarodowe. Są to informacje: publiczne, edukacyjne, użytkowe i naukowe. Ponadto biblioteki publiczne są instytucjami kultury, co oznacza, że organizują spotkania z pisarzami, wieczory poetyckie, konkursy, głośne czytanie itp. Bywa, że publikują we własnym zakresie tomiki poezji miejscowych twórców, wydawnictwa informujące o regionie, bibliografie regionalne, czasopisma fachowe lub o charakterze społeczno-kulturalnym.

Biblioteki publiczne mogą tworzyć sieć lokalną, regionalną, ogólnokrajową lub też włączyć się do systemu bibliotecznego łączącego we

współpracy biblioteki różnych typów (szkolne, pedagogiczne, akademickie, fachowe). Współpraca taka może obejmować gromadzenie zbiorów, ich opracowywanie, obieg informacji, zasady udostępniania itp. Nie są to jednak powszechne praktyki.

Zgodnie z ustawą o bibliotekach niektóre biblioteki publiczne mają status bibliotek naukowych. Obowiązkiem ich jest zapewnienie dostępu do materiałów bibliotecznych i źródeł informacyjnych niezbędnych do prowadzenia prac naukowo-badawczych w zakresie bibliotekoznawstwa i nauk pokrewnych. Do bibliotek naukowych należą:

Biblioteka Śląska,

Biblioteka Publiczna m.st. Warszawy. Biblioteka Główna Województwa Mazowieckiego,

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Marszałka Piłsudskiego w Łodzi,

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Bydgoszczy,

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Krakowie,

Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. H. Łopacińskiego w Lublinie,

Biblioteka Raczyńskich w Poznaniu,

Książnica Pomorska im. Staszica w Szczecinie,

Książnica Cieszyńska w Cieszynie,

Wojewódzka Biblioteka Publiczna – Książnica Kopernikańska w Toruniu,

Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. T. Mikulskiego we Wrocławiu.

Głównym ośrodkiem badań w zakresie organizacji bibliotek publicznych i czytelnictwa powszechnego jest powołany w 1955 r. Instytut Książki i Czytelnictwa Biblioteki Narodowej. Problemy te są również

Stan liczbowy bibliotek publicznych⁶

Rok	1995	1999	2000	2001	2002	2003
Biblioteki i filie	9055	9046	8915	8849	8783	8727
Punkty biblioteczne	4428	2870	2457	2163	1973	1875
Księgozbiory w mln egz.	136,6	135,8	135,7	135,2	134,6	134,2
Czytelnicy w tys.	7023,1	7332	7391	7436	7508	7576
Wypożyczenia w tys.	161 715	153 035	151 272	149 619	152 156	153 622

⁶ „Biblioteki publiczne w liczbach” 2003. Warszawa 2004.

obecne w programach ośrodków akademickich kształcących bibliotekarzy, Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich, Polskiego Towarzystwa Czytelniczego, Polskiego Towarzystwa Bibliologicznego oraz w organizacjach międzynarodowych: The International Federation Library Association and Institution (IFLA) oraz The International Reading Association (IRA).

W 2002 r. w sieci bibliotek publicznych pracowało 17 375 bibliotekarzy. Ponad 70% stanowił personel pełnozatrudniony. W grupie tej 24% miało wyższe wykształcenie bibliotekarskie. W latach 1990-2003 zmalała o 15,4% liczba bibliotek i filii, z tego znakomita część przypadła na wieś. Nieznacznie, ale systematycznie wzrasta liczba czytelników. Wskaźnik czytelników na 100 mieszkańców wyniósł w 2003 r. 19,8. Struktura użytkowników bibliotek publicznych wskazuje niezbicie, że dominującą grupę stanowią ludzie młodzi, do 24 roku życia (66,7%).

Roczny przyrost nowości wydawniczych w 2002 r. wynosił 5,2 wol./100 mieszkańców, zaś w 2003 r. – 5,1 wol./100 mieszkańców. Normy międzynarodowe przewidują od 25 do 35 wol./100 mieszkańców.

Proces modernizacji sieci bibliotek publicznych postępuje powoli. Na ogólną liczbę bibliotek 8858 w 2002 r. tylko 15% podjęło działania związane z komputeryzacją czynności bibliotecznych. Według raportu opracowanego przez Elżbietę Górską i Katarzynę Winogrodzką przy współpracy Krzysztofa Janczewskiego zaledwie 7,7% bibliotek publicznych ma dostęp do Internetu, zaś 4% daje możliwości korzystania z zasobów informacyjnych Internetu użytkownikom, a 2,1% promuje swoją działalność za pomocą stron WWW. W porównaniu z innymi krajami stan komputeryzacji polskich bibliotek wypada bardzo źle. W Danii 100% bibliotek publicznych jest skomputeryzowanych, 75% udostępnia Internet, w Hiszpanii 77% bibliotek ma katalogi elektroniczne, a 18% dostęp do Internetu, na Węgrzech 100% miejskich bibliotek publicznych i 40% wiejskich jest skomputeryzowanych, w Estonii 37% bibliotek ma katalogi elektroniczne. W Polsce tylko 7,2% ogółu bibliotek wiejskich jest skomputeryzowanych, z tego dostęp do Internetu ma 2,06%. W województwach świętokrzyskim i lubuskim żadna z bibliotek wiejskich nie ma dostępu do Internetu⁷. Jakby tego było mało autorzy raportu stwier-

⁷ <http://ebib.oss.wroc.p.raporty.Kbp.htm>.

dzają, że w województwie kujawsko-pomorskim na 478 bibliotek publicznych aż 115 nie ma telefonu.

Komputeryzuje się głównie rejestrację czytelników i wypożyczeń, tworzy własne bazy bibliograficzne, katalogi, własne bazy pełnotekstowe i faktograficzne, przejmuje dane z obcych baz danych oraz inne typowe czynności biblioteczne. Niektóre biblioteki umieszczają w Internecie strony samorządu lokalnego informujące o adresach, godzinach otwarcia, organizacji wewnętrznej urzędu. Na stronie można znaleźć uchwały i zarządzenia. Tego typu informacje publiczne cieszą się powodzeniem wśród użytkowników.

Do najczęściej stosowanych w bibliotekach publicznych systemów komputerowych należą programy: MAK, SOWA, PROLIB, PROMAS, ALEPH, HORIZON. Prawie połowa bibliotek publicznych korzysta z bazy danych „Przewodnika Bibliograficznego” Biblioteki Narodowej. Do najlepiej wyposażonych w sprzęt elektroniczny należą: Biblioteka Śląska w Katowicach, Książnica Pomorska w Szczecinie, Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie.

Biblioteki publiczne uczestniczą we współpracy euroregionalnej (8 euroregionów) oraz w ramach współpracy partnerskiej gmin, głównie miejskich. Współpraca obejmuje realizację wspólnych programów, seminaria, wymianę osobową, doświadczenia warsztatowe. Ma ona duże znaczenie w doskonaleniu pracy polskich jak i czeskich, słowackich, ukraińskich, niemieckich, węgierskich placówek.

Biblioteki publiczne włączają się do programów tworzonych pod auspicjami Unii Europejskiej. Są to: LISKAT/Libraries in the Information Society: Know-how, Awareness Training, PLDP (Public Libraries Development), PLACAI (Public Librarires as Center for Culture and Information), PULMAN (Public Libraries Mobililising Adanced Network) i inne.

Czasopisma fachowe poświęcone problematyce bibliotek publicznych to: „Bibliotekarz”, „Poradnik Bibliotekarza” oraz fachowe czasopisma regionalne.

Rozdział II

BIBLIOTEKARSKIE KONTAKTY POLSKO-CZESKIE

Współpraca polsko-czeska na polu bibliotekarstwa zrodziła się w dwudziestoleciu międzywojennym, miała swój kontekst społeczny i była czymś zupełnie wyjątkowym. Sympatie między dwoma narodami miały nikłą bazę społeczną i to po obu stronach. Powody były różne, wywodzące się z przeszłości, jak i współczesnych konfliktów politycznych, przede wszystkim sporów (niestety zbrojnych) o granice. Tarmosiliśmy się o nie do 1939 r. Rok wcześniej zajęliśmy Zaolzie.

Dzielił nas stosunek do lansowanej w XIX w. przez Rosję idei panslawizmu, która na polskim gruncie nie zapaściła korzeni, zaś wśród Czechów miała sporo zwolenników. Nie bez znaczenia było również nieco lepsze usytuowanie Czechów w strukturach monarchii austro-węgierskiej, a w związku z tym napływ do Galicji czeskich urzędników, policjantów, ale też kupców, przemysłowców, rzemieślników, inteligencji technicznej i medycznej, nauczycieli szkół średnich i wyższych, muzyków i kolejarzy. Ich wkład w rozwój cywilizacyjny tej części Polski jest prawie całkowicie pomijany przez polskich historyków. Zostały po nich nazwiska i spolszczeni wnukowie, ale również cała masa funkcjonujących do dziś stereotypów.

Tak naprawdę podzielił nas wiek XIX. Kiedy my wywołaliśmy i przegrywaliśmy kolejne powstania, tworząc nasz wielki narodowo-romantyczny mit, Czesi pracowicie odbudowywali swoją tożsamość narodową,

głównie w sferze języka. Język czeski, a raczej grupa dialektów był mową ludu oraz przedmiotem zainteresowania kilkunastu, najwyżej kilkudziesięciu przedstawicieli warstw oświeconych. „W latach dwudziestych i trzydziestych XIX w. – pisze Antoni Kroh – ruch czeski miał w znacznej mierze charakter regionalistyczno-kulturalny. Nie wytyczał sobie celów politycznych, nie próbował stawiać w opozycji do władzy państwowej. Ale mrówcza praca w dziedzinie odbudowy języka czeskiego, rozwoju rodzimej literatury, sprawiły, że w 1848 r. na wielkim zgromadzeniu ludowym w Pradze uchwalono rezolucję domagającą się od cesarza nadania ziemiom czeskim autonomii politycznej z własnym sejmem i rządem oraz wprowadzenia języka czeskiego do szkół, urzędów, sądownictwa”¹. Cesarz jak to cesarz obiecał próby spełnić, ale słowa nie dotrzymał. Tak więc zaczęło się od aspiracji kulturalnych, a skończyło odzyskaniem niepodległości w 1918 r.

Nie jest sprawą przypadku, że Czechosłowacja, jako pierwsza w Europie środkowej i wschodniej wprowadziła u siebie nazajutrz po wojnie, bo w 1919 r. ustawę biblioteczną. Wińczyła ona tę wielką pracę oświatową i kulturalną, jaką Czesi prowadzili przez cały wiek XIX. My utopiliśmy nasze kolejne projekty ustawy bibliotecznej w beznadziejnych swarach politycznych, w anachronicznym stosunku do mniejszości narodowych, braku wyobraźni na przyszłość i tym podobnych grzechach głównych. Brak pieniędzy w kasie państwowej i budżetach samorządowych, rozległy obszar ubóstwa społecznego były ważne, ale nie one zadecydowały o niepowodzeniu w tym zakresie.

Bibliotekarze czescy, słowaccy i polscy nie ograniczali swoich zainteresowań do spraw czysto zawodowych, choć przywiązywali do nich dużą wagę, ale starali się odnieść je do sytuacji politycznej, gospodarczej, kulturalnej powstałej po I wojnie światowej. Z dostępnych prac publikowanych (a było ich wiele) wynika, że uwaga skupiała się wokół kilku najważniejszych spraw.

Na pierwszym miejscu wypada wymienić świeżo odzyskaną niepodległość obu krajów, a związku z tym konieczność budowania struktur państwowych ze szczególnym uwzględnieniem organizacji szkolnictwa, ubezpieczeń społecznych, zdrowotnych, regulacji prawa pracy. O konieczności budowania sił zbrojnych, czy porządkowych nie warto wspominać, bo to sprawy oczywiste.

¹ A. Kroh: *O Szwejku i o nas*. Warszawa 2002.

Drugim elementem określającym sytuację nowych państwowości było zróżnicowanie struktur ludnościowych. W Polsce i w Czechosłowacji mniejszości narodowe i etniczne stanowiły około 30% ogółu ludności. Sytuacja ta rodziła potrzeby określenia zasad umożliwiających powszechny dostęp do książki również mniejszościom narodowym.

I na tym właściwie kończyły się podobieństwa. Dalej występowały różnice i to znaczne. Dotyczyły one głównie wyższego w porównaniu z Polską czechosłowackiego poziomu cywilizacyjnego (łączność, komunikacja, szkolnictwo, usługi), jak również korzystniejszej struktury zawodowej ludności. W okresie międzywojennym w Czechosłowacji w rolnictwie, leśnictwie i rybołówstwie pracowało 39,5% ogółu zatrudnionych – w Polsce prawie 70%, w przemyśle i rzemiośle 33,8% – w Polsce zaledwie 12%. Wzrost stopy życiowej robotników czeskich (na Słowacji dominowała ludność wiejska), wprowadzenie 8-godzinnego dnia pracy w przemyśle, przepisów chroniących pracownika najemnego oraz ubezpieczenia społeczne – wszystko to umożliwiło i sprzyjało rozwojowi oświaty pozaszkolnej. Było rzeczą naturalną, że dla tego typu uczestnictwa w kulturze biblioteki publiczne jawiły się jako instytucje główne i niezastąpione.

Oprócz dystansów materialnych istotne znaczenie miało również odmienne podejście do bieżącej polityki i upowszechnianych idei społecznych. Modelem państwa czechosłowackiego było społeczeństwo obywatelskie, otwarte, tolerancyjne i respektujące odmienności kulturowe zarówno jednostki, jak i grup. Ujmując rzecz inaczej społeczeństwo czeskie (na Słowacji wyglądało to odmiennie) było w porównaniu z naszym bardziej demokratyczne, liberalne i laickie. Ze wszystkich nowych państw – pisze Jerzy Holzer – tylko czeska część Czechosłowacji (oraz ułamkowe tereny Galicji w Polsce czy Słowenii w Jugosławii) korzystały z półdemokracji panującej w austriackiej części monarchii habsburskiej przed 1918 r. Utrwalił się wówczas obyczaj parlamentarny, rozwinęły instytucje samorządowe, krzepły partie polityczne².

Sytuacja ta przez cały wiek XIX sprzyjała rozwojowi ruchu samorządowego. To on sprawił, że jednostka czuła się odpowiedzialna za swoją społeczność lokalną, uczyła się współrzędzenia. Powstały w 1906 r. Związek Oświatowy koordynował działalność licznych organizacji spo-

² J. Holzer: *Dwa stulecia Polski i Europy*. Poznań 2004 s.28.

lecznych przyczyniając się nie tylko do odrodzenia świadomości narodowej, ale również rozwoju gospodarczego i kulturalnego, wspierając rodziną twórczość w dziedzinie literatury sztuki.

Samorządność lokalna sprzyjała upowszechnianiu się postaw obywatelskich, wyrażających się w aktywności służącej dobru ogólnemu, wartościom sprzyjającym konsolidacji zróżnicowanego narodowościowo kraju. Dopiero narastające w latach trzydziestych ruchy nacjonalistyczne wśród Niemców sudeckich oraz secesyjistyczne Słowaków unięściły to, co wydawało się trwałe.

Podobnie jak Polska po 130-letniej niewoli, Czechosłowacja musiała pokonać zaszłości po 300-letnim braku państwowości. A nie były to sprawy ani błahe, ani łatwe. Trzeba było zbudować od podstaw szkolnictwo na Słowacji, pokonać analfabetyzm, który na tych ziemiach stanowił ponad 30%, a na Rusi Podkarpackiej ponad 60%, stworzyć warunki do rozwoju literatury słowackiej, nie wspominając o potrzebie wyrównania różnic w poziomie gospodarczym i stopie zamożności obywateli. Tak więc z jednej strony trzeba było podjąć działania integracyjne, z drugiej respektować odmienności kulturowe, religijne i obyczajowe mniejszości. Wszystko to determinowało treści zawarte w ustawie bibliotecznej wprowadzonej w 1919 r., jak również określało strukturę organizacyjną bibliotekarstwa publicznego. Była to pierwsza tego typu ustawa w Europie.

Ustawa czechosłowacka była wprowadzana etapami. Na Rusi Podkarpackiej wprowadzono ją w 1921 r., zaś na Słowacji w 1925 r.

Czechosłowacka ustawa biblioteczna była nie tylko przedmiotem podziwu i trochę zazdrości polskich bibliotekarzy, ale głównie wzorcem, który był pomocny przy opracowaniu kolejnych polskich projektów. Począwszy od 1921 r. polskie środowisko bibliotekarskie opracowało kolejne projekty ustawy i próbowało bezskutecznie wprowadzić je pod obrady Sejmu. Przez całe międzywojenne dwudziestolecie toczyła się na łamach prasy fachowej i społeczno-kulturalnej dyskusja, często niezwykle gorąca na jej temat i w ogóle na temat książki i bibliotek, ale nie doszło do jej uchwalenia.

Merytoryczną stronę kolejnych projektów podbudowała gruntowna wiedza o zawartości czechosłowackiej ustawy bibliotecznej oraz o dokonaniach organizacyjnych będących jej wynikiem. Wiedzę w tym zakresie zawdzięczamy kilku wybitnym polskim bibliotekarkom, gorącym

orędowniczkom wprowadzenia ustawy bibliotecznej, a przede wszystkim: Wandzie Dąbrowskiej, Jadwidze Filipkowskiej-Szemplińskiej. Ta druga była autorką świetnego studium pod tytułem: *Biblioteki publiczne w Czechosłowacji* wykonanego pod opieką Heleny Radlińskiej w Wolnej Wszechnicy Polskiej i przyjętego jako praca dyplomowa.

Wiedzą o bibliotekarstwie publicznym w Czechosłowacji poszerzyły artykuły wybitnego bibliotekarza czeskiego Ladislava Živnego publikowane na łamach „Bibliotekarza”. Wszystko to sprawiało, że z ogólnych postanowień ustawy czechosłowackiej przejęliśmy kilka fundamentalnych zasad, a mianowicie: że każda gmina powinna mieć bezpłatną, ogólnie dostępną bibliotekę publiczną, że do normalnych wydatków gminy należą koszty utrzymania bibliotek, na które składają się opłaty za lokal i wynagrodzenie bibliotekarza, że tam gdzie mniejszości narodowe liczą 400 osób mają one prawo tworzenia własnych odrębnych bibliotek w języku mniejszości, względnie specjalnych oddziałów w bibliotece ogólnej.

„...czytanie książek – pisała Jadwiga Filipkowska-Szemplińska – będzie miało dopiero należyta wartość, jeśli każdy będzie mógł czytać tę książkę we własnym języku”³. Dla polskich bibliotekarzy było to oczywiste, zwłaszcza dla grupy wywodzącej się z liberalno-lewicowych dziewiętnastowiecznych tradycji. Tej elicie zawodowej patronowała wybitna osobowość Heleny Radlińskiej⁴.

Zupełnie inne nastawienia demonstrowali działacze oświatowi i politycy ze środowisk prawicowych i zachowawczych. Łatwiej było powołać się na dokonania czechosłowackie w zakresie rozwoju czytelnictwa, które było znaczne: w 1924 r. z bibliotek publicznych korzystało 7,4% ogółu obywateli, gdy w Polsce ze wszystkich bibliotek łącznie (samorządowych i społecznych) czytelnikami było 2%, niż przełamywać uprzedzenia do mniejszości narodowych... „Przez półtora wieku rządy zaborcze usiłowały wyzwolić zamieszkałe z nami na polskiej ziemi narody – pisał Stanisław Rymar – z naszej przewagi kulturalnej, niszczyły więc naszą siłę a wspomagały ich i to ziarno zasiane dawniej jest i dziś podtrzymywane przez Berlin i Moskwę. I nasze mniejszości narodowe w swej większości nie pogodziły się jeszcze z tym faktem, iż stosunki

³ J. Filipkowska-Szemplińska: *Biblioteki publiczne w Czechosłowacji*. Warszawa 1930.

⁴ J. Kołodziejaska: *Publiczne biblioteki samorządowe w okresie międzywojennym*. Warszawa 1967.

radykałnie się zmieniły, iż żyją one obecnie znowu w Polsce Niepodległej, w Państwie Polskim i że wobec tej Polski, tego Państwa Polskiego lojalnym obywatelem być trzeba. Z tych dwu faktów, którym nikt nie zaprzeczy ich wagi, trzeba wyciągnąć pewnie wnioski. W naszym zagadnieniu nie wypadną te wnioski na pewno w kierunku... usamorządowania bibliotek powszechnych”⁵.

A więc bez żadnych niedomówień. Ponieważ samorządy były ciałami obieralnymi, mniejszości narodowe mogły to wykorzystać dla swoich celów i poprzez swoich delegatów wywierać naciski, aby np. do biblioteki we wsi ukraińskiej kupować książki w tym języku. Podtrzymywanie odrębności kultur mniejszości narodowych nie leżało ani w oficjalnej akcji oświatowej, ani tym bardziej w programach prawicowych i klerykalnych organizacji społecznych. Od Czechów przejęliśmy to, co stanowiło najistotniejsze zasady organizacji bibliotekarstwa publicznego, ale tolerancji i myślenia w dłuższej perspektywie czasowej powinniśmy byli nauczyć się sami. Ponieważ nie potrafiliśmy okiełznać i podporządkować racjonalnemu myśleniu naszych fobii i resentymentów, przyszło nam za to drogo zapłacić.

Zarówno w Polsce jak i w Czechosłowacji sieć bibliotek publicznych była gęsto rozbudowana. Było to zgodne ze strukturami przestrzennymi zabudowy w obu krajach i zbliżonych warunków komunikacyjnych. Warunkowało to łatwy dostęp do książki i biblioteki. W ówczesnych warunkach, a głównie przy słabych połączeniach drogowych, kolejowych (autobusowe były nieliczne, zaś samochody prywatne niezwykle rare), nasycenie kraju gęstą siecią biblioteczną było całkowicie uprawnione. Ale gęsto rozbudowana sieć biblioteczna, zwłaszcza na wsi nie przyniosła oczekiwanych rezultatów. W obu krajach biblioteki wiejskie były słabo zaopatrzone w nowości wydawnicze, zaś kwalifikacje bibliotekarzy wielce niedostateczne. W 1957 r. miałam możliwość zapoznać się z księgozbiorami bibliotek wiejskich na Słowacji. Znajdowałam na półkach nierzadko wydania sprzed I wojny światowej, dotyczyło to zwłaszcza literatury popularnonaukowej. Biblioteki te prowadzone przez wolontariuszy były ubogie i w niewielkim stopniu wykorzystywane. Według oceny kolegów słowackich i moich, około 50% zawartości tych księgozbiorów kwalifikowało się na przemiał. Podobnie sytuacja wy-

⁵ S. Rymar: *O bibliotekach powszechnych*. Warszawa 1929 s. 26.

glądała w okręgu północnomorawskim. We wsiach liczących 300 mieszkańców kupowano do miejscowej biblioteki 15-20 nowych książek rocznie. Podobnie jak na Słowacji, placówki te były prowadzone przez wolontariuszy. Były zaniedbane tak od strony techniki bibliotecznej, jak i pracy z czytelnikiem⁶.

Tak więc podstawę struktury organizacyjnej bibliotek publicznych w Czechosłowacji stanowiła gmina. Podobnie było w polskich projektach ustawy bibliotecznej, z tą jednak różnicą, że polscy bibliotekarze duże znaczenie przypisywali bibliotece powiatowej. Była ona traktowana jako główne ogniwo sieci bibliotek publicznych. Aż do 1975 r. były one oczkiem w głowie organizatorów. W tymże roku zmieniono podział administracyjny kraju. W wyniku tej reformy zlikwidowano powiaty a wraz z nimi biblioteki powiatowe. Odbiło się to wielce niekorzystnie na funkcjonowaniu całej sieci bibliotek publicznych, ale szczególnie odczuły te zmiany biblioteki gminne.

Podobnie jak w Polsce, w Czechosłowacji nie opracowano szczegółowej modelu biblioteki żupnej (odpowiednika naszej biblioteki wojewódzkiej). W założeniach biblioteki te miały wspierać biblioteki miejskie, organizować zaopatrzenie środowisk wiejskich w komplety książek na zasadzie bibliotek ruchomych, udostępniać trudniejszą literaturę w ramach wypożyczeń międzybibliotecznych, prowadzić instruktaż dla niżej zorganizowanych bibliotek, organizując kursy biblioteczne, inicjować zjazdy, również wystawy. Tak pomyślany program udało się zorganizować zaledwie w kilku bibliotekach..

Czechosłowacka ustawa biblioteczna przewidywała, że bibliotekarz powinien mieć odpowiednie kwalifikacje zawodowe. W obu naszych krajach kształcenie bibliotekarzy wyglądało podobnie: studia na poziomie akademickim, szkoły średnie, wszelkiego typu kursy kwalifikacyjne i doksztalające. Rzeczywistość odbiegała dalece od tego modelu. W Czechosłowacji w 1927 r. było 96 bibliotekarzy z fachowym przygotowaniem (w Polsce nie było nawet tylu). 93% bibliotekarzy na wsi nie pobierało żadnego wynagrodzenia. Wśród bibliotekarzy-społeczników 54% stanowili nauczyciele, 23% rzemieślnicy i handlowcy, 12% rolnicy. Zgodnie z ustawą wynagrodzenie przysługiwało bibliotekarzowi, który przepracował w bibliotece przynajmniej 3 godziny tygodniowo.

⁶ *Za další rozvoj knihoven v Severomoravském Kraji*. Olomouci 1965.

Nad funkcjonowaniem biblioteki czuwała rada biblioteczna składająca się w zależności od liczby mieszkańców z 4-6-8 członków. Połowę z nich powoływała rada gminna spośród wyborców, połowę wybierano spośród najaktywniejszych czytelników, to znaczy takich, którzy przeczytali przynajmniej 10 książek w roku. W gminach, gdzie były mniejszości narodowe, wybierano 4 osoby spośród tej grupy. Uprawnienia Rady Bibliotecznej były znaczne. Mianowała ona (za zgodą rady gminnej) bibliotekarza, czuwała nad finansami biblioteki, decydowała o zakupach nowości wydawniczych i selekcji, sporządzała sprawozdania i opracowywała regulaminy wewnętrzne. Można przypuszczać, że bywały kilkakrotnie w Stanach Zjednoczonych Ladislav Živny obserwował pracę tamtejszych rad bibliotecznych (library board) funkcjonujących do dziś i przeniósł ich doświadczenie na czeski grunt. W Polsce idea ta z rozmaitych względów się nie przyjęła.

Wypadałoby zastanowić się, czy przypadająca na lata dwudzieste i trzydzieste ubiegłego wieku współpraca polsko-czeska na polu bibliotekarstwa należy już tylko do przeszłości, czy też pozostały po niej jakieś wartości trwałe. Warto też pomyśleć, czy jest możliwa i uzasadniona kontynuacja wspólnych badań lub programów i czego miałyby one dotyczyć.

Odpowiedź na pierwsze pytanie jest stosunkowo łatwa. W okresie międzywojennym nauczyliśmy się jedni od drugich, bardziej my, polscy bibliotekarze od czeskich. To nasze uczenie się dotyczyło głównie organizacyjnych i legislacyjnych problemów bibliotekarstwa publicznego. I choć współcześnie zmieniły się diametralnie warunki społeczne, gospodarcze, polityczne i kulturowe w obu naszych krajach, to biblioteki publiczne stanowią integralną część poziomu cywilizacyjnego Czechów, Słowaków i Polaków. Podstawę stanowi zakres piśmienności, aktywność czytelnicza, usługi informacyjne. Te trzy zjawiska, jak się wydaje powinny wyznaczać pole naszych wspólnych zainteresowań i obserwacji.

I tu przechodzimy do pytania, na ile podejmowanie wspólnych programów badawczych może być przydatne zarówno do ustaleń teoretycznych, jak i działań praktycznych. Nie chodzi o to, kto będzie się uczył od kogo, po prostu dlatego, że uniwersalizacja nowych technologii informacyjnych sprawia, że w obu naszych krajach postęp w ich wprowadzaniu i stosowaniu przebiega równolegle. Różnice dotyczą spraw szczegółowych, które można oczywiście obserwować i wyciągać przy-

datne dla praktyki codziennej wnioski. Ważniejsze od spraw warsztatowych wydaje się podjęcie próby umiejscowienia książki, czytelnictwa, biblioteki w szerszym kontekście zmian społecznych, zwłaszcza w obszarze kultury, polityki i gospodarki. Chodzi tu o ustalenie zarówno podobieństw, jak i różnic. Zwłaszcza w sytuacji dokonanego podziału Czechosłowacji na dwa odrębne państwa. Do jakiegoś stopnia tworzą one nadal wspólną kulturę. Cieszą więc inicjatywy podejmowane przez najmłodszą generację bibliotekarzy. Praca magisterska Edyty Lewandowskiej przynosi wiele ciekawych spostrzeżeń na temat czytelnictwa literatury pięknej na Słowacji i w Polsce.

Bibliotekarzy polskich mogą zainteresować najnowsze źródła informacyjne o polityce bibliotecznej na Słowacji i kierunkach rozwoju sieci bibliotek publicznych⁷. Jeżeli uwzględnimy fakt wydania w Czechach i na Słowacji oraz w Polsce nowych ustaw bibliotecznych, zbliżonych treściowo, ale jednak różniących się w szczegółach, to wydaje się, że nie zabraknie tematów, które warto podjąć dla pożytku bibliotekarstwa w tych trzech krajach.

⁷ *Narodna sprava o kulturnej politike Slovenskij Republiki 2003* oraz praca P. Rankova, P. Valčeka: *Čítanie 2003*. Bratysława 2003.

Rozdział III

JAK TO BYŁO NA POCZĄTKU

To był szczególnie trudny okres w najnowszych dziejach kraju. Mamy tu na myśli koniec lat czterdziestych i pierwszą połowę lat pięćdziesiątych. W 1953 r. zmarł Stalin, ale jego epoka trwała nadal. Jakieś zmiany następowały, ale dla przeciętnego obserwatora były trudno zauważalne. Odwrotnie, wraz z aresztowaniem prymasa Polski (wrzesień 1953 r.), skazaniem we wrześniu na 12 lat więzienia biskupa ordynariusza kieleckiego Czesława Kaczmarka, zamknięciem „Tygodnika Powszechnego” i przejęciem tytułu przez PAX, poczucie zagrożenia jeszcze się nasiliło. Aresztowanie (mimo, że na krótko) Hanny Pliszczyńskiej i Henryka Sawoniaka, pracowników Biblioteki Narodowej związanych z kręgiem prymasowskim świadczyło, że system, jak dobrze naoliwiony mechanizm działa sprawnie i nie popuści. Ale już w następnym 1954 r. pod tą skorupą lodu i śniegu wyczuwało się jakieś niewielkie strumyki, które rodziły nadzieję na zmiany. Najwyraźniej szło ku ociepleniu.

W 1954 r. czasopismo „Prasa Polska” wydało specjalny numer zawierający parodie ówczesnych pism. Wyśmiewano karykatury podżegaczy wojennych i powieści socrealistyczne. Niektóre teksty przedrukowało „Życie Warszawy”. Polska wznowiła przerwany w 1949 r. współpracę z UNESCO¹. Wprowadzono nowy podział administracyjny kraju tworząc w miejsce 40 tys. gromad 8 tys. większych jednostek. W sieci

¹ J. Karpiński: *Polska w odcinkach 1944-1988*. Warszawa 1989.

bibliotek publicznych zmiana ta wymuszała nowe działania przystosowawcze. W grudniu uchwałą Rady Państwa w miejsce urzędu ministra Bezpieczeństwa Publicznego powołano urząd ministra Spraw Wewnętrznych oraz utworzono Komitet do spraw Bezpieczeństwa Publicznego przy Radzie Ministrów. Stanisław Radkiewicz, minister Bezpieczeństwa Publicznego został ministrem Państwowych Gospodarstw Rolnych. Pod koniec roku zwolniono z aresztu Władysława Gomułkę.

W kinach wyświetlano „Piątkę z ulicy Barskiej”, „Pamiętkę z Celulozy”, zaczęło się ukazywać „Dookoła świata” a w Gdańsku powstał „Bim Bom”, opublikowano „Odwilż” Erenburga, a od września zaczęło się ukazywać „Po prostu”, z podtytułem: Tygodnik studentów i młodej inteligencji. W artykule wstępnym redaktorzy oświadczyli, że „jesteśmy grupą niezadowolonych – chcielibyśmy więcej mądrzej i lepiej”. I tak to zaczęło się toczyć.

Pomysł powołania Instytutu Książki i Czytelnictwa w ramach Biblioteki Narodowej rodził się w tym odwilżowym klimacie. Poprzedzała go również tradycja. W okresie międzywojennym powstał solidny grunt do podejmowania prac badawczych w dziedzinie organizacji bibliotekarstwa oświatowego (publicznego) oraz społecznej funkcji książki i czytelnictwa powszechnego. Podejmowane prace badawcze ukierunkowywała i wspierała metodologicznie Wolna Wszechnica Polska – Studium Pracy Społeczno-Oświatowej – Sekcja Bibliotekarska, którą kierowała do 1939 r. Helena Radlińska – autorka *Książka wśród ludzi*. W Studium tym pracowali wybitni i doskonale wykształceni humaniści, absolwenci uczelni krajowych i zagranicznych, władający swobodnie kilkoma językami, godnie reprezentujący środowisko polskie na oświatowych i bibliotekarskich forach międzynarodowych. Jan Muszkowski, Helena Radlińska, Aniela Mikucka, Wanda Dąbrowska łączyli pracę naukową z działalnością społeczną, popularyzatorską i organizacyjną. Nie stronili oni od zabierania głosu na łamach gazet i czasopism i robili to znakomicie. Prace badawcze podejmowane w Studium Pracy Społeczno-Oświatowej uzupełniały inicjatywy podejmowane w Poradni Bibliotecznej Warszawskiego Koła Związku Bibliotekarzy Polskich. Tu królowała Wanda Dąbrowska autorka katalogu: „Książki w bibliotece” oraz „Przewodnika Literackiego i Naukowego”.

Po II wojnie światowej jeszcze się coś w tym zakresie działo. Badania czytelnictwa podjęło Biuro Badania Czytelnictwa przy Spółdzielni

Wydawniczo-Oświatowej Czytelnik. Pracami tymi kierowała Aniela Mikucka. Biuro przeprowadziło Powszechną Ankietę Czytelniczą przeprowadzając liczącą pół mln egzemplarzy ankietę, z czego opracowano zbiór liczący 50 tys. egz. Wyników jednak nie opublikowano, a zdeponowane w Zakładzie Bibliotekoznawstwa Uniwersytetu Łódzkiego materiały gdzieś się z latami zawieruszyły. W końcu lat czterdziestych Biuro zlikwidowano. W 1950 r. przerwana została działalność Sekcji Bibliotekarskiej i Studium Pracy Społeczno-Oświatowej Wolnej Wszechnicy Polskiej, a Helena Radlińska została odesłana na płatny urlop naukowy. Utworzony w 1949 r. Państwowy Instytut Książki w Łodzi w tymże roku został zlikwidowany. Tak jakby się sprzyściły złe moce (i chyba tak było), bo w 1950 r. umiera Aniela Mikucka, w 1953 r. Jan Muszkowski, w tymże roku Adam Łysakowski, a w 1954 r. Helena Radlińska.

Tak więc rozpadły się ośrodki naukowe, a w niepowrotną przeszłość odeszła elita zawodu bibliotekarskiego, która stworzyła i realizowała w swoim życiu etos służby publicznej, dla których książka i jej czytanie stanowiły integralną część kultury narodowej i uniwersalnej.

„Kulturę narodu mierzy się nie tyle wartością jego literatury, co rozpowszechnianiem książek, statystyką ruchu wydawniczego” pisała Helena Radlińska².

Tym likwidatorskim poczynaniem towarzyszyła środowiskowa krytyka dotychczasowych poglądów i dokonań w zakresie bibliologii, bibliografii i badań czytelnictwa. Miała ona charakter propagandowy i tylko w niewielkim stopniu merytoryczny. Najobszerniej wypowiedział się na ten temat ówczesny dyrektor Biblioteki Narodowej, Władysław Bienkowski. W opublikowanej w 1953 r. przez Związek Bibliotekarzy i Archiwistów Polskich broszurze pod znamienym tytułem: *Opseudonauce bibliologii i o najpilniejszych zadaniach bibliografii* nie zostawił on suchej nitki zarówno na obcych, jak i rodzimych teoretykach bibliologii i bibliografii. Krytyka ta obejmowała dwa obszary. Pierwszy miał charakter światopoglądowy, a w gruncie rzeczy polityczny, w drugim zaś autor rozprawił się z nadmiernymi aspiracjami naukowymi bibliologii i bibliografii. Retoryka tej pierwszej części nie różniła się od setek, jeżeli nie tysięcy prymitywnych, wręcz prostackich stwierdzeń

² H. Radlińska: *Książka wśród ludzi*. Warszawa 2003 s. 27.

i argumentów stosowanych przez ówczesną propagandę. Natomiast kwestionowanie bibliologii jako wszechogarniającego systemu jednoczącego rozmaite nauki byłoby godne uwagi, gdyby nie utopienie jej w propagandowym sosie. Włączanie do bibliologii: bibliografii, biblionomii, bibliognozji, bibliozofii, bibliotekonomii, bibliosocjologii, bibliopsychologii, ale też i paleografii, dyplomatyki, archiwistyki, heraldyki, kartografii, muzykologii, historii sztuki, historii kultury, historii literatury, statystyki i wielu innych nie mogło być traktowane poważnie, choć nie da się ukryć, że te globalne aspiracje wpłynęły na ukierunkowanie badań naukowych oraz na dydaktykę akademicką w latach późniejszych.

„A więc – kpił Władysław Bieńkowski – królowa nauk, czy nauka nauk, której jedynym odpowiednikiem mogła być teologia w szczytowym momencie swojego rozwoju”³. Spór metodologiczny między Władysławem Bieńkowskim a Stefanem Vrtel-Wierczyńskim i Janem Muszkowskim dotyczył sprawy poważniejszej, a mianowicie traktowania przez nich jako głównego przedmiotu badań „książki jako takiej”, „książki w ogóle” w oderwaniu od zawartej w niej treści. Bieńkowski opowiadał się za takim badaniem czytelnictwa, które uwzględniałoby społeczne oddziaływanie idei, poglądów w określonych warunkach rozwojowych. „Dla nas poczytność książki nie jest zjawiskiem bibliologicznym, dowodził w innym miejscu. Fakt rozchodzenia się w milionowych nakładach we wszystkich krajach Historii WKPb jest wymownym dokumentem walki klasowej, walki przeciwko imperializmowi, o pokój, o wyzwolenie społeczne i narodowe na całej kuli ziemskiej i przyczyna tego faktu tkwi w sile wyłożonej tam nauki marksizmu, leninizmu, w przekonującej sile doświadczeń budowy socjalizmu w Związku Radzieckim”⁴.

Nie dowiemy się już nigdy, co skłoniło tego znawcę literatury klasycznej oraz poezji, autora bardzo dobrego podręcznika dla młodzieży licealnej pod tytułem: *Nauka o Polsce współczesnej* (1948) i odważnego taternika do wypisywania takich bzdur, w które przecież nie wierzył. Nie można wykluczyć, że będąc współtwórcą Krajowej Rady Narodowej (31 grudzień 1943) i bliskim współpracownikiem Władysława Gomułki nie chciał podzielić jego losu. Ale nie ulega wątpliwości, że ta-

³ W. Bieńkowski: *O pseudo-nauce bibliologii i o najważniejszych zadaniach bibliografii*. Warszawa 1953 s. 17.

⁴ W. Bieńkowski: *Tamże*, s. 30.

kimi oto stwierdzeniami uniemożliwił podjęcie jakiejkolwiek merytorycznej dyskusji, która powinna była poprzedzić powstanie Instytutu Książki i Czytelnictwa.

Do krytyki dotychczasowych osiągnięć w badaniach czytelnictwa dołączył swój głos Czesław Kozioł – uczeń H. Radlińskiej, który pod jej kierunkiem pisał pracę dyplomową. Jej tekst spłonął w powstaniu warszawskim. Zarzucał przedwojennym badaniom ujmowanie zjawisk statycznie, a nie dynamicznie, badanie głównie stanu, a nie rozwoju, wysnuwanie wniosków na tle ogólnych przeciętnych, a nie w kontekście konkretnych układów socjalnych uwarunkowanych walką klasową i krzepnięciem nowych idei na gruzach starego ładu. C. Kozioł postulował poddanie analizie stanu i rozrostu poszczególnych działów bibliotek powszechnych oraz obrotu książek w tych działach, analizę statystyk udostępniania książek w różnych środowiskach ludzkich, ocenę działalności bibliotek⁵. Mimo powoływania się na osiągnięcia badań radzieckich w tym zakresie C. Kozioł, jako absolwent Wolnej Wszechnicy Polskiej nie wypisywał byle czego i dał dowód, że zna materię i wie o czym pisze. Miał on swój udział we wprowadzeniu do programu Instytutu tematyki bibliotekarstwa publicznego. Będąc wówczas wicedyrektorem Centralnego Zarządu Bibliotek w Ministerstwie Kultury i Sztuki przywiązywał dużą wagę do tego kierunku badań. Był umysłowością dociekliwą, krytyczną, nie ulegającą stereotypom. Toteż funkcję swoją pełnił krótko. Jako bezpartyjny musiał ustąpić miejsca komuś z partyjnej nomenklatury.

Zupełnie inną osobowością była pierwsza dyrektor Instytutu Książki i Czytelnictwa, Zofia Krystyna Remerowa. Absolwentka Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, studiowała filologię klasyczną, a doktoryzowała się z archeologii. Ciężko doświadczona przez los, straciła szesnastoletniego syna, zesłanego przez NKWD do kopalni ołowiu, gdzie po roku zmarł. W 1945 r. po repatriacji ze Lwowa ściągnął ją do Biblioteki Narodowej wraz z mężem, pierwszy jej dyrektor Stanisław Vrtel-Wierczyński. Pełniła tu rozmaite funkcje przyczyniając się między innymi do powołania Zakładu Informacji Naukowej. W 1951 r. podjęła równoległe pracę w utworzonej przez Aleksandra Birkenmajera Katedrze Bibliotekoznawstwa na Uniwersytecie Warszawskim, a po jego przejściu na emeryturę objęła jej kierownictwo.

⁵ J. Muszkowski: *Życie książki*. Kraków 1951 s. 400.

Bibliotekę widziała jako instytucję wpływającą na społeczeństwo, ale też jako rezultat zachodzących przemian w polityce, kulturze i oświacie. Wypromowała 16 doktorów, nigdy nie „dopisała się do” żadnej cudzej pracy i ta zasada utrzymała się wśród jej wychowanków do dziś. Swoje pracowite życie przeplatała tłumaczeniami dzieł św. Augustyna, Cyserona i Komeńskiego. W 1968 r. przeszła na emeryturę, choć trudno to nazwać przejściem. Po prostu usunięto ją z Uniwersytetu, ponieważ w marcu 1968 r. ośmieliła się chronić studentów przed atakami zmobilizowanych w tym celu bandziorów.

Tak więc trzy bardzo różniące się osoby: Władysław Bieńkowski, Zofia Krystyna Remerowa i Czesław Kozioł doprowadzili do powstania w 1954 r. Instytutu Książki i Czytelnictwa.

Ówczesne ideologiczne spory nie zaprzętały młodych pracowników Instytutu. Nie znaczy to, że lekceważyli oni potrzebę określenia podstaw teoretycznych, jakiegoś uporządkowania tego, co zamierzali robić. Pierwszą taką próbę podjął Marek Skwarnicki w rozprawie: *Czytelnictwo i metody jego badania*. Przyjmując socjologiczny punkt odniesienia określał czytelnictwo jako proces społeczny polegający na zaspokajaniu kulturalnych, naukowych i rozrywkowych potrzeb ludzi oraz przyswojenie sobie przekazywanego w piśmie dorobku myśli i ducha ludzkiego⁶.

Korespondowało to z poglądem Antoniny Kłoskowskiej, która czytelnictwo traktowała jako „ustaloną przez kulturę postać symbolicznej interakcji społecznej”⁷.

Ani więc bibliologia, ani przykłady radzieckie, ani materializm historyczny, ale próba zbliżenia do metodologii socjologicznej z zachowaniem specyfiki przedmiotu badań, jakim jest książka i jej czytanie legła u podstaw programowych Instytutu Książki i Czytelnictwa.

Równolegle do rozważań teoretycznych Instytut podjął pierwsze badania empiryczne. W kwietniu 1959 r. opublikowano w 18 czasopismach i dziennikach ankietę czytelniczą. Ilość kompletnych odpowiedzi wyniosła ponad 10 tys. (10 368). Przyjmując wszystkie mankamenty, jakie towarzyszą takim badaniom, a zwłaszcza ich niereprezentatywność, uzyskane rezultaty mogły orientować w takich podstawowych sprawach

⁶ M. Skwarnicki: *Czytelnictwo i metody jego badania*. W: *Problemy czytelnictwa w wielkich miastach*. Warszawa 1960 s. 343.

⁷ A. Kłoskowska: *Socjologiczna problematyka czytelnictwa*. „Bibliotekarz” 1962 nr 2/3.

jak: struktura ankietowanej zbiorowości, zainteresowania czytelnicze, rozmiary kupowania książek, źródła dostępu do książki, ulubieni bohaterowie książkowi itp.⁸.

Drugim przedsięwzięciem było przeprowadzenie badań nad organizacją udostępniania książki w środowisku robotniczym na warszawskiej Woli. W polu obserwacji znalazło się 17 bibliotek zakładowych. Wyniki tych badań zachowały się w maszynopisie i jest to jedyny dokument świadczący o pracy tych bibliotek w latach pięćdziesiątych. W ówczesnym środowisku robotniczym Woli 18 tys. robotników nie miało pełnego podstawowego wykształcenia, 500 osób stanowili analfabeci. Wśród najpoczytniejszych pisarzy znaleźli się: Kraszewski, Żeromski, Sienkiewicz, Orzeszkowa, Prus, Rodziewiczówna, Bunsch, Curwood, London, Hugo. Z literatury współczesnej czytano książki: Brandysa, Bratnego, Dobraczyńskiego, Szmaglewskiej, Kamińskiego, Andrzejewskiego, Fiedlera. Coś z tego literackiego kanonu zachowało się do dziś, choć po bibliotekach związkowych nie zostało prawie śladu⁹.

W programie Instytutu podejmowano badania czytelnictwa kobiet, czytelnictwa w małych miastach, ośrodkach szybko uprzemysławianych. Podejmowano również badania nad organizacją bibliotek na wsi, strukturą warsztatów bibliotek publicznych, głównie w zakresie zawartości zbiorów bibliotecznych.

Ledwie Instytut rozpoczął działalność a już pojawiły się głosy postulujące, by zamiast badaniami zajął się pracą instrukcyjno-metodyczną, jednym słowem był bardziej praktyczny, mniej teoretyzował. Niestety, zabrakło Jana Muszkowskiego, Heleny Radlińskiej, Adama Łysakowskiego, którzy nie tylko daliby takim postulatom odpór, ale w obecności których mało kto śmiałby z czymś takim wystąpić. Dyrektor Remerowa poradziła sobie z tym problemem. W asyście młodych pracowników udała się do Ministerstwa Kultury i Sztuki, bo to stamtąd płynęły takie postulaty i wygłosiła monotonnym głosem akademicki referat. Minister walczył z ogarniającą go sennością i ku zdumieniu swoich urzędników przyznał dyrektor Remerowej rację i na wszystko się zgodził.

⁸ J. Kołodziejska: *O roli biblioteki, książki i prasy*. „Bibliotekarz” 1962 nr 2.

⁹ J. Kołodziejska, B. Wilska: *Organizacja upowszechniania książki i zainteresowania czytelnicze robotników dzielnicy Wola m.st. Warszawy*. Warszawa 1957. Maszynopis.

Trudno dziś dociec, ale to chyba Franciszek Sedlaczek określił zespół pracowników Instytutu „zieleniakami”. Nie było to podyktowane złośliwością, może odrobina zazdrości, bowiem dyrektor Remerowa zatrudniła młodych, świeżo po studiach polonistów i własnego chowu bibliotekoznawców. Zatrudniając „zieleniaków” zrobiła jednak kilka wyjątków na rzecz starszej generacji, uzyskując zgodę na przejście do Instytutu z Ministerstwa Kultury i Sztuki Wandy Dąbrowskiej. W ten sposób umożliwiła podjęcie badań nad zawartością i wykorzystaniem księgozbiorów bibliotek publicznych. W zespole pani Wandy znalazły się: Leokadia Opławska i Klara Siekierycz, ale w badaniach uczestniczył kto żyw. Efektem tych poczynań było opracowanie 3-tomowego katalogu: Książki dla bibliotek zawierającego spisy literatury pięknej, popularnonaukowe i oraz dla dzieci i młodzieży. Próżno dziś szukać tego katalogu w bibliotekach. A szkoda, bo zawarte w nim informacje świetnie ilustrują zawartość księgozbiorów w tamtych latach. Drugą osobą był Stanisław Antoszczuk, który przyszedł do Instytutu z Uniwersytetu Warszawskiego i będąc socjologiem zorganizował badania nad sytuacją zawodu bibliotekarskiego.

Dla „zieleniaków” Wanda Dąbrowska była osobą owianą legendą. Pamiętała rewolucję 1905 r., brała udział w demonstracji na placu Grzybowskim, oberwała szablą od kozaka i jak wspominała w zakrwawionej bluzce szła dumnie ulicami Warszawy. Kiedy przysła do Instytutu była już jedną z nielicznych polskich inteligentek z przełomu wieku, o dużej wrażliwości społecznej, tolerancyjnej i otwartej. Wiedziała, że młodzi są inni, ale po prostu traktowała to jako rzecz normalną.

Łączyła tę młodą grupę młodość. To niby dużo ale i mało. Prawie każdy wywodził się z innego środowiska i różne przejął tradycje i poglądy. Jednym socjalizm (tak nazywano wówczas cały ten system) umożliwił start życiowy, więc starali się na swój sposób być wobec niego lojalni, innych zdegradował materialnie i klasowo, więc traktowali go jak ciasne buty, które mimo pęcherzy trzeba rozchodzić. Jedni obczytywali się dzięki dobroci kustosza Stanisława Piotra Koczorowskiego w „Kulturze” paryskiej, inni udawali, że ich te lektury nie interesują. Ale w sumie grupa była wyjątkowo zgrana i lojalna wobec siebie. To było bardzo dużo jak na owe wyjątkowo paskudne czasy.

„Zieleniakom” sprzyjały zmiany strukturalne w Bibliotece Narodowej, a zwłaszcza powstanie nowych komórek, jak: Zakład Informacji

Naukowej, Zakład Mikrofilmów, Zakład Katalogów Centralnych, Zakład Bibliografii Zalecającej. Tam też trafiali młodzi ludzie. Zmiany te wytyczały na lata kierunki rozwojowe tej największej Biblioteki w kraju. Owcześnie dyrekcja wyczuwała zmiany zachodzące w bibliotekarstwie światowym. Starła się więc o stypendia zagraniczne dla „zieleniaków”, goniła do nauki języków obcych.

Dyrektor Bienkowski organizował wieczory poezji przy kieliszku wina. Muzyka, literatura była jego naturalnym środowiskiem. Był doświadczonym taternikiem, o silnych cechach przywódczych i poczuciem odpowiedzialności za innych. Był człowiekiem upartym, ale dawał się przekonać, umiał słuchać. „Zieleniaki” go lubiły i nigdy nie wspominały tej nieszczęsnej broszury z 1953 r.

Z perspektywy półwiecza można bez przesady stwierdzić, że „zieleniaki” wyszły na ludzi. Marek Skwarnicki związał się z „Tygodnikiem Powszechnym” i został pisarzem, i poetą. Był też pierwszym, krytycznym czytelnikiem *Tryptyku Rzymskiego*. Stanisław Siekierski jest cennym profesorem w Instytucie Kultury Polskiej na Uniwersytecie Warszawskim, autorem wielu ciekawych książek o kulturze, w których biblioteka i książka mają swoje poczesne miejsce. Krystyna Kraśniewska przez wiele lat prowadziła ciekawe audycje w Polskim Radiu. Andrzej Janowski jest profesorem pedagogiki i reprezentuje nas w różnych gremiach międzynarodowych. Bohdan Cywiński, który dołączył do „zieleniaków” później zasłynął książką: *Rodowody niepokornych* cytowaną często przez wybitnych historyków. Janusz Ankudowicz zmarł jako profesor bibliotekoznawstwa UMCS w Lublinie. Nie sposób wymienić wszystkich, o których wiadomo, że wnieśli swój wkład w różnych ośrodkach naukowych, w czasopiśmie i wreszcie w bibliotekach.

Rozdział IV

ZMAGANIA Z ANALFABETYZMEM

Piśmienność zwykło się wiązać z działalnością szkoły, bo to ona stanowi grunt do upowszechnienia umiejętności czytania i pisania. I to pod każdą szerokością geograficzną. Bez tej umiejętności niemożliwa jest edukacja, rozwój zainteresowań czytelniczych, korzystanie z informacji, zdobywanie kwalifikacji zawodowych, udział w życiu społeczności lokalnej, uczestnictwo w procedurach demokratycznych, wiedza o prawach i obowiązkach obywatelskich.

Rozmiary piśmienności wyznaczają rozmaite uwarunkowania, takie jak:

1. Tradycje środowiskowo-rodzinne, głównie aspiracje kulturalne i edukacyjne rodziców, a nawet dziadków.
2. Obecność książki w domu rodzinnym i jej dostępność w środowisku lokalnym.
3. Programy szkolne: dobór kanonu literackiego i konsekwentne jego wdrażanie w procesie edukacyjnym.
4. Przynależność do grupy towarzyskiej, zawodowej, w której czytanie stanowi pozytywny wyróżnik.
5. Status materialny umożliwiający uczestnictwo w kulturze, w tym kupowanie książek i czasopism.

Upowszechnienie piśmienności zależy:

1. Od dostępności do edukacji, przynajmniej na poziomie szkoły podstawowej.

2. Społecznej i ekonomicznej opłacalności kształcenia polegającej na polepszeniu statusu w hierarchii zawodowej i możliwościach znalezienia pracy.

3. Minimalizowania barier psychologicznych i społecznych takich jak: uprzedzenia rasowe, etniczne, klasowe, wobec niepełnosprawnych itp.

4. Technologii uczenia czytania i pisanie.

Opinia międzynarodowa jest zgodna co do tego, że upowszechnianie piśmienności (alfabetyzacji) w świecie zależy od dostępności do edukacji, głównie na poziomie szkoły podstawowej. Artykuł 26 the Universal Declaration Human Rights (1948) określa wyraźnie, że każdy ma prawo do bezpłatnego wykształcenia na poziomie elementarnym. Innym równie ważnym dokumentem, przyjętym w 1990 r. (Tajlandia) przez takie organizacje jak: UNESCO, UNICEF, UNDP, UNFPA i Bank Światowy jest „the World Declaration on Education for all”. W przeciwieństwie do Międzynarodowego Funduszu Walutowego, Bank Światowy dostrzega problemy społeczne w poszczególnych krajach i traktuje edukację jako integralną część rozwoju gospodarczego. Wymienione uchwały mają bardziej deklaratywne niż praktyczne znaczenie, niemniej przypominają poszczególnym rządów o ważności edukacji w rozwoju społecznym. Według danych statystycznych liczba dzieci objętych nauką na poziomie podstawowym jest coraz większa. W 1990 r. liczba uczniów w szkołach podstawowych wynosiła 599 mln, zaś w 1998 r. – 681 mln. Piśmienność dorosłych w 1950 r. stanowiła 55% ogółu światowej populacji, zaś w 2004 już 82%. Wiadomo jednak, że jakkolwiek dane te nie są ścisłe, to jednak wyraźnie wskazują, że postęp alfabetyzacji nadąża za wzrostem światowej populacji, a nawet go wyprzedza. W dalszym ciągu ponad 100 mln dzieci jest poza szkołą, a prawie 862 mln światowej populacji dorosłych stanowią analfabeci. Toteż organizacje międzyrodowe postulują, by po pierwsze, do 2015 r. wszystkie dzieci były objęte nauką w szkole podstawowej, po drugie, by nastąpiło zrównanie szans edukacyjnych chłopców i dziewcząt i po trzecie, by umożliwić naukę dzieciom niepełnosprawnym. Te zubożne postulaty są odległe od rzeczywistości. Między innymi dlatego, że 211 mln dzieci w wieku 4-14 lat pracuje zarobkowo. Połowę z nich stanowią dziewczęta. Nie licząc milionów dzieci pracujących w gospodarstwach domowych, gdzie dziewczęta stanowią większość.

Koszty kształcenia ponoszone przez rodzinę, wczesne małżeństwa dziewcząt, konflikty i przemoc w szkole, rozprzestrzeniający się HIV/AIDS stanowią najpowszechniejsze bariery dla kształcenia dziewcząt. Można z dnia na dzień wyposażać szkołę w książki, komputery i Internet, ale tradycja i wartości kulturowe zmieniają się bardzo powoli. Tak się dzieje nie tylko w społecznościach afrykańskich, azjatyckich czy muzułmańskich, ale również euroamerykańskich. Twórcy niepodległości Stanów Zjednoczonych w 1793 r. nie mogli przewidzieć, że głoszona przez nich w Deklaracji zasada, iż wszyscy ludzie rodzą się wolni, będzie realizowała się z wielkimi oporami przez ponad 200 lat i że nie jest to proces, który można uznać za całkowicie zakończony. Jeszcze po II wojnie światowej na dworcach kolejowych Ameryki można było spotkać krany z wodą osobne dla białych i dla czarnych. W 1968 r. w Dallas przy numerach szkół w książce telefonicznej widniała w nawiasach informacja „black” albo „white”, a początki szkolnictwa zintegrowanego miały miejsce w asyście gwardii narodowej, wprowadzającej siłą dzieci murzyńskie do szkół, w których dominowały dzieci białe.

Hasło zawarte w Konstytucji Stanów Zjednoczonych, że ludzie rodzą się wolni było niewątpliwie rewolucją, ale dotyczyło ono głównie białych Amerykanów. Dopiero w 1865 r., po wojnie secesyjnej Senat USA uchwalił poprawkę do Konstytucji znoszącą niewolnictwo. Ale przyjęta w 1896 r., doktryna „separate but equal” (osobno ale równo) była krokiem wstecz, utrwalającym na lata segregacyjne podziały. Pacyfiści pewnie się oburzają, ale to II wojna światowa przyspieszyła zmiany mentalnościowe wśród białych Amerykanów. W 1941 r. zniesiono segregację w przemyśle zbrojeniowym i w wojsku. Nie dało się zepchnąć do oddzielnych rewirów tych, którzy oddawali życie za kraj.

Przełamywanie uprzedzeń rasowych miało miejsce również w innych krajach. Biali Australijczycy nie chcieli się zgodzić, by czarni żołnierze USA przybyli na pomoc przed spodziewaną inwazją Japończyków zeszli na ląd w Sidney. Prawdziwa batalia rozgrywała się nie o krany z wodą, miejsca w autobusach czy bojkot sklepów, choć miało to oczywiście symboliczne znaczenie, ale o równy dostęp do szkół. Dla obu stron konfliktu było jasne, że tylko równej jakości wykształcenie da możliwości awansu czarnej społeczności. A tego nie dało się osiągnąć w podzielonych na lepsze (dla białych) i gorsze (dla czarnych) szkołach.

Uchwalone w ciężkich bojach w 1964 r. prawa obywatelskie (Civil Rights Act) zniosły formalnie segregację rasową we wszystkich dziedzinach życia i przewidywały cofnięcie subsydiów rządowych dla tych szkół, które będą stosowały u siebie zasady segregacji. Kilka lat wcześniej, w 1951 r. Linda Brown, której odmówiono prawa uczęszczania do szkoły dla białych w mieście Topeka (stan Kansas) odwołała się do Sądu Najwyższego, który uznał, że segregacja w szkolnictwie narusza zasadę równości. W kilka lat później poszło już na ostro, do czego przyczynili się kolejni prezydenci Stanów Zjednoczonych. „W 1957 r. – pisze Hillary Rodham Clinton – eks gubernator, Orval Faubus – sprzeciwił się nakazowi sądu, by przeprowadzić integrację w szkole średniej Central High w Little Rock. Prezydent Eisenhower wysłał Gwardię Narodową, by wymóc przestrzeganie prawa”¹. Na takie drastyczne posunięcie mógł sobie pozwolić były głównodowodzący wojsk koalicyjnych w czasie II wojny światowej. Prezydentowi Johnowi Kennedy’emu przypisuje się zasługi w walce o równouprawnienie czarnych obywateli, ale to jego następca, prezydent Lyndon Johnson podpisał w 1964 r. ustawę o prawach obywatelskich, a w 1965 r. wprowadził przepisy ułatwiające mniejszościom rasowym dostęp do uczelni, pracy, zamówień rządowych, zwolnień podatkowych. Działania w dziedzinie wyrównywania szans edukacyjnych przyczyniły się do powstania czarnej klasy średniej. Zanim to nastąpiło, rząd musiał pokonać silne opory środowisk zachowawczych, zwłaszcza w stanach południowych.

Wprowadzenie w połowie lat sześćdziesiątych rejonizacji szkół utrzymywanych przez państwo było krokiem odważnym, zmierzającym do zniesienia podziału na szkoły lepsze (dla dzieci białych) i gorsze (dla dzieci czarnych). Jak wielkie to były różnice świadczy kilka faktów. W stanie Alabama i Missisipi – pisał Paul Cooke – dzieci murzyńskie poprzestają na 3-4-letniej nauce (obowiązywało wówczas 6 lat), a władze stanowe ograniczają nakłady finansowe na szkoły murzyńskie. Na przykład w stanie Missisipi w latach 1949-1959 z budżetu stanowego na każdego białego ucznia przypadało 122,93 dol., gdy na ucznia murzyńskiego w tym samym czasie tylko 32,55 dol. Przy dokładniejszych badaniach okazało się, że na 10 mln dzieci uczęszczających w 1965 r. do szkół podstawowych i średnich około 30% nie korzysta z bibliotek szkolnych, bo ich tam po prostu nie ma. Dotyczyło to przede wszystkim szkół mu-

¹ H. R. Clinton: *Tworząc historię. Wspomnienia*. Warszawa 2003 s. 97.

rzyńskich. W 1950 r. na 138 000 szkół podstawowych 59 652 miały tylko jednego nauczyciela i były to głównie szkoły murzyńskie. Nic dziwnego, że ci, którzy ukończyli najwyżej cztery klasy szkoły podstawowej, a byli w wieku powyżej 25 lat wśród białych stanowili 8,7%, ale wśród Murzynów 31,5%².

Bardzo charakterystyczna jest cytowana w badaniach Brinka i L. Harrisa wypowiedź 36-letniej Murzynki, służącej, która różnice między szkołą dla dzieci białych i czarnych widziała w tym, że pierwsze po powrocie ze szkoły przynoszą 5-6 książek, drugie zaś żadnej³.

Wprowadzenie rejonizacji szkół stworzyło możliwości wyrównania szans edukacyjnych dla czarnych obywateli, ale skutki były rozmaite. W szkołach, w których znalazły się dzieci białe i murzyńskie po jakimś czasie w widoczny sposób obniżył się poziom nauczania między innymi dlatego, że dzieci murzyńskie często pozbawione środowiska domowego o pewnym poziomie kulturalnym nie mogły sprostać wymaganiom programu, który okazał się dla nich zbyt trudny. W tej sytuacji rodzice dzieci białych w trosce o późniejszy ich start i sukcesy w szkole średniej i kolegiach woleli posyłać je do płatnych szkół prywatnych. Zjawisko to nie stało się masowe, ale utrzymało podział na szkoły lepsze i gorsze.

To, że promotorem edukacji jest gospodarka, a zwłaszcza wzrost zatrudnienia i to w zawodach wymagających wyższych kwalifikacji jest sprawą oczywistą i sprawdzoną w wielu krajach. Możliwości takie zaznaczyły się już w połowie lat sześćdziesiątych wraz z rozwojem nowych technologii informacyjnych, a zwłaszcza z zastosowaniem komputerów. Powstało wówczas zapotrzebowanie na pracowników, którzy potrafili by je obsłużyć. W związku z tym w krótkim czasie powstało w całym kraju 600 kolegiów (przeważnie stanowych) z programami kształcenia w tym zakresie. Trafiali do nich głównie młodzi ludzie z różnych mniejszościowych grup etnicznych, przede wszystkim murzyńskich, ale również meksykańskich i słowiańskich. Ukończenie takiego kolegium pozwalało pozyskać lepiej płatną pracę, zamieszkanie w lepszej dzielnicy, po prostu wyjścia z getta takiego jak: Harlem w Nowym Jorku, South Side w Chicago, Watts Area w Los Angeles czy Roxbury Section w Bostonie i wielu innych.

² P. P. Cooke: *Civil rights in the United States*. Washington 1966 s. 5.

³ W. Brink, Harris Louis: *The Negro Revolution in America*. New York 1964 s. 58.

W taki sposób dzięki postępowi technicznemu powstawała murzyńska klasa średnia, stopniowo zakorzeniająca się w społecznościach lokalnych i tworząca ważne segmenty społeczeństwa obywatelskiego. Dwudziestomilionową populację ludności murzyńskiej z drugiej połowy lat sześćdziesiątych nie da się porównać ze zmianami demograficznymi w latach późniejszych. Potoczyły się one zupełnie inaczej niż to sobie wyobrażali przeciwnicy desegregacji rasowej. Od czasów, gdy gwardia narodowa wprowadzała dwoje murzyńskich dzieci do szkoły w Little Rock struktura demograficzna społeczności amerykańskiej zmieniła się radykalnie. W 1990 r. więcej niż co trzeci uczeń (35%) w szkołach publicznych w klasach od 1-12 pochodził ze środowisk mniejszościowych. 13% uczniów w wieku 5-17 lat nie mówiło w domu po angielsku, a 5% miało trudności w wysławianiu się. Wśród białych rodzin dochody poniżej poziomu ubóstwa miało 8,5%, a w podobnej sytuacji znajdowało się 26,4% rodzin czarnych i 20,2% rodzin indiańskich, 12,4% rodzin azjatyckich oraz 21,4% rodzin meksykańskich.

Prognozy przewidują, że w 2025 r. spośród 58 mln uczniów (w wieku 5-17 lat) czarni będą stanowili 17,32%, Azjaci 7,41%, Meksykanie 13,4%, Indianie amerykańscy 1,30%. W sumie mniejszości etniczne będą stanowiły około 40% ogółu uczniowskiej populacji. Tak więc to nie Murzyni, ale Latynosi, a wśród nich Meksykanie stanowią największą etniczną mniejszość w strukturze demograficznej USA. Średni dochód latynoskiego gospodarstwa domowego stanowi 33 tys. dolarów rocznie i jest niższy niż średni dochód białych rodzin (47 tys. dol.). Szacuje się, że w 2025 r. co piąty Amerykanin będzie Latynosem, a w 2050 r. już co czwarty.

Za różnicowaniem etnicznym populacji uczniowskiej nie nadąża kształcenie nauczycieli. W latach 1993-94 spośród 2,5 mln nauczycieli szkół podstawowych i średnich tylko 7,4% było Afroamerykanami i 4,2% Meksykanami⁴.

Postęp edukacyjny środowisk etnicznych można oceniać jako zbyt powolny, wypada jednak pamiętać o jego dramatycznych początkach w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych oraz o całym złożonym kontekście społecznym, w którym mieszczą się: tradycja, kultura, obyczaje,

⁴ K. H. Au, T. E. Raphael: *Equity and literacy in the next millenium*. Reading Research Quaterly 2000 no 1.

religia oraz cały zróżnicowany system wartości charakterystyczny dla poszczególnych grup narodowych i etnicznych.

Granice w dostępie do edukacji przebiegają nie tylko według regionów biednych i bogatych. W przypadku tych pierwszych analfabetyzm ma charakter masowy i dotyczy setek tysięcy i milionów ludzi zarówno dorosłych, jak i dzieci. W tym drugim zakresie piśmienność ma liczne uwarunkowania wynikające ze zmian w strukturze społecznej, co doskonale ilustruje przykład Stanów Zjednoczonych. Póki regulatorem w dostępie do edukacji (głównie piśmienności) były przywileje dzielące społeczeństwo na grupy białych obywateli i tzw. kolorowych, ludzi przynależnych do klasy średniej, a więc ustabilizowanej i w miarę zamożnej, biorących udział w życiu publicznym oraz pozbawionych jakichkolwiek praw (czarni niewolnicy w stanach południowych), wszystko wydawało się toczyć według ustalonego porządku. Właściciele plantacji bawełny na Południu karzący chłostą i obcięciem palca wskazującego swoich czarnych niewolników za próby nauki czytania, w najczarniejszych snach nie mogli znać współczesnych prognoz mówiących o tym, że do 2020 r. ludzie kolorowi będą stanowili 50% całej populacji Stanów Zjednoczonych, że coraz liczniejsze grupy imigrantów, głównie z Ameryki Łacińskiej i Azji będą obciążały do zmian w metodach szkolnego nauczania, przekształcaniach na rynku wydawniczym, poszukiwania nowych form pracy w bibliotekach publicznych itp. To co stanowiło dominującą grupę Euroamerykanów zmieniło się radykalnie. Współczesna szkoła amerykańska realizuje programy nauczania dla uczniów pochodzących z Afryki, Azji, Meksyku, Ameryki Południowej.

Piśmienność jest integralną, jeżeli nie główną, częścią edukacji. Jest nie tylko sumą umiejętności, ale praktyką kulturalną. I tu zaczynają się trudności polegające na oderwaniu piśmienności od praktyki rodzinnej i społeczności lokalnej. Współczesne wyniki badań nie pozostawiają najmniejszych wątpliwości, że o powodzeniu w szkole decyduje obecność książki w domu rodzinnym i to wszędzie: w kuchni, pokoju, korytarzu, łazience. Książka w ręku rodziców i innych członków rodziny stanowi niezastąpiony wzorzec. Tymczasem imigranci nie mówią językiem używanym w szkole i nie mogą pomóc swoim dzieciom. W praktyce więc uczniowie posługują się językiem oficjalnym, publicznym w szkole, a w domu mówią tak, jak mówi matka. Ta językowa dwoistość daje się zaobserwować również na polskim gruncie. Podczas lekcji dzieci z tru-

dem wypowiadają się w języku literackim, ale już na przerwie porozumiewają się między sobą zupełnie inaczej. Oczywiście jest to ten sam polski język, ale różnice tkwią w zasobie słów, pojęć, artykulacji, melodyce zdania, nowotworach słownych, skrótach i licznych błędach gramatycznych. „Ubrał na głowę kapelusz” pisze uczeń V klasy szkoły podstawowej w tekście zgłoszonym na konkurs prozy dziecięcej i nikt z jurorów, przyznając mu wyróżnienie, nie zwrócił na to uwagi⁵.

Tak więc o nierównościach w dostępie do piśmienności decydują nie tylko różnicowania etniczne, ale również kulturowe i materialne. Dzieci z domów ubogich, w których rodzice nie uczestniczą w życiu kulturalnym lub czynią to w bardzo wąskim zakresie, gdzie książka, gazeta i czasopismo są nieobecne, gdzie nie rozmawia się z dziećmi, nie czyta im bajek – mają trudności w szkole, często już na początku nauki. Ich wyposażenie kulturowe nie wytrzymuje konfrontacji z zasobem wyniesionym z domu przez inne dzieci. Wyniki badań przeprowadzone w Australii dowiodły, że dla niektórych dzieci torturą psychiczną okazało się tzw. literowanie (spelling) i rozumienie nieznanych im słów. Ktoś nie mógł przeliterować „potato” i do dziś nienawidzi literowania. Inny nie może zapomnieć agresji nauczyciela, który wyzywał go od głupców. Efekty tego były takie, że osobom tym dopiero w dorosłym życiu udało się przełamać kompleksy i nauczyć się czytać.

Jest rzeczą oczywistą, że gospodarka pełni funkcje promotora edukacji. Inwestowanie w naukę dzieci musi wspierać przeświadczenie, że w ten sposób można im zapewnić lepszą przyszłość. Posyłanie cygańskiego dziecka do szkoły na Słowacji, nawet jeżeli przebrnie ono przez kilka pierwszych lat nauki, niewiele lub nic nie zmienia w jego społecznym statusie. To jest podobne zjawisko, jak w fawelach otaczających metropole Argentyny, Meksyku, Kolumbii, czy Boliwii. W odróżnieniu od ich rówieśników z lepszych dzielnic dzieci tam żyjące porozumiewają się językiem niezrozumiałym dla osób spoza tych rejonów.

Upowszechnienie piśmienności w środowiskach, gdzie żyje się za dolara dziennie, wymagałoby podjęcia działań stwarzających perspektywę zatrudnienia, eliminujących bezprawie, rządy grup przestępczych, zapewnienie elementarnej opieki zdrowotnej. Działania podejmowane

⁵ Pękła struna na niebie... Wybór wierszy i opowiadań z XX Ogólnopolskiego Konkursu Literackiej Twórczości Dzieci i Młodzieży Gimnazjalnej... Słupsk 2004.

przez jednostki: społeczników, księży, lekarzy; nauczycieli mogą łagodzić wiele tych negatywnych zjawisk, ale nie zastępują programów rządowych wspartych przez organizacje międzynarodowe, takie jak: Bank Światowy, Międzynarodowy Fundusz Walutowy, UNESCO, UNICEF i inne⁶.

Coraz powszechniejszy staje się pogląd, że piśmienności nie da się upowszechnić traktując ją mechanicznie. Nie wystarczą najlepiej opracowane metody nauczania, dostateczne kwalifikacje nauczycieli i nowoczesne wyposażenie szkoły. Stosunek do słowa pisanego i drukowanego ma indywidualny charakter nie tylko wśród dorosłych, ale także wśród dzieci. Przekroczenie progu piśmienności nie jest aktem jednorazowym, często jest to zależne od całego złożonego kontekstu życiowego, w którym funkcjonuje jednostka.

Mając to na względzie, niektóre szkoły amerykańskie organizują wspólne zajęcia dla dzieci i rodziców. Rodzice są zachęcani, by opowiedzieli o przeszłości kraju, z którego pochodzą, o dawnych i współczesnych obyczajach, matki przygotowują specjalności narodowej kuchni, razem spożywa się posiłek, bywa, że układa się listę książek, które warto przeczytać⁷. Przekonanie, że to status imigranta wpływa negatywnie na upowszechnianie piśmienności byłoby jednak zbyt dużym uproszczeniem. Między innymi dlatego, że sytuacje kulturowe i materialne jednostek i grup są rozmaite, często nieporównywalne. W Stanach Zjednoczonych imigranci z krajów afrykańskich, azjatyckich, latynoamerykańskich, zajmują (z wyjątkami) niższe szczeble drabiny społecznej. Są to często pracownicy fizyczni, bywa, że bezrobotni, o niskim wykształceniu, ze słabą znajomością języka angielskiego. Nie tylko nie mogą pomóc swoim dzieciom, ale bywa, że muszą korzystać z ich pomocy w załatwianiu formalności w banku, opiece społecznej, na pocztę, w poszukiwaniu pracy. Diametralnie inna jest sytuacja polskich imigrantów w Szwecji. W grupie tej dominują inteligenci z wyższym wykształceniem, profesjonaliści pracujący w różnych dobrze płatnych dziedzinach. Dzieci z tych rodzin osiągają dobre wyniki w nauce, korzystają aktywnie z bibliotek publicznych, są odcytane. W przeciwieństwie

⁶ A. Domosławski: *Gorączka latynoamerykańska*. Warszawa 2004.

⁷ L. M. Morrow: *Family literacy: Home and school working together*. Reading Today 2003 no. 3.

do dzieci z rodzin tureckich, które uczą się miernie, a głównym ich zainteresowaniem są programy telewizyjne, w tym również reklamy. Obserwacje te dowodzą, że to nie przynależność etniczna, ale wykształcenie i umiejętności zawodowe, określające status materialny rodziców, sprzyjają piśmienności ich dzieci.

Próby pokoleniowej integracji podejmowane są również przez polskie biblioteki publiczne, zwłaszcza na wsi. W Gminnej Bibliotece Publicznej w Długosiodle (Kurpie) zaproszone przez bibliotekarkę babcie i dziadkowie pokazują dzieciom, jak się dawniej haftowało, plotło koronki, piekło chleb, jak wyglądały stare instrumenty i jak się na nich grało. Przy okazji przypomina się dawne piosenki, przywołuje wydarzenia, których starsi ludzie byli świadkami. Mali czytelnicy odwiedzają osoby starsze, niedowidzące, czytają im książki, gazety, coś z czasopism⁸. We wsi Dietrichowice (koło Żagania) miejscowa Biblioteka Gminna stała się ośrodkiem życia kulturalnego i towarzyskiego: spotkania przy kawie i domowych wypiekach, wycieczki do teatru, porządkowanie otoczenia, wszystko to służy wzajemnemu poznaniu się i umacnianiu więzi między mieszkańcami⁹.

Nawet najatrakcyjniejsze działania szkoły i biblioteki nie są w stanie konkurować z tym, co oferuje współcześnie kultura popularna. Programy telewizyjne (w mniejszym stopniu radiowe), komputer z dostępem do Internetu, nowe technologie informacyjne, zwłaszcza telefonia komórkowa, możliwości porozumiewania się za pośrednictwem poczty elektronicznej oraz SMS-u, wszystko to tworzy nową jakość życia określaną i chyba słusznie jako cywilizacja elektroniczna. Możliwości stwarzane przez nowe techniki są nieporównywalne z doświadczeniami przeszłości. Dotyczy to zwłaszcza tempa dokonujących się zmian. Jeszcze kilkanaście lat temu niewątpliwym postępem było instalowanie budek telefonicznych, zwłaszcza na wsi. Ponieważ upowszechniły się telefony komórkowe, myśli się o ich likwidacji. Jako forma przekazywania informacji wychodzi z użycia telegram. Zastępuje go telefonia. Jeszcze nie tak dawno w bibliotekach ręczne katalogowanie zastąpiono maszyną do pisania, dziś wymienia się ją na komputer. Nowe technolo-

⁸ E. Krysiak: *Rola i znaczenie Gminnej Biblioteki Publicznej w Długosiodle*. Praca magisterska wykonana pod moim kierunkiem w 2005 r.

⁹ E. Stachurska-Dobek: *Współczesne kobiety wiejskie. Czytelnictwo i działalność*. Praca magisterska wykonana jw.

gie zmieniają sposoby kontaktowania się ludzi między sobą, przekształcają sferę usług: bankowych, ubezpieczeniowych, handlowych, również bibliotecznych, sprzyjają bardziej racjonalnym formom pracy (usługi informacyjne bez wychodzenia z domu) itp. Nieporównywalny z przeszłością staje się proces dydaktyczny. Upowszechnia się na niespotykaną dotąd skalę wykorzystanie informacji za pośrednictwem Internetu, teksty drukowane zastępują teksty elektroniczne online i CD-ROM, wszelkiego typu multimedia. Uczenie się stało się łatwiejsze, ale nikt nie potrafi dowiedzieć, czy efektywniejsze. Do godzin spędzonych przed telewizorem trzeba dodać czas, jaki pochłaniają gry komputerowe i Internet. Coraz mniej czasu pozostaje na lektury, teatr, kino, koncert, na spotkania rodzinne i towarzyskie, na dyskusję i rozmowę. Rozziew między kulturą elitarną a popularną jest coraz większy. Młode generacje mówią językiem emaili i SMS-ów często niezrozumiałym dla starszych. Ten nowy język odbiega dalece od tekstu drukowanego. Student i to nierzadko kierunku humanistycznego nie bardzo rozumie, co mówi jego profesor, dla tego ostatniego zaś język studenta kojarzy się z językiem swahili. W taki oto niepostrzeżony sposób, ale coraz bardziej przyspieszony, rozpada się akademicka wspólnota intelektualna.

Cywilizacja elektroniczna ma swoich zwolenników, ale też i konsekwentnych krytyków. Dla pierwszych czasy, w których przestanie istnieć książka, w swojej drukowanej postaci, papier i długopis są już blisko. Zastąpi je CD, storybooks i teksty elektroniczne dotyczące przede wszystkim literatury niebeletrystycznej. Zainteresowanie tym rodzajem piśmiennictwa wyraźnie wzrasta. Głównie wśród uczących się, dla których forma wydawnicza książek niebeletrystycznych jest wielce przydatna. Informacje przedstawione w postaci ilustracji, wykresów, diagramów są po prostu łatwiejsze w odbiorze. Również te przekazywane za pośrednictwem komputera. Mimo wszelkich innowacji piśmiennictwo, nauka czytania i pisanie pozostaje w ścisłym związku z literaturą piękną. Dotyczy to głównie małych dzieci, jeszcze w wieku przedszkolnym, dla których literacki tekst bajki warunkuje rozwój języka, bez którego rozumienie otaczającego ich świata byłoby niemożliwe. Wrażliwość, emocje, współczucie, poczucie solidarności, rozróżnianie tego co dobre, a co złe, a więc to wszystko, co zawiera literatura piękna stanowi, począwszy od najmłodszych lat, niczym niezastąpione wyposażenie jednostki czyniące ją człowiekiem. Nie wydaje się, by wiek XXI wprowa-

dził tu jakieś istotne odstępstwa od wielowiekowej tradycji w tej dziedzinie.

O ile zróżnicowania kulturowe wynikające ze statusu społecznego rodziny można uznać za naturalne, to nie da się tego odnieść do szkoły jako instytucji publicznej. Mówiąc o naturalności mamy na myśli te elementy, które składają się na całokształt życia jednostki i grup społecznych, takie jak miejsce zamieszkania (wieś, małe miasto, metropolia), dostęp do instytucji kultury (biblioteki, kina, teatry, sale koncertowe i inne), sytuację materialną rodziny, wykształcenie i kwalifikacje zawodowe rodziców, obecność książki, gazety i czasopisma w domu, dostęp do Internetu itp. Wszystkie te w ogromnej mierze niezależne od woli jednostki zróżnicowania mogą być wyrównywane przez szkołę, a jeszcze wcześniej przez przedszkole; pod warunkiem jednak, że traktuje ona wszystkie dzieci jednakowo i nie dopuszcza do tworzenia dodatkowych barier w postaci opłat za ponadprogramowe zajęcia typu: praca z komputerem, języki obce, sporty, gra w tenisa, pływanie czy szachy. To według tych dodatkowo płatnych zajęć już w szkole podstawowej i w gimnazjum następuje podział na klasy gorsze i lepsze. Według prowadzonych obserwacji w 30-50% miejskich gimnazjach mają miejsce te podziały sprzyjające utrwalaniu się dziedziczenia statusu rodziców zarówno wysokiego, jak niskiego¹⁰.

Tak segregowane dzieci ponoszą dalsze konsekwencje na swojej edukacyjnej drodze. Kończący renomowaną publiczną szkołę średnią, bogato wyposażoną w księgozbiór, elektronikę, kwalifikowanych nauczycieli i wzbogacaną dodatkowymi zajęciami opłacanymi przez rodziców, mają szansę dostać się na bezpłatne studia w wyższej uczelni akademickiej. Pozostali trafiają do płatnych, prywatnych szkół wyższych, które dają szansę uzyskania stopnia licencjata w zakresie zarządzania, marketingu, administracji czy bankowości, resocjalizacji itp. Wykształcenie takie daje coraz słabsze szanse zdobycia dobrze płatnej pracy, a nawet w ogóle jakiegoś zajęcia. W taki oto sposób szkoła do barier naturalnych dorzuca segregację na tych lepszych, którym (dzięki pieniądzom rodziców) się w życiu udało, i tych, którzy sami siebie traktują jako nieudaczników z własnej winy. Tymczasem racjonalne myślenie nakazywałoby prowadzenie działań zmierzających do zapewnienia rów-

¹⁰ A. Leszczyński: *Segregacja klasowa*. „Gazeta Wyborcza” 2004 nr 156.

nych szans przede wszystkim słabszej części uczniowskiej populacji. Po pierwsze dlatego, że w ten sposób poszerza się baza demokracji, po drugie, umożliwia to wyławianie jednostek szczególnie uzdolnionych i po trzecie, zmniejsza skalę frustracji i niewiary we własne siły. Potoczne obserwacje dowodzą niezbicie, że wykluczenie ma różne oblicza. Wykluczona może się czuć jednostka stojąca pod kościołem kapucynów w kolejce po darmową zupę, ale również młody człowiek z dyplomem prywatnej szkoły wyższej, który od kilku lat nie może znaleźć pracy.

To, co się dzieje w szkolnictwie podstawowym i średnim ma dalszą kontynuację w szkolnictwie akademickim. Dotyczy to przede wszystkim podziału na studia stacjonarne i zaoczne. Absolwenci renomowanych liceów ogólnokształcących mają otwartą drogę do studiów stacjonarnych (bezpłatnych) w uczelniach publicznych. Pozostali mają do wyboru albo kierunki zaoczne w tychże państwowych uczelniach, albo w licznych wyższych szkołach prywatnych, o bardzo zróżnicowanym poziomie nauczania.

Stworzenie szansy zdobycia dyplomu licencjata czy magistra ludziom, którzy z różnych względów nie mogli ukończyć studiów we właściwym czasie jest niewątpliwym osiągnięciem polskiego szkolnictwa wyższego ostatniej dekady XX i pierwszych lat XXI w. Wątpliwości budzą proporcje w przyjmowaniu na te dwa typy studiów oraz możliwości realizowania programu nauczania. Chodzi tu przede wszystkim o niedostateczne wyposażenie materialne szkół wyższych: lokale, biblioteki, personel. Uczelnie publiczne przyjmują coraz więcej kandydatów na studia zaoczne. Z różnych informacji wynika, że studenci ci stanowią już około 60% ogółu. Wpłacane przez tę grupę pieniądze zasilają wydatnie budżety wyższych uczelni. Bywa, że umożliwiają zakup dodatkowego sprzętu (komputerów, drukarek, papieru) lub zatrudnienie specjalistów poszczególnych przedmiotów. Studenci dojeżdżający na zajęcia (często są to duże odległości) przeważnie raz na dwa tygodnie i to w sobotę i niedzielę, ponoszą koszty przejazdów i zakwaterowania, ponieważ zajęcia trwają cały dzień. Dostęp do uczelnianych bibliotek, pójście do teatru czy na koncert, wysłuchanie interesującej prelekcji jest praktycznie niewykonalne. Tak więc to, co stanowi naturalną otoczkę kulturalną studenta stacjonarnego dla zaocznego jest niedostępne. Towarzyszą temu trudności w zdobywaniu lektur, nie wspominając o bezpośrednich kontaktach z nauczycielami akademickimi i specjalistami spoza uczelni.

Seminaria liczące często 20-30 osób nie stwarzają możliwości referowania choćby części wykonanej pracy. Nie są również okazją do zreferowania lektur, przeprowadzenia dyskusji na wybrany temat, ani okazją do poprawienia kulawej polszczyzny. Cały wysiłek, zarówno wykładowcy jak i studenta, skupia się wokół pisania pracy magisterskiej. Prawie nie ma czasu na trening w zakresie formułowania pytań, dokonywania analiz, uogólnień własnych obserwacji, porównywania ich z innymi, a więc tych wszystkich czynności i praktyk, które stanowią nieodłączne atrybuty studiowania.

Do tych kłopotów wypada również zaliczyć trudności z pisaniem tekstów dyplomowych. To przy tej okazji ujawniają się braki powstałe w szkole podstawowej i średniej. Bibliotekarki studiujące zaocznie mają często kilkunastoletnie doświadczenie zawodowe. Potrafią świetnie scharakteryzować swój biblioteczny warsztat informacyjny, gorzej, gdy trzeba sformułować tezy, uogólnić obserwacje, wyciągnąć logiczne wnioski. Do tego trzeba dodać brak umiejętności przeprowadzenia najskromniejszych sondaży, dokonania porównań z wynikami prac badawczych krajowymi i zagranicznymi. Słaba znajomość języków obcych ogranicza źródła informacji, które mogłyby poszerzyć wiedzę na dany temat. Obarczone domowymi obowiązkami studentki zaoczne mają niewiele czasu na lektury i to nie tylko związane z kierunkiem studiów, ale poszerzające znajomość literatury pięknej zarówno kanonicznej (choć była „przerabiana” w szkole), jak i współczesnej. Niedostatek odczytania sprawia, że teksty prac dyplomowych bardziej przypominają standardowe sprawozdanie dla władz lokalnych niż wytwory myśli humanistycznej. W tych warunkach dyplom wyższej uczelni staje się rodzajem polisy ubezpieczeniowej, czymś zwiększającym poczucie bezpieczeństwa, zwłaszcza w małych środowiskach lokalnych, gdzie „mgr” przed nazwiskiem ma jeszcze pewną wartość.

Rozdział V

ELITARNOŚĆ I POWSZECHNOŚĆ CZYTANIA

Odkąd człowiek nauczył się mówić, mógł nie tylko porozumiewać się z innymi, ale magazynować w swojej pamięci wszelkie informacje potrzebne do tego, by przeżyć. W życiu plemion nie znających pisma, określanych przez Greków i Rzymian jako barbarzyńskie, zbiorowa pamięć historyczna i normy prawne przekazywane były ustnie z pokolenia na pokolenie. Czynili to przeważnie ludzie starzy, ponieważ – jak mniemano – przez swoje długie życie mogli najwięcej zaobserwować i zapamiętać. Do dziś w niektórych plemionach afrykańskich głównym edukatorem dzieci i młodzieży jest tak zwana siwa głowa (white head), najstarszy człowiek, który przekazuje najważniejsze, niezbędne do przeżycia informacje.

Odkrycie możliwości zapisywania myśli zredukowało oralny sposób porozumiewania się ludzi, stworzyło nieznane dotąd możliwości ponadczasowego i nieograniczonego barierami przestrzennymi przekazywania informacji. Piśmienność zmieniła dotychczasowe struktury społeczne, nadała im zorganizowane formy, uporządkowała wzajemne relacje międzygrupowe, nadała im sensy niezależne od ulotnej i niepewnej wiedzy przekazywanej ustnie z pokolenia na pokolenie. Pismo stało się narzędziem pomocnym w sprawowaniu władzy, w zawieranych traktatach państwowych, w bankowości, wreszcie w nauce, sztuce, zwłaszcza literaturze. „Wynalazca pierwszych tabliczek porytych pismem – pisze Alberto Manguel – uświadomił sobie zapewne, jaką przewagę mają te kawałki gliny nad zapamiętywaniem przez mózg. Po pierwsze, na tabliczkach

można było *zawrzeć* nieskończenie wiele informacji, można je było wytwarzać *ad infinitum*, podczas gdy zdolność zapamiętywania jest ograniczona. Po drugie, dzięki tabliczkom obecność pamiętającego nie była konieczna, bez niego też dało się informacje odtworzyć. Okazało się nagle, że coś nieuchwytnego – liczbę, wiadomość, myśl, porządek – można było uchwycić bez fizycznej obecności nadawcy komunikatu. W magiczny sposób można to było sobie wyobrazić, zanotować i przekazać ponad przestrzenią i czasem”¹.

Beneficjentów słowa pisanego można podzielić na kilka grup. Do pierwszej wypadają zaliczyć wielkie cywilizacje: grecką i rzymską. Między rokiem 850 a 750 przed Chrystusem Grecy opracowali i przyjęli stosowany do dziś alfabet. Bez greckiej sztuki i literatury, rzymskiego prawa, modelu struktur państwowych, relacji z podbitymi prowincjami cesarstwa, wiedzy w dziedzinie wojskowości nie byłoby dzisiejszej Europy, nie byłoby również nas.

Do drugiej grupy wypadają zaliczyć mieszkańców miast. Trzy albo cztery tysiące lat przed Chrystusem ludzie zaczęli ograniczać swoje wędrowanie, polowania i zbieractwo. Ten tryb życia nie sprzyjał dalszemu rozwojowi, uniemożliwiał wyżywienie powiększającej się populacji plemiennej. A może też były i inne powody, o których po prostu nie wiemy. Według Zygmunta Kubiaka już w piątym tysiącleciu przed Chrystusem powstało w Sumerze pierwsze miasto. W następnym tysiącleciu powstawały inne. Organizacja miejska w przeciwieństwie do rolniczej wymagała zupełnie innej organizacji i przybrała inną strukturę. W miastach żyli administratorzy, rzemieślnicy, kupcy, wojskowi, kapłani, poborcy podatkowi itp.². Ten osiadły organizm nie mógł sprawnie funkcjonować bez pisma. A ponieważ potrzeba jest matką wynalazków, stworzono go początkowo w postaci obrazków, a z czasem ulepszono w postaci kilkusylabowych słów. W połowie trzeciego tysiąclecia przed Chrystusem pojawiły się już zapisy teologiczne, kronikarskie, prawnicze, poetyckie.

Oprócz międzygrupowego podziału pracy w mieście zmienił się również jej charakter. Mieszkańcy uczestniczyli w pracach samorządowych, zebraniach cechowych, religijnych, politycznych, edukacyjnych itp. Naturalnym ograniczeniem aktywności społecznej i kulturalnej był brak

¹ A. Manguel: *Moja historia czytania*. Warszawa 2003 s. 253.

² Z. Kubiak: *Dzieje Greków i Rzymian*. Warszawa 2003 s. 14.

oświetlenia, zwłaszcza zimą. Pracę na wsi wyznaczały pory roku i pogoda. Oświetlenie było dostępne tylko wśród najzamożniejszych. Wszyscy, począwszy od kilkuletnich dzieci, pracowali od świtu do nocy. Czytanie książek, gazety traktowane było jako zajęcie przynależne do kultury pańskiej. W Polsce dopiero po wprowadzeniu obowiązku szkoły podstawowej w latach dwudziestych ubiegłego wieku dzieci wiejskie po raz pierwszy uzyskały prawo do odrabiania lekcji.

Zróźnicowanie w dostępie do słowa drukowanego między miastem i wsią występuje nadal, co ilustrują wyniki badań nad zasięgiem książki, kupowaniem jej czy wypożyczaniem z bibliotek publicznych. Pod tym względem, piszą autorzy ostatniego raportu „... coraz bardziej pogłębia się kontrast między wsią a miastem. W 2002 r. osób mających regularne kontakty z książką i prasą było na wsi zaledwie 5%, w miastach zaś 17%, przy czym najwięcej (24%) stałych czytelników zamieszkiwało największe ośrodki miejskie. Odpowiednio, w ogóle z mediami drukowanymi nie miało do czynienia 16% mieszkańców wsi i tylko 7% mieszkańców miast”³.

Piśmienność podzieliła ludzi na tych pracujących fizycznie i tych posługujących się umysłem. Podział ten trwał przez tysiąclecia i jeszcze nie tak dawno używano określenia pracownik fizyczny i umysłowy, preferując zresztą raz jednych raz drugich, w zależności od tego, kogo próbowano pozyskać. Dopiero w czasach najnowszych, w związku z postępem technicznym, a zwłaszcza rozwojem komputeryzacji zróźnicowanie między pracą umysłową a fizyczną zaczyna się zacierać.

Z upływem lat gliniane tabliczki zastąpił papirus, potem pergamin, kora brzoźowa, wreszcie papier. Ale nie to było najważniejsze. Organizacja życia miejskiego i potrzeby mieszkańców powołały do życia nie tylko piszących, ale również tych, którzy potrafili odczytać i zrozumieć to, co zawierały teksty. Aby się porozumieć i współdziałać, mieszkańcy miast musieli czytać i rozumieć kodeksy prawne, przepisy podatkowe, obroty handlowe, przelewy bankowe, skrypty dłużne, wszelkiego typu zarządzenia władz miejskich. Ktoś musiał uczyć czytania i pisanie. I tak powstawały szkoły i pojawili się nauczyciele. Powstawały więc grupy społeczne konstytuujące systemy administracyjne, urzędnicze, wojsko-

³ G. Straus, K. Wolff, S. Wierny: *Książka na początku wieku*. Warszawa 2004 s. 21.

we skupione wokół dworu książęcego, królewskiego, samorządu miejskiego, wreszcie państwowego. Górne szczeble drabiny społecznej zajmowali ludzie piśmienni, dolne ci, którzy nie umieli pisać i czytać. Osobną grupę stanowili twórcy: uczeni, pisarze, poeci, drukarze, kopiści. Grupa ta była zróżnicowana według stanu majątkowego. Zarówno w starożytnej Grecji, jak i w Rzymie filozofii, malarstwa i rzeźby nie uprawiali biedacy, chyba, że wspomagał ich bogaty sponsor.

Grupy piśmienne niechętnie dzieliły się swoimi umiejętnościami. Przeciwnie, strzegły przywilejów wynikających z ich posiadania. W starożytności kobiety i niewolnicy nie byli objęci nauką pisania i czytania. Chociaż ci drudzy byli często kopistami, nie rozumiejącymi tego, co przepisywali. Zarówno kobiety jak i niewolnicy nie uczestniczyli w życiu publicznym. Piśmienność warunkowała to uczestnictwo. Tradycja ta przetrwała do naszych czasów. To prawda, że niewolników już nie ma, ale wśród miliarda analfabetów na całym świecie kobiety stanowią większość. W krajach afrykańskich, zwłaszcza muzułmańskich nie opłaca się kształcić dziewcząt i kobiet. Przypisywane im tradycyjne role związane głównie z rodziną, nieobecność w życiu politycznym, naukowym i kulturalnym nie sprzyjają upowszechnieniu się piśmienności. Wszelkie deklaracje o demokracji, poszanowaniu praw człowieka, społeczeństwie obywatelskim, informacyjnym i tym podobnych hasłach o europejskim rodowodzie, w sytuacji krajów muzułmańskich, gdzie połowę ludności stanowią kobiety nie uczestniczące w życiu publicznym, wydają się absolutnym nieporozumieniem, jeżeli nie swego rodzaju obłudą.

Awans do wyżej usytuowanych w hierarchii społecznej grup odbywał się drogą indywidualną. Żeby to osiągnąć, jednostka musiała pokonać liczne bariery: społeczne, kulturowe, obyczajowe, materialne. Kobiety aż do czasów najnowszych były wyłączone z tych procesów. Powstanie uniwersytetów w średniowieczu nie zmieniło ani na jotę ich sytuacji. Mężczyźni też nie mieli łatwej drogi kształcenia, zwłaszcza ci ze środowisk ubogich, ale wielu potrafiło pokonać przeszkody i awansować w strukturze społecznej, wejść do uczestnictwa w wyżej usytuowanych grupach. To Stefanowi Batoremu przypisuje się powiedzenie „disce puer latine, ego te faciam mości panem”. Widniało ono na okładce przedwojennego podręcznika łaciny i doskonale odzwierciedlało drogę awansu. Ubogi krakowski żak wspierany zupą i chlebem,

a czasem groszem przez litościwą mieszczkę wiedział, że po latach biedowania ma szansę na lepsze życie.

Oprócz awansowanych dzięki piśmienności byli również przegrani. Niewiele dziś wiemy o plemionach, które nie były w stanie utrwalić w znakach graficznych wiedzy o sobie i zginęły w pomroce dziejów. „Z perspektywy antycznej i średniowiecznej cywilizacji – pisze Karol Modzelewski – plemiona barbarzyńskie przedstawiały się do pewnego stopnia podobnie jak tzw. ludy egzotyczne, badane przez etnologów XIX i XX w. Terytorialno-polityczne organizacje barbarzyńców, zwane w nauce plemionami, nie dysponowały instrumentami administracyjnego przymusu, a integracja społeczna opierała się w nich na przemożnej sile tradycji oraz presji wywieranej na jednostkę przez macierzystą grupę. Były to społeczności funkcjonujące bez pisma, w których nie tylko mitologia, ale także zbiorowa pamięć historyczna i normy prawne przekazywane były ustnie z pokolenia na pokolenie”. „...świat barbarzyński nie dawał sam o sobie pisemnego świadectwa – stwierdza dalej Karol Modzelewski – dopóki nie przeobraziły go chrześcijańskie państwa i Kościół”.

Pisemne świadectwa o tym niepiśmiennym świecie można z grubsza podzielić na dwie kategorie. Na pierwszą składają się relacje pochodzące bezpośrednio lub pośrednio od obserwatorów naocznych, którzy ze społecznościami plemiennymi stykali się osobiście. Są to świadectwa współczesne, ale zapisane przez obcych, którzy spoglądali na barbarzyńców oczami cywilizowanych ludzi antyku lub średniowiecza. Do drugiej kategorii zaliczyć można „... źródła rodzimego pochodzenia. Pisemną kodyfikację plemiennych praw zwyczajowych przeprowadzano na polecenie barbarzyńskich władców. Działo się to jednak już po przekroczeniu progu państwowości i chrystianizacji. Źródła dotyczące społeczeństwa plemiennego są więc świadectwami z zewnątrz albo świadectwami ex post”⁴.

Niewiele wiemy o tych, którzy nie zdążyli lub niechcieli włączyć się w te ówczesne globalizacyjne procesy, jak: Obotryci, Ślężanie, Lucicy, Dziadoszanie, Jaćwingowie czy Prusowie. Ci ostatni znaleźli swoje miejsce w edukacji szkolnej, ponieważ zamordowali św. Wojciecha. Niewielu przyjmuje do wiadomości, że uczynili tak nie dlatego, że byli wrogami chrześcijaństwa, ale dlatego, że obawiali się zniszczenia ich struk-

⁴ K. Modzelewski: *Barbarzyńska Europa*. Warszawa 2004 ss. 13, 17, 18.

tury plemiennej, prawa i obyczaju, burzenia porządku, do którego przywykli i становienia nowego, o którym nic nie wiedzieli.

Umiejętność czytania i pisania w starożytności, średniowieczu, w dobie renesansu, właściwie do XVIII wieku była przywilejem i sytuowała jednostkę w wyższych szczeblach drabiny społecznej. Tym pozostającym na dole, a stanowili oni znakomitą większość musiały wystarczyć przekazy słowne, również w dziedzinie literatury pięknej oraz wszelkiego typu obrazy i rzeźby głównie o treściach religijnych. Na początku VI wieku papież Grzegorz I Wielki orzekł, że: „Oddawanie czci obrazom to jedno, czym innym jest natomiast poznawanie za ich pomocą godnej uwagi historii. To, co czytającemu przedstawia tekst napisany, niepiśmiennym, tym, którzy postrzegają wyłącznie za pomocą wzroku, ukazują obrazy, na nich bowiem ludzie nieoświeceni widzą historię, którą mogą śledzić, a ci, co liter nie znają, przekonują się, że na pewien sposób potrafią czytać. Dla prostego więc ludu obrazy są odpowiednikiem czytania. W 1025 roku synod w Arras stwierdził, że to, czego prości ludzie nie mogą pojąć, czytając pisma, poznać mogą patrząc na obrazy”⁵.

Ci, którzy posiadli sztukę czytania, czytali głośno: rodzinie, sąsiadom, czeladnikom, służbie domowej, kobietom i każdemu, kto chciał słuchać. Ciche czytanie dla siebie przyszło znacznie później.

W starożytnej Grecji literaturę upowszechniał teatr, dostępny dla wszystkich obywateli, w Rzymie dominowały igrzyska, które cechowało okrucieństwo, w średniowieczu mamy do czynienia z teatrem pasyjnym i jasełkowym oraz przedstawieniami jarmarczными.

Czy coś się zmieniło od tamtych, odległych czasów? Jak twierdzi Dubravka Ugrešić w dalszym ciągu mamy do czynienia z większością, która bez szemrania kupuje wartości współczesnej kultury oraz z niezauważalną mniejszością, która te wartości weryfikuje. Sceptykom przypina się najczęściej etykietkę „elitarystów”, „kulturowych pesymistów i konserwatystów”⁶. Można się oczywiście pocieszać, że te różnice występowały i w kulturze starożytnych, i w średniowieczu, i w czasach nowszych. I nie o podziały tu chodzi, ale o nieprzenikalność między tymi dwiema grupami. Ci, związani lub przywiązani do literatury kanonicznej,

⁵ Manguel....op. cit. s. 146.

⁶ D. Ugrešić: *Czytanie wzbronione*. Warszawa 2004 s. 199.

przestali być wzorem dla konsumentów książek rozrywkowych, łatwych w odbiorze, nie pozostawiających śladu na drugi dzień po przeczytaniu. I nie jest to tylko kwestia wyborów lekturowych, ale całościowe widzenie i wartościowanie kultury. To już było widoczne w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Alberto Manguel powołując się na Jorge Louisa Borgesa pisze: „że w 1950 roku podczas jednej z demonstracji, jakie rząd Perona organizował przeciwko opozycyjnym intelektualistom, tłum skandował «Buty tak, książki nie!» (...). Zawsze uważano, iż rzeczywistość twarda – nieodzowna rzeczywistość – znajduje się w nierozwiązywalnym konflikcie z ulotnym światem marzeń zawartym w książkach”⁷.

Student bibliotekoznawstwa pytany na egzaminie, czy w miejscu dyrektora Biblioteki Narodowej, mając do wyboru kupno za duże pieniądze listu Chopina, czy też nowych komputerów odpowiada bez najmniejszego wahania, że oczywiście wybrałby nowy sprzęt, ponieważ warunkuje on sprawne i efektywne opracowywanie zbiorów. I trudno mu się dziwić, ponieważ słyszy on dookoła, że ważniejszy jest dostęp do źródeł informacyjnych, który umożliwia komputer i Internet niż zgłębianie tekstów pisanych i drukowanych.

Przywileje grup piśmiennych padły pod naporem wynalazku druku. W latach czterdziestych XV w. – pisze A. Manguel – młody grawer i złotnik z Moguncji... doszedł do wniosku, że o wiele większą szybkość i wydajność osiągnie się, jeżeli poszczególne litery alfabetu będzie się drukować oddzielnymi czcionkami, nadającymi się do ponownego użycia... Johann Gutenberg wynalazł wszystkie podstawowe, nieznane dotąd narzędzia, używane w poligrafii jeszcze w XX w.: metalowe prostopadłościany do odbijania liter, prasę łączącą cechy tłoczni win i prasy introligatorskiej oraz farbę sporządzaną z pokostu... Między 1450 a 1455 rokiem wydrukował nową techniką pierwszą książkę – Biblię – zawierającą po 42 wiersze na każdej stronie”⁸.

Nie pierwszy raz w historii postęp techniczny przyczynił się do zmian społecznych. Gdyby nie wynalazek druku, zwolennicy Lutra nie byłiby w stanie upowszechnić czytania Biblii, w kształceniu nadal dominowałaby łacina, nie doszłyby do głosu w nauce i literaturze języki narodowe, kopiowana ręcznie książka byłaby nadal dostępna dla bogatych, nie było-

⁷ Manguel... op.cit. s. 44.

⁸ Tamże, s. 194.

by Renesansu, Oświecenia, rozwoju nauk, idei, filozofii i literatury. Wynalazek druku poszerzył krąg uprzywilejowanych dzięki piśmienności, upowszechnił myśli, idee społeczne, programy polityczne, kierunki w sztuce, głównie w literaturze, umacniając fundamenty cywilizacji europejskiej.

Bez drukowanej książki nie byłby możliwy rozwój podstawowego szkolnictwa, które upowszechniło piśmienność wśród warstw ludowych, edukacyjnie zaniedbanych, głównie wiejskich. Proces ten przebiegał w sposób zróżnicowany w poszczególnych krajach europejskich. Efektywnie w krajach, które w drugiej połowie XIX w. wprowadziły u siebie obowiązek szkolny (Niemcy, Anglia, Dania, Norwegia, Szwecja), a odpowiedzialność za rozwój szkolnictwa powierzono odpowiednim instytucjom państwowym. Piśmienność zaowocowała rozwojem czytelnictwa powszechnego, które znalazło się w polu zainteresowań: oświatowców, polityków, a nawet przedsiębiorców. Patrząc z wielowiekowej perspektywy warto zastanowić się, co się tak naprawdę zmieniło.

Współcześnie czytelnictwo powszechne rozwija się jako zjawisko kulturowe w dwu wyraźnie zarysowanych nurtach. Jeden obejmuje wąską, elitarną grupę, dla której znajomość światowego kanonu literackiego stanowi podstawowe wyposażenie intelektualne, a wspólnota lekturowa stanowi symboliczny wyznacznik, po którym mogą się rozpoznawać poszczególni członkowie przynależący do tej grupy. Grupy takie występowały w starożytności i w średniowieczu, i w czasach nowszych i najnowszych. Można więc zaryzykować twierdzenie, że pod tym względem zmieniło się niewiele, choć inny jest skład grupowy. Polega on na tym, że ówczesną arystokrację i kręgi dworskie zastąpili intelektualiści, uczeni, artyści, dziennikarze.

Amos Oz na podstawie doświadczeń i obserwacji rodzinnych przekazał klimat społeczny, w którym mogła funkcjonować jednostka zanurzona w kulturze uniwersalnej i jednocześnie wielonarodowej i wielojęzycznej. To ona była doskonałym wzorcem godnym naśladowania wśród rodziny, przyjaciół i studentów. „... Gabinet wuja Josefa wydawał mi się w dzieciństwie przybytkiem mądrości. Tutaj w prywatnej bibliotece wuja Josefa powiedział mi kiedyś szeptem ojciec – zgromadzonych jest ponad dwadzieścia pięć tysięcy tomów. Są tu rzadkie bibliofilskie perły, istne białe kruki, dzieła świeckie i religijne, skarbica prawie całej mądrości żydowskiej i tego co najlepsze w myśli innych narodów. Książki, które wuj nabył w Odessie i Heidelbergu, ... Lozannie, Berlinie i War-

szawie, ...książki po hebrajsku, aramejsku i syryjsku, w grece klasycznej i współczesnym sanskrycie, po łacinie i średniowiecznej arabszczyźnie, po rosyjsku, angielsku, niemiecku hiszpańsku, po polsku, francusku, włosku oraz w innych językach i narzeczach, o których nawet nie słyszałem, jak ugarycki, maltański, czy staro-cerkiewno-słowiański”.

Ale nie tylko zbiory uczonego, ich różnorodność i bogactwo, charakteryzowały warsztat uczonego. Również organizacja pracy symbolizuje miniony czas. „Biurko profesora Klausnera było całe obłożone piętrzącymi się jeden na drugim tomami encyklopedii i leksykonów, stosami zeszytów, notatników, najprzeróżniejszych piór, niebieskich, czerwonych, zielonych ołówków, gumek do ścierania i kałamarzy oraz zapasami szpilek, gumek i spinaczy, kopert brązowych i białych, kartek i fiszek”⁹. I pomyśleć, że to wszystko bez jednego laptopa.

Ojciec A. Oza był wybitnym erudytą, biegłym w literaturze obcej i hebrajskiej, władał wieloma językami, był znawcą Homera, Owidiusza, Szekspira, Goethego i Mickiewicza, był sumienny i dokładny, dwadzieścia lat życia przepracował w Bibliotece Narodowej w Jerozolimie wśród kartotek, fiszek w Dziale Czasopism. Mimo doktoratu nie zdołał się zatrudnić jako wykładowca na Uniwersytecie.

Słowo drukowane w gabinecie uczonego i intelektualisty oraz w Bibliotece Narodowej (każdej innej również) miało swoją infrastrukturę (te kałamarze i szpilki), która należy już tylko do przeszłości.

Drugi nurt czytelniczy, w przeciwieństwie do pierwszego, jest liczny choć niejednorodny, składający się z różnych kręgów społecznych determinowanych tradycją, wykształceniem, kwalifikacjami zawodowymi, statusem materialnym itp. To w tej grupie dają się zaobserwować skłonności i gotowość do korzystania z nowych, głównie elektronicznych form przekazu. Trudno przewidzieć, czy powieści SMS-owe oraz internetowe, które już ukazały się w Polsce, a cieszą się wielkim powodzeniem w Chinach, rzeczywiście mają przyszłość i są w stanie zastąpić literaturę publikowaną w tradycyjnej papierowej postaci, niemniej trudno nie dostrzegać, że cywilizacja elektroniczna zmienia nastawienia czytelników do książki, gazety, czasopisma, przekształca system wartości, upowszechnia nowy język, choć nie budzi on naszego entuzjazmu. Wszystko to inaczej przebiega w krajach europejskich, gdzie mamy do czynienia

⁹ A. Oz: *Opowieść o miłości i mroku*. Warszawa 2005 s. 59-60.

z ugruntowaną piśmiennością, a inaczej w wychodzącym z analfabetyzmu społeczeństwie chińskim. Nie można wykluczyć, że dla 300 mln posiadaczy komórek literatura w postaci najprostszych opowiadań i bajek może okazać się zupełnie wystarczająca¹⁰.

Rynek wydawniczy książki drukowanej wcale się nie kurczy. Od wielu lat światowa produkcja ustabilizowała się wokół 1 mln tytułów rocznie i nic nie wskazuje na to, by sytuacja miała ulec zmianie na gorsze. Jesteśmy nadal zalewani drukowanym papierem w postaci książek, gazet, czasopism, wszelkiego rodzaju drukami życia społecznego, wreszcie rozdmuchaną reklamą. Praktyka akademicka nakazuje pisać prace dyplomowe, książki, artykuły, sprawozdania, wszelkiego rodzaju komunikaty i omówienia. Archiwa uniwersyteckie pękają w szwach. Rektor Uniwersytetu Warszawskiego podjął decyzję, iż jeden egzemplarz pracy dyplomowej musi być pisany obustronnie, co pozwala oszczędzić miejsce. Nawet pobieżne przejrzenie, nie mówiąc o przeczytaniu bieżącej produkcji wydawniczej w tak wąskiej dziedzinie jak bibliotekoznawstwo, jest praktycznie niemożliwe. Chwilami odnosi się wrażenie, że piszemy i publikujemy sami dla siebie. Przyswojenie informacji zawartych w tych publikacjach, nawet tych najogólniejszych, staje się coraz trudniejsze. Jakimś rozwiązaniem może być Internet. Brakuje nam jednak wiedzy, do jakiego stopnia pozyskiwanie informacji z tego źródła porządkuje i systematyzuje zawartość pracy licencjackiej czy magisterskiej. Lektura prac dyplomowych dowodzi, że internetowe informacje nie układają się w logicznie ustrukturyzowaną całość, ale służą do licznych cytowań, z których niewiele wynika.

Niezależnie od licznych zastrzeżeń i wątpliwości liczba internautów wzrasta w tempie lawinowym w całej Europie, w Stanach Zjednoczonych, również w Polsce. Internet służy do przesyłania i odbierania nie tylko tekstowych informacji, ale także obrazów, filmu i dźwięku. Dzieje się tak, ponieważ komputery osobiste tanieją i począwszy od lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, stają się coraz dostępnejsze.

Stosunek czytelników do książek, sięgających po nie sporadycznie, ale próbujących na bieżąco orientować się w tym, co się ukazuje na rynku wydawniczym nie różni się od powszechnych zachowań konsumenckich. Ważne jest to, co najnowsze, modne, o czym się pisze

¹⁰ K. Wróblewski: *Książka w komórce*. „Gazeta Wyborcza” 2004 nr 176.

w prasie wysokonakładowej. Rzadziej się sięga do specjalistycznych przeglądów typu „Nowe Książki”, czy „Twórczość” miesięcznik literackokrytyczny, „Dialogu”, a o „Literaturze na świecie” nawet nie ma co wspominać. Do miesięczników tych zagląda bardzo wąska grupa miłośników literatury. To są przeważnie ci, którzy należą do elitarniej grupy czytelników.

Zarówno w Polsce, jak i w wielu innych krajach kreatorem elity intelektualnej są szkoły średnie. W Anglii funkcje takie pełni licząca 564 lata szkoła w Eton. Jej absolwenci zasilają rząd, city, korporacje i inne ważne instytucje państwowe oraz biznesowe. Dla entuzjasty Internetu program tej szkoły może się wydać wręcz anachroniczny. Mała matura (zdaje się ją w wieku 16 lat) obejmuje 11 przedmiotów (w normalnych szkołach 5), na które składa się: literatura angielska, francuski, łacina, matematyka, jeden z przedmiotów przyrodniczych, historia i greka. Końcowy egzamin obejmuje 3 przedmioty i jeden dodatkowy. Są to: historia starożytna, historia średniowiecza, ekonomia i archeologia. Studenci pracują w małych, liczących 8-14 osób, grupach. Program przerabiany jest na tekstach oryginalnych, jak greka to greckie, jak łacina to łacińskie. Tu nie ma miejsca na abstrakty, bryki, filmy zastępujące literaturę i Internet. I tu każdy ma świadomość przynależności do grupy beneficjentów piśmienności i własnej wyjątkowości w społeczeństwie¹¹.

W świetle wypowiedzi niektórych twórców aktywność czytelnicza jest rzeczywiście czymś wyjątkowym. Świadczy o tym między innymi wyznanie Anne Fadiman, która w swojej arcyciekawej książce pod znamennym tytułem *Ex libris* tak oto charakteryzuje swoje czytelnicze doświadczenia w trakcie jej pisania. „Przez ten czas urodził się mój syn, córka nauczyła się czytać, oboje z mężem skończyliśmy lat czterdzieści, moja matka – osiemdziesiąt, a ojciec dziewięćdziesiąt. Tymczasem nasze książki – nawet te wydrukowane na długo, zanim się urodziliśmy – pozostały wiecznie młode. Odnotowały upływ rzeczywistego czasu, a że przypominały nam o wszystkich sytuacjach, w których były czytane i odczytywane ponownie, odbijały się w nich także poprzednie dziesięciolecia. Książki napisały historię naszego życia, a w miarę jak groma-

¹¹ M. Kruczkowska: *Wojtek w Eton*. „Gazeta Wyborcza. Magazyn” 1999 nr 16.

dziły się na półkach (jak też na parapetach, pod sofą i na lodówce), same stawały się jego rozdzielaczami. Czyż mogło być inaczej?”¹²

Książka A. Fadiman może służyć najwybredniejszemu czytelnikowi za przewodnik po lekturach nie tylko amerykańskich, ale światowych. Zwłaszcza, że na tę wiedzę o literaturze złożyło się kilka pokoleń. „Moi rodzice – pisze autorka – przekazali nam po prostu dziedzictwo, które otrzymali od swoich rodziców. Kiedy moja matka mając dziesięć lat przeniosła się z Utah do Kalifornii, jej ojciec pokrył całą długą na szesnaście stóp ścianę półkami na książki, a matka okleiła je beżową purchlastą tapetą. Tamtego lata mama przeczytała kompletne wydanie dzieł zebranych Dickensa. Mój ojciec dorastał w Brooklynie, w rodzinie imigrantów, którzy byli tak biedni, że pierwszy raz zabrali go do restauracji dopiero kiedy miał kilkanaście lat, lecz to im nie przeszkodziło zapłacić dwóch biblioteczek z czarnego orzecha Scottem, Tolstojem, Maupassantem i innymi. Przeczytałem Ibsena jako ośmiolatek opowiadał mi ojciec. A Ibsen był tam już wcześniej. Wiedziałem, że to wielki norweski dramaturg i że jest częścią świata, do którego zmierzam”¹³.

No właśnie. Do jakiego świata zmierza stołeczna bibliotekarka, która nie słyszała o kanonie literatury światowej wydawanej od roku przez „Gazetę Wyborczą”.

Podobnie jak w starożytności i średniowieczu mamy do czynienia z elitarną grupą korzystającą już nie tylko ze słowa drukowanego, ale przekazywanego elektronicznie. W grupie tej jednostka zaprawia się w umiejętności pisania, czytania i krytycznego myślenia już od najmłodszych lat. To są ci, którym opowiadano i czytano bajki, posyłano do przedszkola, gdzie było dużo książek, kupowano pięknie ilustrowane wydawnictwa, chodzono całą rodziną do księgarni i biblioteki, kompletowano domowy księgozbiór, jednym słowem budowano infrastrukturę książkową, traktując ją jako naturalne, najbliższe otoczenie sprzyjające inicjacji lekturowej.

Nie znaczy to, że wszystkie te starania zawsze były i są uwieńczone powodzeniem. Bywa wcale nierzadko, że górę biorą inne zainteresowania, zwłaszcza oglądanie programów telewizyjnych, gry komputerowe, czy buszowanie w Internecie. Nacisk środowiska rówieśniczego w szko-

¹² A. Fadiman: *Ex libris*. Warszawa 2004 s. 8-9.

¹³ Op.cit. s. 135.

le, w sąsiedztwie, wzorce tworzone przez media, zwłaszcza w dziedzinie muzyki młodzieżowej mogą okazać się dominujące i niwelować starania rodziców. Przynależność do grupy aktywnych czytelników nie jest dziedziczna, każda kolejna generacja musi tworzyć zainteresowania książką od nowa. Podobnie niechęć do czytania nie musi trwać całe życie. O nagłym zainteresowaniu książką może zadecydować przypadek albo to, co się aktualnie dzieje w społeczeństwie, polityce, gospodarce. W stanie wojennym w czytelni Biblioteki Narodowej młodzi ludzie pochłaniali dzieła Józefa Piłsudskiego. To była reakcja na indoktrynację i propagandę. Czytanie przeciw czemuś lub przeciwko komuś jest zjawiskiem powtarzającym się w historii czytelnictwa. Są to jednak zawsze sytuacje wyjątkowe i nie muszą się powtarzać.

Słowo drukowane nie znajduje zainteresowania w licznej grupie młodzieży gorzej edukowanej, ze świadomością braku szans na lepsze życie po ukończeniu szkoły. Młodzi ludzie widzą odgradzające się od nich osiedla wielkomiejskie, zamknięte, strzeżone, niedostępne. Są przekonani, że księgarnia, biblioteka nie są dla nich. Toteż omijają je. Język, którym się posługują jest ubogi, służy do porozumiewania się w grupie. Wszystko to razem budzi agresję. Ci młodzi wiedzą, że ich umiejętności zaprezentowania się wobec potencjalnego pracodawcy są nikłe. Otwarcie granic europejskich niewiele zmienia w ich życiu. Koczują na obcych dworcach, nie są w stanie opanować najprostszego zasobu słów w obcym języku, stoją w kolejkach po darmową zupę. Nie czytali, więc nie wiedzą, że są głównymi bohaterami książki Zygmunta Baumana *Życie na przemiał*.

Gwoli sprawiedliwości wypada jednak stwierdzić, że oprócz przegranych na starcie życiowym są i tacy, którzy wierzą, że wykształcenie jest wartością, że daje szansę, chociaż nie wszystkim jednakową. Podejmując więc konkurencję w szkole i na uniwersytecie, traktując ją jako zaprawę przed wejściem na rynek pracy, starają się nie wątpić we własne możliwości, przyjmują reguły pozytywnego myślenia, demonstrowają własną indywidualność, ale też umiejętności działania w zespole, czytają podręczniki z dziedziny psychologii, socjologii społecznej, o prawach rynku, zarządzaniu i marketingu. Wiedzą doskonale, o co toczy się gra i jaką cenę przyjdzie im zapłacić. To są ci, którzy czytają również literaturę piękną, zwłaszcza w sytuacji, gdy środowisko zawodowe narzuca w tym zakresie swoje standardy. Nie można wykluczyć, że korzystając

ze słowa drukowanego stworzą nowe wzorce czytelnicze i pociągną za sobą innych¹⁴.

Niezależnie od podziałów dokonujących się w strukturze społecznej, zanikaniu jednych, pojawianiu się innych grup zawodowych piśmienność w dalszym ciągu dzieli ludzi na tych, którzy wygrali i tych, którzy już przegrali oraz tych, którzy mają szansę.

¹⁴ E. Grzeszczyk: *Sukces. Amerykańskie wzory – polskie realia*. Warszawa 2003.

Rozdział VI

CZYTANIE – PISANIE – KRYTYCZNE MYŚLENIE

Powszechność umiejętności czytania i pisania zależy od kilku elementarnych uwarunkowań. Jako pierwsze wypada wymienić zmiany w strukturze społecznej, ich powiązania z kierunkami rozwoju gospodarczego, zapotrzebowaniami na pracę, dostępnością wykształcenia, strukturą szkolnictwa, równouprawnieniem kobiet itp. Status społeczny kobiety, głównie jej wykształcenie, jest o tyle istotny, że wpływa na organizację życia rodzinnego. Rodzinę współczesną, przeważnie dwupokoleniową, cechuje odmienny niż dawniej podział ról i zakres obowiązków poszczególnych członków. Praca zawodowa kobiet, niezależnie od tego czy jest wynikiem przymusu ekonomicznego, czy rezultatem życiowych ambicji wymusza innego typu organizację życia rodzinnego. Funkcje dawniej pełnione przez babcię lub ciotkę – rezydentkę przejmują osoby wynajmowane do opieki nad dzieckiem czy dziećmi. Oczywiście, nianie i guwernantki w rodzinach zamożnych znajdowały zatrudnienie w przeszłości, ale dotyczyło to stosunkowo wąskiego kręgu warstwy zamożniejszej. Współcześnie obyczaj zatrudniania osób z zewnątrz do opieki nad dziećmi upowszechnił się na skalę dotąd niespotykaną. Między innymi dlatego, że powiększyła się klasa średnia i wzrosły zarobki pracowników najemnych.

W Wielkiej Brytanii taką opiekunką jest często młoda osoba pochodzenia słowiańskiego, meksykańskiego czy hinduskiego, która próbuje albo studiować, albo zarobić na studia, ucząc się przy okazji angielskie-

go. Znajomość tego ostatniego jest wśród opiekunek tak słaba, że o czytaniu dzieciom bajek lub ich opowiadaniu nie może być mowy. Rodzice, oboje pracujący, widują swoje dzieci wieczorem, kiedy one idą spać. Jedynym wyjściem, by cokolwiek tu zmienić jest możliwie wcześnie posyłanie dzieci do przedszkola. Współczesna pedagogika angielska wiąże z tym duże nadzieje. I nie są one przesadne, bowiem w przedszkolu można stworzyć warunki sprzyjające rozwojowi języka i umiejętności czytania. Dotyczy to również dzieci imigrantów. Konsekwentnie więc ministerstwa edukacji przejmują obowiązki w zakresie programowym, kształcenia nauczycieli oraz inicjowania prac badawczych w ośrodkach akademickich.

Drugim ważnym elementem jest przekonanie, że każdy człowiek ma prawo do edukacji. Nosicielami takich idei mogą być jednostki, organizacje społeczne, instytucje międzynarodowe, takie jak: International Reading Association, UNESCO, International Federation of Library Association and Institutions i wiele innych. Dostęp do edukacji uwarunkowany jest nie tylko stanem zamożności danego kraju, ale również obyczajem wspieranym przez tradycję. Dotyczy to między innymi stosunku do kształcenia kobiet. W wielu regionach świata, w krajach muzułmańskich, afrykańskich, azjatyckich analfabetyzm wśród dziewcząt i kobiet jest znacznie wyższy niż wśród chłopców i mężczyzn. Kształcenie dziewcząt ze względu na przypisywaną im rolę rodzinną jest po prostu nieopłacalne. Sytuacja w tym zakresie zmienia się jednak na lepsze.

W polskich tradycjach za społeczne oświecenie czuła się odpowiedzialna inteligencja: nauczyciele, ziemianie, światli chłopci, działacze polityczni, księża. W drugiej połowie XIX w. zakładali oni biblioteki, kółka samokształceniowe, wspierali tam gdzie to było możliwe szkolnictwo podstawowe. Działania te, często okupione represjami zaborców utrwaliła literatura piękna, zwłaszcza twórczość Stefana Żeromskiego. Praca oświatowa dotyczyła głównie chłopów. W strukturze ludnościowej stanowili oni około 70% ogółu mieszkańców Polski. Klasa robotnicza dopiero się tworzyła. Jeszcze w okresie międzywojennym stanowiła nie więcej niż 12% ogółu ludności kraju.

W tradycjach europejskich idee upowszechniania oświaty, głównie umiejętności czytania i pisanja przejęło z czasem państwo, przyjmując na siebie obowiązki organizowania i utrzymywania szkół podstawowych.

W zakresie tych obowiązków mieściło się również opracowywanie programów nauczania, ustalanie standardów, kształcenie nauczycieli, prowadzenie badań naukowych itp.

Upowszechnienie szkolnictwa podstawowego lub inaczej elementarnego, zbiegło się w czasie z potaniem słowa drukowanego. Tańszy papier, nowe technologie produkcyjne, nowe urządzenia drukarskie, organizacja kolportażu i reklama wszystko to umożliwiło w końcu XIX w. produkowanie na skalę przemysłową książek, gazet, czasopism, podręczników, poradników i innych drukowanych materiałów. Mniej więcej w tym samym czasie pracownicy najemni, głównie liczne grupy robotników przemysłowych, wywalczyli przy pomocy związków zawodowych i partii politycznych o lewicowych orientacjach podwyżki swoich płac oraz skrócenie dnia pracy do 8 godzin. Ograniczono również prawo do zatrudniania nieletnich. W efekcie kupno taniej książki i gazety codziennej stało się możliwe w przeciętnej rodzinie robotniczej i rzemieślniczej oraz drobnych urzędników, uzyskali też oni czas na czytanie.

Jako czwarte uwarunkowanie wypada wymienić całą materialną i duchową infrastrukturę wspomagającą czytelnictwo. Złożyły się na nią zakładane biblioteki publiczne, uniwersytety robotnicze, uniwersytety niedzielne, kluby, domy kultury, teatry ludowe, kina, kioski z prasą, księgarnie. Umiejętność czytania i pisania stały się pozytywnym wyróżnikiem w społecznościach lokalnych, a znajomość literatury pięknej – dowodem przynależności do kręgów elitarnych.

Opanowanie umiejętności czytania, pisania i rozumienia tego co się czyta, ma liczne bariery. Można je z grubsza podzielić na dwie grupy. Pierwsza obejmuje cechy wrodzone, takie jak dysleksja, dysgrafia, wady słuchu, wzroku, opóźnienia rozwojowe, różne stopnie zespołu Downa itp. Wszystkie one wymagają stosowania zróżnicowanych metod nauczania.

Do drugiego zespołu wypada zaliczyć bariery typu społecznego, takie jak środowiska zaniedbane kulturalnie, alkoholiczne, bezdomne, rodziny, w których nie było żadnych kontaktów ze słowem drukowanym, nie tylko z książką ale również z gazetą, rodziny, w których nie rozmawiano z dziećmi, nie opowiadano im bajek. Rodziny, w których dzieci, nawet kilkuletnie spędzają przed telewizorem większość dnia.

Według założeń współczesnej pedagogiki umiejętności czytania i pisanie powinny być opanowane w trzech pierwszych klasach szkoły podstawowej. Sposoby uczenia zmieniały się w ciągu kilku ostatnich dwu wieków. W Stanach Zjednoczonych w połowie XIX w. dominowało głośne czytanie i recytacje wierszy. Efekty były różne. Wyniki ówczesnych badań wskazują, że 11-12% dzieci było tak pochłonięte poprawnością językową, że nie rozumiało znaczenia czytanych słów. W związku z tym nastąpiła w szkołach era cichego czytania. Nie przyniosło to spodziewanych rezultatów, bo nauczyciel utracił kontrolę nad wymową, co w języku angielskim jest ważne. Okazało się, że tak źle i tak niedobrze. W latach dziewięćdziesiątych XX w. powrócono więc do głośnego czytania i recytacji wierszy, starając się jednak nie popaść w skrajności i zachować również metody cichego czytania.

W Stanach Zjednoczonych od początku lat dziewięćdziesiątych XX w. politycy w poszczególnych stanach i na szczeblu federalnym poświęcają wiele uwagi czytelnictwu. Znajduje to wyraz w aktach legislacyjnych, programach i standardach dotyczących wczesnego czytania oraz kształcenia nauczycieli w tym zakresie. Zwiększono, co chyba najważniejsze nakłady finansowe na realizację ogólnokrajowego programu: „Teaching Children To Read”. W 2001 r. budżet federalny na ten cel wynosił 300 mln dol., zaś w 2002 r. już 900 mln dol. W kwotach tych mieszczą się również środki na intensyfikację badań czytelnictwa w szkołach. „America Reads” było hasłem administracji Billa Clintona. Miało ono stanowić podstawę budowy modelu kultury, w którym czytelnictwo stanowiło główną oś.

Udział rządów w finansowaniu różnych instytucji kultury, w tym bibliotek publicznych zależy nie tylko od zasobności materialnej państwa i społeczeństwa, ale również od przyjętych priorytetów, od wizji jaką ma państwo w dziedzinie rozwoju zarówno materialnego, jak i duchowego. Jeżeli zakłada się, że u podstaw tego rozwoju leżą wartości kulturalne, zakres ich upowszechniania w społeczeństwie, to jest oczywiste, że w polu widzenia i działania musi znaleźć się sfera twórczości artystycznej oraz instytucje przyczyniające się do jej promowania. Po prostu dlatego, że każda napisana i wydana książka powinna trafić do odbiorcy. Jest to wspólny cel, który łączy pisarza, wydawcę, księgarza i bibliotekarza. Podobnie malarz liczy na to, że jego obraz znajdzie się w galerii i będzie oglądany, a rzeźbiarz, że jego dzieło ozdobi miejsce

publiczne, kompozytor marzy o sukcesie w sali koncertowej. Społeczeństwo ma prawo domagać się możliwie szerokiego dostępu do tego, co wydrukowano, namalowano, czy wyrzeźbiono. Głównym celem polityki kulturalnej państwa jest stwarzanie warunków dla tej dostępności. Państwo może to czynić na różne sposoby.

W Irlandii twórcy są całkowicie zwolnieni z podatków, we Włoszech szczególnie troszczy się o konserwację zabytków, w Wielkiej Brytanii – o teatry dramatyczne, w Szwecji zaś pierwsze miejsce w budżecie stanowią dotacje dla bibliotek publicznych.

Finowie, którzy zajęli pierwsze miejsce w badaniach prowadzonych od kilku lat przez Programme for International Student Assessment (PISA) określającym umiejętności czytania, pisanie i rozumienia tekstu uzasadniają te wyniki dostępnością sieci bibliotecznej wspomaganej przez bibliobusy.

Uprzywilejowanie twórców irlandzkich jest dowodem dbałości o rozwój rodzimej kultury, konserwacja zabytków i wspieranie teatrów dramatycznych – prócz troski o materialne dziedzictwo kultury – wiąże się z rozwojem turystyki na zasadzie: coś dla ciała, ale i dla ducha.

Próba odpowiedzi na pytanie o priorytety polskiej polityki kulturalnej nie jest łatwa i to z kilku powodów:

1. Braku ciągłości zarówno w określaniu strategii, jak i działań realizacyjnych.
2. Traktowaniu kultury jako dziedziny socjalnej, a nie podstawy rozwoju cywilizacyjnego.
3. Częstych zmian na stanowiskach kierowniczych w resorcie kultury i braku tradycji w przekazywaniu obowiązków w zakresie realizacji programów przez kolejne ekipy administracyjne oraz samorządy.

Jeżeli podkreślamy brak ciągłości w polityce kulturalnej państwa, w której mieszczą się również problemy bibliotekarstwa, to nie dlatego, że wierzymy w moc sprawczą urzędniczych działań, ale z przekonania, że funkcjonowanie książki w społeczeństwie rządzi się specyficznymi regułami wymagającymi wsparcia ideowego i materialnego, którymi dysponują struktury państwa. Pomoc ta jest o tyle niezbędna, że słowo drukowane leżące u podstaw naszej europejskiej cywilizacji nie zintegrowało się z kulturą popularną lub masową, jak kto woli. Zasięg książki, czytelnictwo gazet, korzystanie z bibliotek wśród dorosłej populacji w Polsce i wielu innych krajach dowodzą, że jest ono udziałem mniej-

szości, mimo iż kolejne generacje zaczynają swoją edukację od rozpoznawania i składania liter.

„W XVIII i XIX wieku – pisze Neil Postman – druk sprzyjał takiej definicji inteligencji, która dawała priorytet obiektywnemu, racjonalnemu używaniu umysłu, a jednocześnie stosowała formę dyskursu publicznego o logicznie uporządkowanej treści. Nie jest przypadkiem że Wiekowi Rozumu towarzyszyła ekspansja kultury druku, najpierw w Europie, potem w Ameryce”¹. Jedną z głównych tez głoszonych przez Postmana jest zgodność między tekstem drukowanym a mówionym. Zarówno w XVIII jak i XIX w. ludzie edukowani mówili tekstami drukowanymi. Czynili tak kaznodzieje, uczeni, filozofowie, nauczyciele oraz politycy. Język nie jest sposobem porozumiewania się danym raz na zawsze. Zmienia się wraz z następującymi po sobie etapami rozwojowymi, podlega wpływom innych kultur i cywilizacji. Na podstawie analizy zapożyczeń terminologicznych słownictwa, można prześledzić poszczególne okresy, w których rozwijała się bankowość, kupiectwo, rzemiosło, w których zaczęto uprawiać nowe rośliny, warzywa, kwiaty, zastosowano nowe leki i praktyki medyczne.

Prawdopodobnie cywilizacja elektroniczna odcisnie swoje piętno właśnie w języku, wiele nazw z nią związanych będzie wchłoniętych i zaadaptowanych. Niektóre kraje bronią się przed tą inwazją. Czesi twarde nie używają nazwy komputera. Wymyślili własnego počítača i mają do tego prawo.

Nasze wątpliwości dotyczą zgoła innego zjawiska. Jest nim zerwanie ciągłości między słowem drukowanym i mówionym. Dystans ten pogłębiają niewątpliwie nowe techniki i technologie informacyjne. Język telewizyjno-internetowo-SMS-owy ma coraz mniej wspólnego z językiem tekstów drukowanych. Zajęci upowszechnianiem umiejętności posługiwania się nowymi technologiami, zwłaszcza komputerem i Internetem od szkoły podstawowej poczynając, zapominamy o psychologicznych, społecznych i politycznych skutkach ich zastosowania.

Wejście do Unii Europejskiej, perspektywa dopłat dla rolników uświadomiła nam, że znakomita część polskich rolników nie radzi sobie z wypełnieniem niezbędnych formularzy, nie dość, że nie rozumie treści w nich zawartych, ale ma kłopoty z czytelnym ich wypełnieniem. Są to

¹ N. Postman: *W stronę XVIII stulecia*. Warszawa 1999 s. 162.

ludzie, którzy często nie potrafią zwerbalizować własnych poglądów na wiele spraw, tych najbliższych ich bezpośrednio dotyczących, jak i tych dalszych: lokalnych, regionalnych czy ogólnokrajowych. To są ci, którzy najchętniej operują stereotypami, sloganami typu *wszyscy politycy to złodzieje*, *zwykły człowiek na nic nie ma wpływu* itp.

W tradycyjnym ujęciu, żeby powstała książka, powieść, tomik poezji, monografia, pamiętnik ktoś musiał ją napisać, potem wyprodukować, udostępnić potencjalnemu czytelnikowi. Twórca – wydawca – księgarz – bibliotekarz stanowili najistotniejsze postaci współtworzące powstawanie książki. W tym procesie mieścili się również, choć byli mniej widoczni: recenzent, redaktor, korektor, ilustrator, grafik, zecer, hurtownik, kolporter, bibliograf, a wszyscy oni odznacжали się fachowością, gwarantującą wysoką jakość produktu, jakim była książka. Wszystko to należy do przeszłości, wszystko się pomieszało i wygląda dziś zupełnie inaczej. Zastosowanie nowych technologii zmieniło sposoby wydawania książek. Tradycyjny druk zastąpił skład komputerowy, upowszechniają się teksty (bo trudno to nazwać książkami) na dyskietkach, CD-ROM-ach, oraz cała gama tzw. multimediiów. Osłabła rola recenzentów, krytyka literacka wegetuje w niskonakładowych czasopismach specjalistycznych, do których niechętnie sięgają nawet studenci kierunków humanistycznych, wkład pracy redaktora jest ledwie zauważalny, błędy, niedoróbki, przeinaczenia, fałszywe dane, wszystko to staje się coraz powszechniejsze i typowe dla współcześnie wydawanych publikacji.

Zmieniła się rola pisarza: przypisywane mu znaczenie i przynależność do kultury elitarnej. Twórczość literacka przestaje być czymś tajemniczym, uwarunkowanym talentem czy geniuszem. „Współczesny rynek książki – pisze Dubravka Ugrešić – zwłaszcza amerykański, życzliwie wspiera demokratyczną praktykę, że dzisiaj każdy może być pisarzem i robić na tym duże pieniądze”². Wokół piszących, tych prawdziwych i tych przypadkowych zaroilo się od przedstawicieli nowych profesji. Są nimi agenci literaccy, biorący procenty za podpisywanie umów z wydawcami, ci zaś obrastają w biura, subagentów, sekretarki. Ich znajomość literatury jest mizerna, ale wiedzą jak promować swojego autora i poruszać się w świecie wydawniczo-przemysłowym. Tradycyjny redaktor brał się do pracy po otrzymaniu tekstu książki. Dzisiejszy towa-

² D. Ugrešić: *Czytanie wzbronione*. Warszawa 2004 s. 38.

rzyszy pisarzowi niemal od narodzin pomysłu na książkę. To on jest odpowiedzialny przed wydawcą za jej powodzenie. Dochody wydawnictwa są na pierwszym miejscu. James A. Michener opisuje szczegółowo swoją współczesną pracę z redaktorem, jego ingerencje w fabułę powieściową, rady nie do odrzucenia, czasami dotyczące szczegółów, a wszystko to po to by zapewnić książce powodzenie na rynku³.

Kiedy książka ukazuje się drukiem, opiekę nad nią przejmuje agent. Organizuje spotkania autorskie w księgarniach, bibliotekach, klubach, wszędzie tam, gdzie można liczyć na potencjalnych nabywców. Zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i w wielu krajach europejskich pisarze uczestniczący w spotkaniach autorskich nie dostają żadnego honorarium.

Pisanie nie musi wynikać z talentu. Pisanie można się nauczyć, tak jak każdego innego zawodu. Na uniwersytetach amerykańskich organizowane są regularne kursy literackie. Programy tych kursów obejmują pisanie powieści, noweli, ale też książek popularnonaukowych o pająkach, Papuasach, lesbijkach i czymś tam jeszcze. Te studia obrosły już w najrozmaitsze podręczniki i kompendia oraz instrukcje. Wszystkie one mają pouczać pisarzy lub kandydujących do tego zawodu, jak mają sobie radzić ze swoim gołym talentem. Tytuł jednego podręcznika poleca: „12 Things I Wish I Had Known When I started Writing”, innego: „Creating Character Emotions”, albo „How to Write Characters Readers Love” albo też „Write More, Sell More” itp. Lista tych poradników pisarskich jest imponująca.

Zjawiska te nie są charakterystyczne jedynie dla Ameryki. Podobnie dzieje się w Rosji. „Naszym największym nieszczęściem – stwierdza Siergiej Czuprynin, rosyjski krytyk literacki – jest to, że mamy katastrofalnie dużo pisarzy. Mój słownik współczesnych pisarzy rosyjskich mieści 30 tys. nazwisk ... wszyscy chcą pisać. Nasi literaci prowadzą monolog, nie rozmawiają z czytelnikami, dlatego trudno mówić o sukcesach współczesnej literatury rosyjskiej”⁴.

Można się oczywiście pocieszać, że w Polsce daleko nam do takiego spłycenia twórczości literackiej, ale wystarczy rozejrzeć się po księgarskich ladach albo stoiskach na targach książki, by zobaczyć, że kto

³ J. A. Michener: *Powieść*. Warszawa 1995.

⁴ S. Czuprynin: *Za dużo pisarzy*. „Gazeta Wyborcza” 2004 nr 119.

żyw chwyta nie tyle za pióro, bo to już niemodne narzędzie ale wczepia się w klawiaturę komputera i niezależnie od tego, czy ma coś do powiedzenia czy nie, przy pomocy współpracowników produkuje dzieło. Aktorzy, politycy, publicyści, dziennikarze piszą książki odwołujące się do tego, co było albo tego, co jest, czego byli naoczniymi świadkami, albo o czym wiedzą z drugiej ręki. Dzięki nowym technologiom wydanie książki jest łatwe, można to zrobić niewielkim kosztem przy pomocy rodziny i przyjaciół.

Czytanie, znajomość literatury pięknej nie stanowi współcześnie pozytywnego wyróżnika. Po prostu o niczym nie świadczy. Jest sprawą indywidualnego wyboru. Dotyczy to również znajomości światowego kanonu literackiego. Na jego zawartość składa się od lat twórczość: Andersena, Balzaca, Czechowa, Dickensa, Dostojewskiego, Dumasa, Flauberta, Rilkego, Szekspira, Tołstoja. W dwudziestym wieku dołączyli do nich: Saint-Exupéry, Faulkner, Hemingway, Steinbeck, Szolochow, Orwell, Vonnegut, w kolejce do kanonizacji ustawiają się: Eco, Fuentes, Márquez, Kundera, Llosa i inni.

W światowej produkcji wydawniczej literatura piękna ma się dobrze i stanowi 22,6% ogółu wydawanych tytułów.

Wraz ze zmianą ustroju politycznego w 1989 r. z czytelnicznych łask wypadli niemal z dnia na dzień tacy polscy pisarze jak: L. Bartelski, J. Broszkiewicz, R. Bratny, B. Czeszko, St. R. Dobrowolski, J. Gerhard, M. Rusinek, T. Hołuj, W. Machejek, M. Misiorny, J. Putrament, W. Żukrowski i inni. Zapadli się w niepamięć podobnie jak cała literatura radziecka, płacąc wysoką cenę za identyfikowanie się z panującym prawie pół wieku systemem i władzą.

W historii literatury powojennej sytuacja ta nie jest czymś wyjątkowym. Podobnie zostali odrzuceni po 1956 r. twórcy realizmu socjalistycznego. Kto dziś (oprócz pokolenia siedemdziesięciolatków) pamięta, nie mówiąc o czytaniu, *Fundamenty* J. Pytlakowskiego, *Nr 16 produkuje* J. Wilczka, *Stare i nowe* L. Rudnickiego, *Awans* W. Żółkiewskiej, *Na przykład Plewa* B. Hamery. Kto dziś poszedłby do teatru na sztukę czeskiego pisarza V. Kani *Brygada szlifierza Karhana*, którą reżyserował młody Kazimierz Dejmek.

Realizm socjalistyczny był obecny w szkolnych programach języka polskiego, wspierany przez partię mógł liczyć na preferencje wydawnicze i zakupy do bibliotek publicznych. Literaturze współczesnej przypię-

sywano moc kształtowania światopoglądów sprzyjających nowej władzy, ideologii i systemowi politycznemu.

Ci wykluczeni z lektur szkolnych i programów wydawniczych pisarze (według „Ruchu Wydawniczego w Liczbach” jedynie J. Andrzejewski utrzymał swoją pozycję w rankingu najczęściej wydawanych autorów), pociągnęli w niebyt czytelniczy innych nie uwikłanych w politykę twórców. Analizy bibliotecznych wypożyczeń dowodzą, że książki: L. Buczkowskiego, T. Nowaka, K. Filipowicza, S. Dygata, J. Kawalca, B. Wojdowskiego, T. Parnickiego, J. Parandowskiego, A. Gołubiewa, L. Gomolickiego, Z. Nałkowskiej i wielu innych są coraz rzadziej wypożyczane. A są to przecież pisarze z najwyższej półki literackiej. O tych z niższych regałów nie ma co wspominać.

Trudno się więc dziwić, że dla młodej generacji, to co społeczeństwo przeżyło w ciągu ostatniego półwiecza XX w. staje się coraz odleglejsze i trudne do zrozumienia. Między innymi dlatego, że w polskich tradycjach kulturowych literatura piękna zakorzeniła jednostkę w przeszłości. Po opracowania historyczne sięgali ludzie wykształceni, przynależni do elity akademickiej. Młodzi są zachęcani, by nie oglądali się wstecz, patrzyli w przyszłość, bo tylko ona się liczy. Przed problemami społecznymi, politycznymi, a nawet egzystencjalnymi, typowymi dla czasów minionych i to wcale nieodległych, młodzi uciekają z własnej i nieprzymuszonej woli. Literatura, poruszająca te sprawy nie może liczyć na powodzenie. A przecież nie da się pojąć polskiej traumy z czasów II wojny światowej i pierwszych lat powojennych bez Krzysztoniowego *Wielbłąda na stepie*, *Medalionów* Nałkowskiej, *Butów* Jana Józefa Szczepańskiego, *Popiołu i diamentu* Andrzejewskiego. Podobnie wiedzy o dokonaniach robotników w 1980 r. w Stoczni Gdańskiej nie da się przyswoić oglądając komiks.

Polska publiczność czytelnicza degradując literaturę drugiej połowy XX w., usuwając ją z programów szkolnych i planów wydawniczych pozbawiła wielu wybitnych pisarzy szansy na dołączenie do kanonu klasyki światowej. Może uda się to Witoldowi Gombrowiczowi, ale czy nie zasłużył również na taką nominację Jarosław Iwaszkiewicz?

Niechęć do słowa drukowanego, nie tylko do książek, ale również do czasopism i gazet ma swoje konsekwencje językowe. Zaciera się granica między tym, co do niedawna określano jako język literacki a mową potoczną. „W Polsce – pisze Zdzisław Pietrasik – nastąpiło

pomieszanie języków. Inteligenci używają słów z ulicy, starsi odmładzają się gwara młodzieżową, o politykach w ogóle lepiej nie wspominać. Zupelnie jakbyśmy zbudowali sobie małą wieżę Babel”⁵.

Uczniowie na lekcjach próbują z trudem przyswajać polszczyznę literacko-oficjalną, w czasie pauzy mówią gwara młodzieżową. Nie istnieją również wśród studentów kierunków humanistycznych odniesienia do tekstów literackich, ani satyryczno-kabaretowych z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Język polski się zwulgaryzował, przestał być wyróżnikiem świadczącym o przynależności do grupy ludzi wyedukowanych. W swoich ciekawych badaniach czytelnictwa wśród studentów warszawskich uczelni akademickich Roman Chymkowski nagrał na taśmę, że ktoś „nie zdanzał z lekturami”, parę dni temu można było usłyszeć w radiu wypowiedź jednego z najmłodszych ministrów, który też z czymś tam „nie zdanzał”. Jeszcze trochę i będziemy mieli kłopoty z artykułowaniem nowych liter w polskim alfabecie, nie mówiąc o ujęciu ich w znaki graficzne.

Zaciera się granica między literaturą wysoką i popularną. Młodzi ludzie nie rozumieją już znaczenia tych określeń. Pytani o przykłady literatury klasycznej wymieniają Szekspira i Moliera, ale w odniesieniu do współczesności wyróżnikiem nie są nawet nobliści. No bo czym różni się Coelio od Coetzego. To tylko kwestia odbioru.

Zalecane w czasie studiów lektury kojarzą się z tymi szkolnymi, a więc wieje od nich nudą. Unikając jej trzeba poszukać w Internecie, może znajdzie się jakiś fragment albo skrót.

Rozsypany kanon literacki, ten światowy, i ten rodzinny nie sprzyja dyscyplinie mówienia i pisania. W badaniach amerykańskich coraz częściej określa się trudności werbalizowania myśli jako „oral illiteracy”. Demokratyzacja słowa drukowanego nie zakorzeniła książki w kulturze popularnej. Nowe technologie wyparły ją zanim stała się powszechnikiem. Nasz język staje się telewizyjno-internetowo-SMS-owy. Ale może to wszystko potoczyć się jeszcze innymi drogami. Kto to wie?

⁵ Z. Pietrasik: *Babel nasz powszedni*. „Polityka” 2004 nr 18.

Rozdział VII

SPOŁECZNE FUNKCJE BIBLIOTEK PUBLICZNYCH

Biblioteki publiczne wprowadzają do uczestnictwa w kulturze narodowej, a poprzez nią przybliżają kulturę uniwersalną. Rozwijane przez nie usługi informacyjne wspierają cały system edukacyjny, umożliwiają doskonalenie zawodowe, wreszcie służą rozrywce.

Refleksje nad współczesnym bibliotekarstwem muszą uwzględniać kilka elementów składających się na kontekst społeczny, w którym działa każda biblioteka.

Jako pierwszy wypada wymienić przestrzeń publiczną, w której mieści się biblioteka, jako jedna z licznych instytucji kultury. Oznacza to, że każdy obywatel niezależnie od miejsca zamieszkania, wykształcenia, przekonań politycznych i wyznawanej religii ma prawo korzystania z jej usług. W polskich tradycjach są one bezpłatne.

Przestrzeń publiczną możemy umownie podzielić na dwie części. Do pierwszej zaliczamy miejsca użytkowane przez wszystkich mieszkańców danej społeczności lokalnej. Będą to więc: place, ulice, parki, boiska, baseny, miejsca zabaw dla dzieci itp. O tym, jak te miejsca są zorganizowane i zadbane zależy samopoczucie mieszkańców. Jesteśmy świadkami podziału tej publicznej przestrzeni na część zamkniętą, ogrodzoną i strzeżoną przez pracowników ochrony, zadbaną pod względem estetycznym oraz część, do której nikt się nie przyznaje. Ten podział na przestrzeń dla uprzywilejowanych i dla reszty jest widoczny nie tylko w Warszawie, gdzie według raportu „Polityki”, jest już 200 zamkniętych

i odgradzonych od reszty osiedli, ale również w innych wielkich miastach¹.

Zamykanie osiedli, odgradzanie nowo budowanych bloków ma swoje uzasadnienie. Ich mieszkańcy chcą się czuć bezpiecznie i gotowi są ponosić dodatkowe koszty finansowe. Są jednak i tacy, dla których mieszkanie w strzeżonym osiedlu czy bloku jest miarą prestiżu, pozycji zajmowanej na wyższych szczeblach drabiny społecznej. Tak więc miejsce zajmowane w przestrzeni publicznej może różnicować społeczeństwo na zasadzie nieprzenikających się, osobno żyjących grup, bez poczucia jakichkolwiek lokalnych więzi.

Nie dość, że podzielona, ale przestrzeń publiczna, głównie ta dostępna dla wszystkich jest zawłaszczana przez agresywną reklamę. Bilboardy, tablice, najrozmaitsze makiety wypełniają niemal każdy skrawek, na którym można coś postawić lub zwiesić. Nasze skrzynki pocztowe są zapchane drukowanymi reklamami. Nie pomagają wystawiane przed klatkami schodowymi pojemniki, ulotki szeleszczą pod nogami na schodach, znajdujemy je pod wycieraczkami samochodów, zaś roznosiciele atakują nas na ulicy, przed sklepem, kinem i bramą Uniwersytetu Warszawskiego. W ten oto sposób dogoniliśmy Stany Zjednoczone i rozbuchaną w tym kraju reklamę opisaną w znakomitej książce Neila Postmana².

Drugą część przestrzeni publicznej tworzą instytucje kulturalne i oświatowe: przedszkola, szkoły, kościoły, teatry, kina, biblioteki, księgarnie, muzea, archiwa itp. Tu również występują zasadnicze różnice dzielące mieszkańców na tych, którzy mieszkając w dobrych dzielnicach, z dobrą komunikacją mają ułatwiony do nich dostęp oraz tych z blokowisk, niemających poczucia bezpieczeństwa na podwórku i klatce schodowej, obywateli się bez biblioteki, klubu, boiska, nie wspominając o basenie pływackim.

Równość szans i możliwości awansu zagrażają dziś nie tylko ubóstwo materialne, bezrobocie, czy lęk przed utratą pracy, ale dezintegracja całej przestrzeni publicznej. Dostęp do książki, czasopisma i wszelkiej informacji jest integralną częścią całego zespołu warunków istotnych dla rozwoju jednostek i grup i to one różnicują dzisiejsze społeczeństwo

¹ M. Czubaj: *Polska płotem podzielona*. „Polityka” 2005 nr 30.

² N. Postman: *Technopol. Triumf techniki nad kulturą*. Warszawa 1995.

na podobnych zasadach, jak niedostatek pożywienia, leków, odzieży, choć oczywiście potrzeby biologiczne zawsze będą najsilniejsze, bowiem warunkują przeżycie.

Mieszkańcy zaniedbanej dzielnicy, nie remontowanego od dziesięcioleci bloku mieszkalnego, pozbawieni biblioteki, miejsca zabaw dla dzieci, klubu mają uzasadnione prawo do odczuwania niesprawiedliwości społecznej i braku szans na awans. Zwłaszcza, że te wszystkie bariery oddzielające ich od grup lepiej sytuowanych decydują dziś o dziedziczeniu statusu społecznego zarówno w sensie negatywnym, jak i pozytywnym³.

Drugim, nie mniej ważnym elementem są zmiany widoczne w strukturze demograficznej. Lubimy podkreślać przy różnych okazjach, że kraj nasz liczy 40 mln ludności. Według Narodowego Spisu Powszechnego Ludności i Mieszkań w 2002 r. jest nas 38 mln 230 tys. osób, a od ostatniego spisu w 1988 r. ludność kraju zwiększyła się o niespełna 1%. W miastach przybyło 435 tys. osób, natomiast liczba mieszkańców wsi zmniejszyła się o 84 tys. W 2002 r. ludność miejska stanowiła 61,8% ogółu ludności, zaś wiejska 38,2%.

W porównaniu z krajami Europy Zachodniej udział ludności wiejskiej w strukturze demograficznej jest nadal wysoki. Dla programowania rozwoju i form pracy bibliotek publicznych, szkolnych i w pewnym sensie również akademickich, istotny jest stwierdzony w spisie fakt starzenia się społeczeństwa polskiego. Między 1988 a 2002 r. liczba osób w wieku 15 lat i więcej zwiększyła się o ponad 3 mln (10,7%), natomiast liczba dzieci (0-14 lat) zmniejszyła się prawie o 2,7 mln osób. Prostą konsekwencją tego spadku, większego w miastach i o połowę mniejszego na wsi jest zamykanie przedszkoli i szkół podstawowych. Razem ze szkołami likwidowane są biblioteki szkolne. Przybywa osób w wieku emerytalnym. W 1988 r. stanowili oni 12,5%, zaś w 2002 r. już 15%. Znaczy to, że na każde 1000 osób pracujących przypadało 618 osób niepracujących.

Podkreślanie przy różnych okazjach, że to emeryci obciążają czynnych zawodowo nie wydaje się uzasadnione. Po pierwsze dlatego, że na poziom cywilizacyjny każdego narodu składają się kolejne pokolenia, a współcześnie żyjące korzysta z. dorobku poprzednich, po drugie zaś,

³ H. Domański: *Komunizm czy kapitalizm*. „Res Publica Nowa” 2001 nr 10.

emeryci są również podatnikami i konsumentami i po trzecie, że przez cały okres swojego życia zawodowego wytworzyli oni wartości zarówno materialne, jak i duchowe: edukując, budując domy, drogi i szkoły, sadząc lasy i regulując rzeki. Zostawili po sobie dzieła literackie, utwory poetyckie, podręczniki, bibliografie, encyklopedie i publicystykę. Również dzieła malarskie, rzeźby, utwory muzyczne itp. Biblioteki są depozytariuszami tych dokonań, a to co stoi na bibliotecznych półkach zaświadcza, że były to pracowite pokolenia.

Narodowy Spis Powszechny z 2002 r. ujawnił wzrost liczby osób niepełnosprawnych. W 1988 r. było takich osób 3 735 509, zaś w 2002 r. już 5 436 711, co stanowi 14,5%. W Unii Europejskiej jest około 37 mln osób niepełnosprawnych (10% ogółu ludności). Przestrzenne rozmieszczenie tej grupy jest nierównomierne, prawie z milionową przewagą w miastach. Niepełnosprawni stanowią grupę wewnętrznie zróżnicowaną. Są to osoby z wadami słuchu, wzroku, trudnościami w samodzielnym poruszaniu się, dzieci z zespołem Downa, opóźnione w rozwoju itp. Powinności bibliotek wobec tej grupy są oczywiste i będą wzrastały. Obejmują one architekturę biblioteczną (podjazdy dla wózków, poręcze, toalety, dostęp do regałów, urządzenie typu Auto Lektor itp.), jak również materiały dla niedowidzących oraz z innymi defektami fizycznymi.

Stosunek do starości i kalectwa ma jeszcze inny aspekt. „Przestaliśmy cenić starość – pisze Stanisław Różewicz – Stale się bredzi o ciężarze, jakim dla pracującego społeczeństwa są emeryci i renciści. To głupie i chamskie. Ludzie w podeszłym wieku są bardziej samotni i niepotrzebni. Kiedyś senior był najważniejszą postacią w rodzinie, dziś zamyka się starucha w pokoju i zastanawia, jak upchnąć go do przytułku”⁴.

Polowanie na starość rozlało się szeroko i objęło wiele środowisk. Adiunkci radzi by przepędzić starych profesorów, choć sami się jeszcze niczym w nauce nie wyróżnili. Tak jakby im prof. Janusz Tazbir albo Henryk Samsownowicz stali na drodze do kariery. Młodzi filmowcy swojej artystycznej niemocy upatrują w aktywności Andrzeja Wajdy czy Hoffmana. Swego czasu halabardnikom wydawało się, że to schorowany Tadeusz Łomnicki zagradza im drogę do roli Hamleta. Katarzyna

⁴ *Trzeba tylko rozejrzeć się wokół.* Rozmowa ze Stanisławem Różewiczem (rozmawia Barbara Hollender). „Rzeczpospolita” 2004 nr 33 plus-minus.

Piekarska i Sylwia Pusz miały uratować SLD. Listę tę można wydłużać, w bibliotekarstwie też by się znalazły „budujące” przykłady. Te paskudne i społecznie destrukcyjne zachowania płyną ze środowiska biznesowego i politycznego. Na oczach milionów ludzi Henryka Bochnera rzuciła się na szyję Jerzemu Hausnerowi, gdy Sejm zdecydował, że emeryci nie dostaną ani w tym, ani w przyszłym roku żadnej rewaloryzacji.

Jest jednak inny świat... Stary i schorowany Papież starał się dać ludziom nadzieję, że nie wszystko da się przeliczyć na pieniądze, że dług publiczny to jeszcze nie koniec świata, że są wartości, które warto kultywować. I setki tysięcy młodych ludzi go słuchały, choć nie zapewniał ich, że są pępkiem tego świata, ale że wobec tego świata mają obowiązki i że zmieniając siebie czynią go znośniejszym.

Dla przyszłości bibliotek publicznych wnioski są oczywiste. Zakres ich usług będzie się skupiał wokół dwu zasadniczych grup: dzieci do lat 15, osób starszych i niepełnosprawnych. Warto o tym pamiętać przy podejmowaniu decyzji modernizacyjnych.

Obok rysujących się zmian w strukturze demograficznej ludności Polski, nie mniej ważne są te, które dokonały się po 1989 r. w szkolnictwie. Jest to trzeci element kontekstu, który ma wręcz rewolucyjny charakter. Często zapominamy, że w 1988 r. tylko 6,5% ogółu obywateli miało wyższe wykształcenie, w 2002 r. już 10,2%, zaś średnie i policealne odpowiednio 24,7% oraz 32,6%. Rozstajemy się wreszcie ze szkolnictwem zawodowym, zwłaszcza na elementarnym poziomie, które wpędziło jednostkę i całe grupy społeczne w bezrobocie.

Stosunkowo wysoki wzrost poziomu wykształcenia dotyczy kobiet. W 1988 r. tylko połowa z nich miała wykształcenie ponadpodstawowe, w 2002 już 62%. Kobiety też częściej niż mężczyźni mają ukończoną szkołę co najmniej średnią, a prawie 11% ukończyło studia wyższe. Mężczyźni natomiast częściej pozostają przy wykształceniu zasadniczym zawodowym (ponad 41%), a tylko niecałe 6% ma wykształcenie wyższe. Są to konsekwencje powszechnego stosunku do kształcenia dziewcząt i chłopców w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Ukończenie zasadniczej szkoły zawodowej w tych latach dawało chłopcom szansę na łatwe wejście na rynek pracy i możliwości zarabkowania. Dziewczęta, jako mniej uzdolnione technicznie, kierowano do szkół średnich ogólnokształcących z przekonaniem, że podejmą pracę biurową lub po prostu wyjdą za mąż.

Według danych statystycznych obserwuje się zmniejszenie dystansu w zdobywaniu wykształcenia między mieszkańcami miast i wsi. W 2002 r. odsetek osób z wykształceniem ponadpodstawowym wyniósł 79%. Na wsi odsetek ten wzrósł z 39% w 1988 r. do prawie 56% w 2002 r., w tym z wykształceniem wyższym dwukrotnie (z niecałych 2% do ponad 4%). Jednocześnie też ponaddwukrotnie zmniejszył się na wsi odsetek osób bez wykształcenia szkolnego⁵.

Jest przecież w tej beczce miodu chochla dziegiu. Szkoła pod presją osiągania najlepszych wskaźników, poddana silnej konkurencji, myśląc prawie jak nasi politycy o miejscu zajmowanym w kolejnym rankingu, zamiast niwelować różnice utrwała społeczne podziały na tych wybitnych, średnich i całkiem beznadziejnych uczniów. Wyniki badań prowadzonych od kilku lat przez Programme for International Student Assessment (PISA) obnażyły niedoskonałości w rozumieniu prostych tekstów przez naszych 15-latków. Nasi absolwenci szkół podstawowych mają trudności w sprawnym czytaniu i rozumieniu tego, co czytają. Najlepsze wyniki osiągnęła w tym zakresie młodzież fińska. Sukcesy szkoły fińskiej tłumaczy się brakiem różnic w poziomie nauczania między poszczególnymi szkołami. Szkoła fińska stara się pomagać przede wszystkim słabszym uczniom; dziećmi dyslektycznymi zajmują się nauczyciele specjaliści. Angielskiego i matematyki uczy się w małych grupach. Szkołę wspomaga sieć bibliotek publicznych oraz bibliobusy. A my oglądaliśmy w telewizji bój toczony przez obywateli w Szafarni o utrzymanie małej szkoły.

Zmiany, jakie wprowadziła 1 września 1999 r. reforma systemu oświaty dotyczyły między innymi umiejętności czytania, pisania i rozumienia przeczytanych tekstów, korzystania z informacji oraz wykorzystania wiedzy w praktyce. Opanowaniu tych umiejętności ma służyć edukacja czytelnicza i medialna, traktowana jako podstawa do samodzielnego zdobywania, wyszukiwania informacji, świadomego wyboru źródeł na wszystkich szczeblach nauczania. Ta międzyprzedmiotowa ścieżka dydaktyczna wprowadzona w 1999 r.⁶ zastąpiła dotychczasowe przysposobienie czytelnicze i informacyjne. Zmiana nazwy nie jest tu istotna. Ważne jest, do jakiego stopnia poradzi sobie z realizacją tego programu cały system szkolny poczynając od szkoły podstawowej,

⁵ www.stat.gov.pl

⁶ M. Drzewiecki: *Edukacja biblioteczna i informacyjna w polskich szkołach*. Warszawa 2005.

poprzez średnią (gimnazjum i liceum) aż po studia wyższe. W grę wchodzi trzy elementy: przygotowanie bibliotekarzy i nauczycieli, wyposażenie materialne bibliotek szkolnych: lokale, czytelnie, dopływ nowości wydawniczych (książek, multimediiów, dostęp do Internetu), gotowość do współpracy bibliotekarstwa szkolnego i akademickiego.

Przydanie bibliotekarzom szkolnym tytułów nauczycielskich poza uregulowaniem statusu zawodowego też niewiele zmienia. Na razie przybyło im obowiązków (częste zastępstwa na lekcjach), ale narzędzia umożliwiające pracę są nadal ubogie. Istnieje ponadto obawa, że zyskując tytuł bibliotekarza nauczyciela będą oni bardziej identyfikowali się z personelem nauczającym niż dbali o zachowanie bibliotekarskiej odrębności i specyfiki.

Szkoła jako instytucja oświatowa kojarzy się, co oczywiste, z przymusem. Nauczyciel przymus ten egzekwuje i nie może być inaczej. Biblioteka, nawet jeśli określimy ją jako jedną z pracowni szkolnych tworzy pewien obszar azylu intelektualnego, z którego uczeń może skorzystać. Byłoby źle, gdyby bibliotekarz kojarzył mu się z jeszcze jednym oceniającym go nauczycielem. Tych bibliotekarzy, którzy chcieliby demonstrować swoją władzę nad uczniami wypada odesłać do fragmentu wypowiedzi Isaaka Beshevisa Singera, podczas wręczania mu w 1978 r. literackiej Nagrody Nobla. „Nieraz pytają mnie dlaczego piszę książki dla dzieci. Mam na to tysiąc powodów, ale wymienię tylko dziesięć. Po pierwsze – bo dzieci czytają literaturę a nie krytykę literacką czy eseje na temat literatury. Po drugie – jeśli jakiś utwór im się podoba, mają z tego przyjemność i gwizdzą na to, co o nim piszą krytycy. Po trzecie – dzieci nie szukają w literaturze samookreślenia. Po czwarte – czytanie nie służy im jako środek wyzwolenia się z poczucia winy czy przezwyciężenia uczucia wyobcowania. Po piąte – nie lubią one psychologii i nienawidzą socjologii. Po szóste – nie próbują zrozumieć Kafki czy Joyce’a, a i nie wierzą na razie w interpunkcję. Po siódme – dzieci wierzą w Boga, w rodzinę, w duchy i zjawy i różne przestarzałe rzeczy. Po ósme – dzieci lubią ciekawe opowieści, bez uwag na marginesie i odsyłaczy. Po dziewiąte – gdy książka ich nudzi nie wahają się odłożyć ją na bok, nie obawiając się reakcji jakiegoś literackiego autorytetu. I wreszcie po dziesiąte – dzieci nie oczekują od swego ulubionego pisarza aby zbawił świat. Tylko dorośli mają takie dziecinne iluzje⁷.

⁷ Z. Israel: *Mój ojciec Beshevis Singer*. Warszawa 1995 s.172-173.

Ten swoisty katalog każdy bibliotekarz powinien zachować w pamięci, a specjalnie bibliotekarz nauczyciel. Powinien on chronić przed rygoryzmem, apodyktycznością i zdawkowym traktowaniem czytelników.

O romansowych przygodach Billa Clintona było informacji aż za wiele. Nikt się nawet nie zająknął, że w ostatnim roku swojego urzędowania administracja ustępującego prezydenta przeznaczyła na wspieranie czytelnictwa 900 mln dolarów. Jego następca Georg Bush, nazajutrz po objęciu prezydentury rzucił hasło „Szkoły, głupcze” i zagroził szkołom nie spełniającym standardów w zakresie nauki czytania i pisania po prostu likwidacją. Nowo wybrany prezydent pierwsze kroki skierował do szkół. Za podpowiedzią swoich doradców wiedział, że 70% czwartoklasistów w tym najbogatszym kraju świata nie umie sprawnie czytać. A z dystansów oświatowych biorą się: bieda, bezdomność, narkotyki, agresja i wszelkie grzechy główne. Przekonał się o tym boleśnie rząd francuski w czasie młodzieżowej rebelii na przedmieściach Paryża. Dla wielu naszych publicystów fakt, że głowa światowego mocarstwa troszczy się o czytelnictwo dzieci w szkołach podstawowych wydaje się niepojęte. Według niektórych poglądów państwa ma być coraz mniej, pracowników w sektorze publicznym powinno ubywać, a jak kto chce czytać, to niech sobie książki kupi. Nie da się jednak wrócić do czasów przedbismarkowskich, gdy państwo dbało jedynie o wojsko, policję, granice i podatki. „To sa ne vrati” jak mawiają bracia Czeši.

Nieprzemyślane układy urbanistyczne, odziedziczone po gospodarce planowej, odhumanizowane blokowiska oraz współczesne podziały przestrzeni publicznej, zmiany demograficzne i rewolucja w systemie kształcenia, wszystko to powoduje, że struktura publiczności korzystającej z bibliotek publicznych staje się coraz bardziej zróżnicowana. I to jest czwarty element poszerzający tradycyjne funkcje biblioteki publicznej.

W 2003 r. najliczniejszą grupę użytkowników bibliotek publicznych stanowiły dzieci do lat 15 (29,5%) oraz młodzież licząca 16-19 lat (19,1%). Wbrew obiegowym opiniom osoby starsze, powyżej 60 roku życia stanowiły niewielką grupę (4,3%). Najliczniejszą grupę stanowiła młodzież ucząca się (50,6%) a oprócz niej 12,3% stanowili studenci⁸.

⁸ „Biblioteki publiczne w liczbach 2003”. Warszawa 2004 s. 30, 33.

Tak więc dość powszechny pogląd, że biblioteki publiczne służą głównie uczącym się jest całkowicie uzasadniony. Nowym i trudnym dla bibliotek publicznych zadaniem jest obsługa potrzeb studenckich. Reprezentują oni różnego typu uczelnie, oraz kierunki studiów, co sprawia, że uzupełnianiem zbiorów pod kątem ich potrzeb oraz rozwijanie usług informacyjnych wymaga zwiększenia środków finansowych na rozbudowę bibliotecznych warsztatów.

W miejscowościach, w których działa wyższa uczelnia, która dopiero organizuje własną bibliotekę samorządy są bardziej przychylne staraniom biblioteki o dodatkowe środki na obsługę studentów, ale tam gdzie nie ma uczelni a studenci przyjeżdżają na wakacje lub weekendy, władze lokalne mają liczne wątpliwości, co do obowiązków biblioteki wobec tej grupy użytkowników.

Oprócz studentów w ostatnich latach pojawiły się w bibliotekach publicznych dzieci w wieku przedszkolnym, a więc takie, które ledwie mówią. Wyniki badań prowadzone przez Annę Wielechowską w 5 bibliotekach dla dzieci i młodzieży na Bielanach w Warszawie informują, że grupa ta stanowi od 7 do 12% ogółu czytelników dzieci. Dla tych maluchów gromadzi się książki-zabawki, gry, puzzle, klocki. Pod okiem bibliotekarek ci najmłodsi użytkownicy bibliotek oglądają książki, grają, bawią się, rysują, słuchają głośnego czytania oraz deklamacji w wykonaniu wybitnych aktorów, biorą udział w organizowanych przedstawieniach. Na te przedstawienia przychodzą całe rodziny. W 2004 r. obejrzały je 3254 osoby. 75% ankietowanych osób oceniło pracę bibliotekarek jako bardzo dobrą. Dbałość o dopływ nowości wydawniczych oraz liczne i ciekawe imprezy – wszystko to stanowi istotne uzupełnienie domowego czytania i rozmów o książkach. Jest to o tyle ważne, że zasobność domowych księgozbiorów nie jest imponująca. Tylko w 20% domów liczyły one ponad 400 tomów, zaś 39% ankietowanych twierdziło, że liczba posiadanych książek nie przekracza 100 tytułów⁹.

Piątym elementem, z którym biblioteki publiczne mają do czynienia wchodząc we współdziałanie, ale też ponosząc określone konsekwencje, są środki masowego przekazu. „Po II wojnie światowej pisze – Peter Rietbergen – telewizja wpłynęła na codzienne życie kultur narodowych

⁹ A. M. Wielechowską: *Najmłodsi czytelnicy bibliotek bielańskich*. Warszawa 2005. Praca magisterska wykonana pod moim kierunkiem i łaskawie mi udostępniona.

oraz kulturę świata zachodniego. Ludzie ze wszystkich klas społeczno-kulturalnych i grup wiekowych codziennie spędzają wiele godzin przed telewizorem, jest to obecnie główny czynnik kulturowy”¹⁰.

Telewizja, a w ostatnich latach Internet należą do najpopularniejszych mediów. Polskie dziecko spędza przed telewizorem przeciętnie 2 godziny dziennie. Co dziesiąty 14-latek przesiaduje przed nim 4 godziny dziennie. Do tego należy dodać czas spędzony na poszukiwaniach w Internecie, który stał się symbolem nowoczesności¹¹.

Według wyników badań amerykańskiej firmy NOP World w latach 2004-2005 rekordy oglądalności telewizji pobili Tajowie (22,4 godz.), a tuż za nimi Filipińczycy, Egipcjanie, Turcy, Indonezyjczycy.

W Europie na pierwszym miejscu znaleźli się Brytyjczycy (18 godz.), na drugim Polacy (15,9 godz.). Radio okazało się najpopularniejsze w Ameryce Południowej – Argentyna (20,8 godz.), Brazylia (17,2 godz.).

Jeżeli chodzi o czytelnictwo, to najaktywniejsi są Hindusi (10,7 godz.), Tajlandczycy (9,4 godz.), Chińczycy (8 godz.), Filipińczycy (7,5 godz.). Wynik Polaków pokrywa się ze średnią światową (6,5 godz.). Więcej od nas czytają: Czesi, Rosjanie, Szwedzi, Francuzi i Węgrzy¹².

Przeciętny mieszkaniec Ziemi w ciągu tygodnia przez 16,6 godz. ogląda telewizję, 8,9 godz. pracuje z komputerem, 8 godz. słucha radia i 6,5 godz. czyta.

Wyniki tych badań trzeba traktować ostrożnie. Po pierwsze dlatego, że nie znamy metod, według których zostały przeprowadzone. Czy były to deklaracje, które z oczywistych powodów bywają mylne, czy też zastosowano tu pomiary częstotliwości za pośrednictwem urządzeń wmontowanych w telewizorach czy radiach. Najtrudniejsze jest określenie częstotliwości czytania. Czy brano pod uwagę jedynie książki, czy też prasę codzienną i magazyny kolorowe. Niezależnie od tych i innych wątpliwości wyniki te określają wyraźnie hierarchię korzystania ze środków masowego przekazu. I to one mogą posłużyć jako orientacja w rzeczywistych zainteresowaniach obywateli poszczególnych krajów.

Wśród polityków i socjologów dominuje pogląd o ważność Internetu w rozwoju cywilizacyjnym kraju i ogromnym dystansie dzielącym Polskę od krajów gospodarczo rozwiniętych. Toteż przedstawiciele

¹⁰ P. Rietbergen: *Europa. Dzieje kultury*. Warszawa 1998 s. 437.

¹¹ M. Kątna: *Dzieci chcą być przydatne*. „Gazeta Wyborcza” 2001 nr 128

¹² K. Godlewski: *Ciekawscy Polacy*. „Gazeta Wyborcza” 2005 nr 150.

parlamentu, partii politycznych i licznych fundacji zabiegają o wyposażenie szkół w komputery z dostępem do Internetu. O bibliotekach publicznych prawie się nie wspomina, choć ich rola w upowszechnianiu umiejętności poruszania się w tej nowej przestrzeni informacyjnej jest znaczna. Wyniki badań CBOS z marca 2005 r. informują, że trzy czwarte dorosłych Polaków nigdy nie korzystało i nie zamierza posłużyć się Internetem. Skądinąd wiadomo, że 70% nastolatków swobodnie porusza się w sieci¹³. Niechęć do Internetu wśród dorosłych może mieć różne powody. Popularność telefonii komórkowej zarówno wśród pokolenia dziadków jak wnuków dowodzi, że najnowsza technologia nie ma mocy odstraszaających. W skomputeryzowanych bibliotekach starsze czytelniczki radzą sobie z klawiaturą komputera wcale nie gorzej niż dzieci szkolne. Być może sytuacja się zmieni, gdy więcej spraw (bankowych, pocztowych, podatkowych, handlowych i innych) można będzie załatwić za pośrednictwem Internetu. Nie mamy natomiast dowodów na to, że Internet gwarantuje przyszłe sukcesy edukacyjne. Wiadomo, że rozwój cywilizacji elektronicznej wspierają globalne instytucje produkujące nowe technologie informacyjne, dysponujące jednocześnie niewyobrażalnymi środkami na marketing i propagandę. Wydawcy książek nie mają ani takich możliwości ani środków. W 1999 r. w co 9 rodzinie nie kupiono dzieciom podręczników. Te najbiedniejsze rodziny mieszkają przeważnie na wsi, ale warszawscy bibliotekarze mogliby zaświadczyć, że nie wszystkie dzieci w stolicy są zadbane i syte. Widać to w czytelnictwie bibliotek publicznych, w których spędzają one czas, bo nie mają gdzie się podziać i odrobić lekcji.

Kupowanie książek, instalowanie komputerów w domu, telefonia komórkowa, urządzenia do odtwarzania muzyki wszystko to zależy od zasobności kieszeni jednostek i całych grup społecznych.

Biblioteki publiczne są często alternatywą dla tych, których nie stać na kupno książki albo podłączenie do Internetu. Według badań ogólnopolskich przeprowadzonych w 2002 r. 63% dorosłych Polaków nie kupiło ani jednej książki. W powszechnej świadomości respondentów na kupno książki mogą sobie pozwolić osoby dobrze sytuowane. Tak sądziło 52% badanych. Opinie te są zgodne rzeczywistym stanem rzeczy. Kupują książki zarabiający 800 zł na osobę w rodzinie (53%),

¹³ *Internet obcy Polakom*. „Gazeta Wyborcza” 2005 nr 96.

mający wyższe wykształcenie, kierownicy, specjaliści (59%), mieszkańcy miast powyżej 500 tys. mieszkańców (62%). Zaobserwowano tendencję do rezygnacji z zakupów wśród tych grup społecznych, które dotychczas najbardziej książką się interesowały. Zmalały o 14% zakupy w grupie osób z wykształceniem średnim i pomaturalnym oraz o 11% mających wykształcenie wyższe¹⁴. Wydaje się, że to powody finansowe wpływają na niechęć do inwestowania w Internet. Po prostu, w świadomości ludzi jest to jeszcze jeden wydatek, bez którego można się obejść. Według opinii Henryka Domańskiego średnia siła nabywcza polskiej rodziny wynosi 358 euro. W Danii jest prawie cztery razy wyższa i wynosi 1331 euro, w Anglii 1249, Holandii 1207, w Szwecji 1176, w Grecji 670, Portugalii 557. Średnia 358 euro w Polsce nie dościga najuboższych Szwedów (607), Austriaków (537), Duńczyków (497), Finów (460), Włochów (437), Irlandczyków (438).

Inteligencja polska ze swoimi 764 euro mieści się poniżej najslabiej zarabiających rolników włoskich (964)¹⁵. Jesteśmy krajem biednym i stosunek znacznej części społeczeństwa do wydatków w dziedzinie oświaty i kultury jest regulowany wysokością uposażeń nieporównywalnymi z zarobkami w krajach zachodnich i skandynawskich. Kupno odzieży i żywności, również lekarstw jest życiową koniecznością. Podobnie podręczników dla dzieci. Książka, czasopismo a nawet gazeta nie mieszczą się w tym koszyku elementarnych potrzeb.

Planując nakłady finansowe na biblioteki publiczne zarówno w skali lokalnej jak i centralnej wypada pamiętać, że to one wspierając edukację przeciwdziałają dziedziczeniu niskiego statusu kulturalnego, pomagają jednostce w ucieczce od biedy, zachęcają do uczestnictwa w życiu publicznym.

Książka, literatura i jej czytanie miały i mają swoją infrastrukturę. I jest to szósty element składający się na kontekst społeczny, w którym działa biblioteka publiczna. Dzięki książce literackiej czytelnik przekraczał granice swojej lokalności, wkraczał w nieznaną mu dotąd świat. Dzięki książce literackiej odbywał zagraniczne podróże, poznawał nieznane stolice, wiejski i miejski obyczaj, dowiadywał się jak ludzie się ubierali i co jedli. Ilustracja, zwłaszcza kolorowa wzbogacała wyobraź-

¹⁴ G. Straus, K. Wolff, S. Wierny: *Książka na początku wieku*. Warszawa 2004 s.137.

¹⁵ H. Domański: *Polski inteligent orze*. „Polityka” 2005 nr 10.

nię. Ekranizacja i spektakle telewizyjne utworów literackich takich jak: *Wojna i pokój*, *Noce i dnie*, choć w odbiorze ulotne pozostawały w pamięci jako fakty literackie. Podobnie było z teatrem telewizyj, o którym pisze Jan Tomkowski – że „poniedziałkowe wieczory skupiały przed odbiornikami masową publiczność, podziwiającą sztuki Słowackiego, Wyspiańskiego, Norwida, Witkacego”. Podobnie Teatr Polskiego Radia był potęgą, a pod względem liczby odbiorców mógłby zapewne konkurować z dzisiejszą widownią telewizyjną¹⁶. Słuchowiska radiowe pisali niegdyś: Zbigniew Herbert, Ireneusz Iredyński, Stanisław Grochowiak, Jerzy Krzysztoń, Władysław Terlecki.

Zarówno radio jak i telewizja ograniczyły wyraźnie kontakty z literaturą i muzyką klasyczną. Jeszcze tylko Program II Polskiego Radia utrzymuje dawne tradycje, reszta opanowana przez komercję i walkę o masową widownię (widza i słuchacza) zrezygnowała z ambitniejszej oferty programowej. Ma być łatwo, przyjemnie, a czy pożytecznie – to już inna sprawa. Tak więc biblioteka publiczna, jako instytucja najściślej związana z książką literacką, traktująca ją jako główny element tożsamości narodowej i uniwersalnej utraciła u progu XXI w. swoje zaplecze w postaci mediów, które wspierały jej działalność słowem i obrazem. Ten oczywisty i widoczny gołym okiem rozwód ma trudne do przewidzenia konsekwencje kulturalne zarówno w sferze języka jak i wiedzy o literaturze, a za jej pośrednictwem o przeszłości. Teatr telewizyjny i radiowy był dostępny powszechnie zarówno w stolicy, jak i w małym mieście oraz na wsi.

Nie da się tej powszechności porównać ze śladowym uczęszczaniem do prawdziwego teatru czy na koncert. Jawi się przy tym zasadnicze pytanie, czy można poważnie myśleć o kulturowej integracji europejskiej bez znajomości dzieł Balzaka, Goethego, Dostojewskiego, Manna, Tolstoja, Kafki, Prousta, Joyce, a z nowszych Miłosza, Kundery, Brodskiego czy Mandelsztama. I kto jest odpowiedzialny za upowszechnienie wartości zawartych w europejskiej literaturze kanonicznej.

¹⁶ J. Tomkowski: *Zamieszkać w bibliotece*. Wyd. dom na wsi Ossa 2004 s. 162-163.

Rozdział VIII

KANON LITERACKI WE WSPÓŁCZESNYM OBIEGU CZYTELNICZYM

1. Twórcy kanonu literackiego

Czym jest kanon literacki, na czym polega jego ważność? – Otóż w największym uproszczeniu jest to zbiór dzieł, o których członkowie określonej grupy społecznej powinni coś wiedzieć. Wiedza ta, jak twierdzi Andrzej Szpociński, stanowi upostaciowanie idei, wartości i wzorów zachowań oraz symbolizuje samą grupę¹. Dotyczy to nie tylko symboliki związanej z kulturą narodową, ale i kanonu kulturowego warstw lepiej wyedukowanych, przynajmniej na poziomie średniej szkoły ogólnokształcącej. Do tego kanonu w Europie należą pewne dzieła i powiedzenia Szekspira (to be or not to be), Balzaca (daj mu dużą szklankę czystej wody) itp. Do polskiego kanonu przykładowo należą pewne dzieła i powiedzenia Wyspiańskiego (Co tam, panie w polityce, Chińczyki trzymają się mocno), Słowackiego, Norwida, a nade wszystko Mickiewicza. Powiedzenie „puszka z Pandora”, a nie „puszka Pandory” zdradza niechybnie brak wykształcenia ogólnego, brak wiedzy o kulturze starożytnych Greków. Jeszcze kilkanaście lat temu taki lapsus ważnego poli-

¹ A. Szpociński: *Kanon kultury w dobie współczesnej*. W: *Kultura popularna – literatura – książka – rynek*. Forum Czytelnicze II. Warszawa 1995 s. 36.

tyka był szeroko komentowany, dziś przeszedłby prawie niezauważony. W sześćdziesięciosobowej grupie studentów kierunku humanistycznego nie znalazł się ani jeden, który określiłby, na czym polegał błąd. Ale ósma klasa szkoły podstawowej zareagowała śmiechem, gdy o tej nieszczęsnej puszcze usłyszała. Bywa więc rozmaicie, choć wiedza o literaturze starożytnej jest prawie nieobecna w czytelnictwie powszechnym. Jeszcze w okresie międzywojennym ktoś należący do „towarzystwa” nie mógł być ignorantem na temat twórczości Żeromskiego czy Balzaka. I to niezależnie od tego czy był dziennikarzem, czy inżynierem. Znajomość literatury była przepustką na „salony”.

Współcześnie znajomość literatury przestała być wyróżnikiem i dowodem przynależności do grupy elitarniej. Wiedza o literaturze klasycznej „przerabianej” w szkole jest rzadko odnawiana, a najczęściej za pośrednictwem ekranizacji filmowych. Nieznajomość literatury nikogo nie kompromituje, ponieważ – jak twierdzi Grażyna Straus – przestała ona być prestiżowym wyróżnikiem, chociaż dla wielu książka pozostała wartością². Jest to między innymi zasługa szkoły, która umożliwiała rozumienie i przyswajanie kanonu literackiego. Można wątpić w trwałość jej wysiłków socjalizacyjnych, ale poczucie, że literatura klasyczna jest czymś ważnym jest dosyć powszechne. W powszechnym odczuciu do literatury klasycznej zalicza się książki „szkolne”. Do lektur obowiązkowych wraca się jedynie w jednostkowych przypadkach. Student pierwszego roku kierunku humanistycznego przeczytał powtórnie *Przedwiośnie* Żeromskiego i jak stwierdził lektura ta pomogła mu zrozumieć to, co się współcześnie w Polsce dzieje. Jego koleżanki i koledzy nie oglądali filmu, bowiem zniechęciły ich recenzje eksponujące wątek miłosny.

Stosunek do książki jest niewątpliwie rezultatem zmian, jakie dokonały się w strukturze polskiego społeczeństwa. Przez cały XIX w. dzieła literackie oceniała inteligencja: nauczyciele, działacze oświatowi i społeczni, krytycy literaccy współpracujący z różnymi czasopismami, księża katoliccy i protestanccy. Opinie o książkach były bardzo często podporządkowane celom wychowawczym na zasadzie przekonania o pożytkach, jakie mogą osiągnąć czytelnicy z warstw chłopskich, robotniczych oraz rzemieślniczych. Wysoki procent analfabetów (w niektórych wiejskich regionach Polski dochodzący do 70%) stanowił natu-

² G. Straus: *Stabilne nieczytanie*. „Notes Wydawniczy” 2001 nr 3-4.

ralną barierę dla tych poczyniń. Nie ulega wątpliwości, że twórcy kanonu literackiego byli przekonani o swojej misji patronackiej w stosunku do warstw niewykształconych oraz o posiadanych kompetencjach w zakresie wartościowania utworów literackich.

Upowszechnienie szkolnictwa podstawowego, średniego oraz powołanie polskich uniwersytetów po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. zmieniły zasady tworzenia kanonu literackiego. I choć rola inteligencji była w dalszym ciągu pierwszoplanowa, to jednak o wyborze poszczególnych utworów decydowały raczej instytucje, takie jak uniwersytety, katedry filologii polskiej, czasopisma literackie, stowarzyszenia pisarzy, wreszcie księgarze i bibliotekarze. W latach trzydziestych opublikowano staraniem Związku Bibliotekarzy Polskich katalog: *Książka w bibliotece*, który zawierał wybór najwartościowszych książek z literatury polskiej i obcej, polecanych bibliotekom do zakupów. Była to próba podjęta przez profesjonalistów zmierzająca do upowszechnienia najwartościowszych utworów literackich.

Współcześnie kreowanie hierarchii utworów literackich poprzez recenzje, dyskusje redakcyjne, wywiady z pisarzami zamyka się w profesjonalnym kręgu krytyków i publicystów kulturalnych. Naturalnym środowiskiem są redakcje czasopism: „Nowe Książki”, „Magazyn Literacki”, „Notes Wydawniczy”, „Polityka”, dodatki do „Rzeczpospolitej”, „Gazety Wyborczej” oraz „Tygodnika Powszechnego”. Jakiś wkład w popularyzację twórczości literackiej ma radio, w mniejszym telewizja. Przenikanie krytyki literackiej do szerszych kręgów czytelnich jest ograniczone. Nawet studenci kierunków humanistycznych rzadko sięgają po „Politykę” czy „Nowe Książki”. Opinie o książkach stały się dziś domeną profesjonalistów: nauczycieli akademickich języka polskiego, bibliotekarzy, krytyków literackich, wydawców i księgarzy.

Literatura kanoniczna lub inaczej klasyczna była w przeszłości i jest obecnie traktowana jako narzędzie umożliwiające osiąganie celów wychowawczych, patriotycznych, religijnych, moralnych. Poprzez treści zawarte w poszczególnych utworach literackich wpływa ona na zachowanie pamięci zbiorowej, a co za tym idzie zespołu symboli, wspólnych dla tożsamości narodowej. Toteż różne instytucje starają się uczestniczyć w tworzeniu kanonu literackiego. W Polsce począwszy od 1945 r. aż do 1989 r. państwo i jego instytucje monopolizowały decyzję o produkcji i rozpowszechnianiu książki. W systemie tym największą rolę

odgrywały odpowiednie organy partii komunistycznej (Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej), administracji państwowej (ministerstwa: edukacji i kultury).

Główną rolę odgrywała jednak cenzura instytucjonalna (Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk oraz jego terenowe agendy). Oprócz niej decyzje o wydaniu książki zapadały często już w wydawnictwach (w większości państwowych), bywało, że również w bibliotekach, zwłaszcza gdy interweniowały lokalne instancje partyjne. W sporach między cenzurą oficjalną a autorem książki, ten drugi stał z góry na przegranej pozycji. Toteż swego rodzaju autocenzura działająca na zasadzie, że tego cenzura oficjalna nie strawi, była dość częstą praktyką.

Celem polityki wydawniczej preferującej jedne utwory oraz nie dopuszczające innych do publikacji i rozpowszechniania była indoktrynacja w duchu ideologii marksistowskiej.

System ten na przestrzeni półwiecza ulegał różnym fluktuacjom zależnym od stopnia upolitycznienia całej sfery oświatowej i kulturalnej³. W dążeniu do wychowania społeczeństwa w duchu „naukowego” poglądu na świat, propagowanie materializmu dialektycznego i historycznego, jak również kształtowania moralności socjalistycznej tworzone programy nauczania w szkole, również w zakresie wiedzy o literaturze. W swoich badaniach nad różnymi fazami kształtowania pożądanych postaw Zofia Zasaćka analizuje cztery wzory patriotyzmu występujące w tekstach literackich, uwzględnionych w podręcznikach do języka polskiego. Są to:

1. Patriotyzm niepodległościowo-żołnierski, kształtowany według wydarzeń historycznych z lat 1794-1938.
2. Patriotyzm niepodległościowo-społeczny wynikający z odzyskania niepodległości w 1945 r., oraz wprowadzenia zasad równości społecznej.
3. Patriotyzm budowniczych eksponujący pracę kolektywną i radosną.
4. Patriotyzm sentymentalny nawiązujący do ziemi i języka ojczystego.

W zależności od stopnia totalizacji życia społecznego albo też lekkiej liberalizacji zmieniał się zestaw tytułów wchodzących do kanonu literac-

³ S. A. Kondek: *Papierowa rewolucja*. Warszawa 1999.

kiego oraz postaci szczególnie upowszechnianych bohaterów narodowych występujących w poszczególnych utworach⁴.

Politykę wydawniczą oraz programy nauczania w szkole konsekwentnie wspierało otoczenie przestrzenne, zwłaszcza w miastach, ukształtowane na nowo, w oderwaniu od tradycji Polski międzywojennej. Były to zmiany w nazwach ulic, placów, parków, nazwach szkół i wyższych uczelni akademickich. Zmieniono również obchody rocznic i świąt państwowych. Wykreślono z kalendarza rocznicę 3 Maja, oraz 11 Listopada, do których Polacy byli szczególnie przywiązani.

Właściwie jedynym bohaterem narodowym, który przetrwał przez cały okres komunizmu w Polsce był Tadeusz Kościuszko. Nie dało się w żaden sposób zakwestionować jego zasług dla ojczyzny (również wolności Stanów Zjednoczonych), postępu społecznego i demokratyzmu.

Cały ten szczegółowo rozbudowany system zmierzający do przebudowy społecznego poczucia tożsamości, zwłaszcza w odniesieniu do przeszłości, miał zasadniczą wadę, a mianowicie nie uwzględniał wiedzy przekazywanej w rodzinie oraz wspomaganej przez Kościół. Wykluczenie z programów nauczania literatury w szkole utworów o powstaniu warszawskim przeczyło doświadczeniu całego pokolenia warszawiaków, które brało w nim udział i przekazywało swoim dzieciom nie tylko wiedzę o faktach militarnych, ale także utwory poetyckie, piosenki, nieliczne powieści (które się ukazały w pierwszych, powojennych latach), fotografie, wszelkiego typu pamiątki (opaski biało-czerwone, hełmy, fragmenty mundurów itp.). Dotyczyło to oczywiście jedynie określonych środowisk społecznych, przeważnie inteligencji i też tylko tych, którzy zdołali ocalić te rodzinno-historyczne pamiątki. Przepadły domowe biblioteki, albumy rodzinne, dzieła sztuki, obrazy, rzeźby, korespondencja, a więc wszystko to, co stanowiło źródła wiedzy o przeszłości, poznawanej w toku naturalnych kontaktów międzypokoleniowych. Znikły też dobre maniery, a wraz z nimi odeszło w przeszłość coś specyficznego z naszej polskiej urody życia.

Literatura klasyczna kształtowała wiedzę o przeszłości tworząc mity i upowszechniając je w kolejnych pokoleniach. Sienkiewiczowskie

⁴ Z. Zasacka: *Wyobrażenia ojczyzny i oblicza patriotyzmu w podręcznikach do języka polskiego dla szkoły podstawowej w latach 1945-1990*. Warszawa 2000.

Ogniem i mieczem a nie dzieła historyków utrwaliło poglądy na temat naszych konfliktów z Ukraińcami, toczonych wojen i dokonywanych okrucieństw. Hoffmanowy film: „Ogniem i mieczem” próbował łagodzić skrajności, ważyć winy po obu zwaśnionych stronach. Problem w tym, na ile te próby zostały zauważone w odbiorze. Czy przypadkiem młodzi widzowie nie poszukiwali jedynie faktów odbiegających od głównej fabuły powieści, pomijając lub nie dostrzegając konfliktów społecznych.

Kanon literacki kształtował język polski. Nieprzypadkowo określało go jako język literacki w odróżnieniu od języka potocznego, czy gwar regionalnych. Jeszcze dziś nauczycielka w bukowińskiej szkole mówi, że dzieci w klasie mówią po polsku, czyli poprawnie, ale po wyjściu z niej porozumiewają się w góralszczyźnie. Obserwacje potoczne dowodzą, że nastąpiły duże zmiany w języku, jakim posługują się współcześnie uczniowie, studenci, politycy oraz przedstawiciele różnych środowisk zawodowych. Akcent, melodyka, gramatyka, wszystko to ulega zmianie. Ubożeje wyrażnie słownictwo, zasób pojęć, w miejsce bogactwa przymiotnikowego słyszymy, że coś jest „fajne”, albo „super”. W upowszechnianiu tej nowomowy celują reklamy telewizyjne, gdzie lody nie są smaczne, ale właśnie są „super”. A dzieci bardzo lubią oglądać reklamy. Najwięcej ucierpiała składnia. Politycy z pierwszych stron gazet mają często kłopoty z poprawną budową zdania. Zaczynają od środka, myślą podmiot z orzeczeniem, a wszyscy razem starają się mówić szybko, jak najszybciej, co robi wrażenie nieskładnego bełkotu, dalekiego od poprawnej artykulacji.

Poprawna polszczyzna była zawsze dziełem szkoły. Szkoła kształtowała język literacki mając za narzędzie literaturę kanoniczną. Dziś wobec niechęci uczniów do czytania literatury klasycznej, a więc trudniejszej w odbiorze szkoła zdaje się kapitulować. Tolerując zastępowanie lektury ekranizacjami filmowymi, streszczeniami, abstraktami traci swój wpływ na tworzenie się kulturowej wspólnoty symbolicznej oraz na rozwój języka ojczystego. Może się zdarzyć w niedalekiej przyszłości, że społeczeństwo utraci zdolność do porozumiewania się i że konsekwencje tego mogą okazać się nieodwracalne.

Badania nad zasięgiem książki, czytelnictwem, organizacją bibliotek, skutecznością nauczania szkolnego umożliwiają rozpoznawanie zachodzących współcześnie zjawisk społecznych oraz w miarę naszych umiejętności zapobieganie dezintegracji kulturowej w poszczególnych krajach,

w Europie i na świecie. Trudno przewidzieć na ile te wysiłki okażą się skuteczne, zwłaszcza wobec rozwoju nowych technologii informacyjnych. Telefonia komórkowa, Internet, możliwości prowadzenia dyskusji drogą satelitarną, oraz drukowania książek na zamówienie są nie tylko nowymi sposobami komunikowania. To jest potężna gałąź przemysłu i ogromne pieniądze. Jednak przewidywania, że oto jesteśmy świadkami końca ery słowa drukowanego są grubo przesadzone. Jeszcze nie wyszliśmy z kultury oralnej, a w niektórych częściach świata jest ona dominująca. A to, że zamiast 200 referatów wydrukowanych czy powielonych na papierze otrzymujemy dziś na konferencji utrwalone na CD-ROM-ie, nie ma większego znaczenia, bo i tak trzeba je przeczytać.

2. Kanon literacki w czytelnictwie powszechnym

Upadek powstania styczniowego dowiódł, że odzyskanie niepodległości nie jest możliwe w tradycyjnych strukturach społecznych. Okres, w którym pojęcie narodu utożsamiano z warstwą szlachecką dobiegł końca. Pozytywizm obligował elity kulturalne do pracy oświatowej, do upowszechnienia umiejętności czytania wśród warstw chłopskich, szczególnie pod tym względem zaniebanych.

Struktura polskiego społeczeństwa, w której dominowała warstwa chłopska (70% ogółu ludności) nie sprzyjała tym poczynaniom, między innymi ze względu na specyficzność organizacji pracy w gospodarstwach wiejskich. Żeby poświęcić czas na lekturę, trzeba go mieć. Na wsi polskiej do I wojny światowej nie istniało pojęcie czasu wolnego. Pracowało się od wschodu do zachodu słońca. Każdy, nawet pięcioletnie dziecko musiało pracować (pasanie krów, owiec, gęsi). Praca stanowiła podstawę wychowania w rodzinie chłopskiej. Czas wolny wpisany był w kulturę pańską (ziemiańską), obcą kulturze chłopskiej.

Dopiero odzyskanie niepodległości w 1918 r. i wprowadzenie obowiązkowego nauczania w szkole podstawowej, a więc i odrabiania lekcji oraz czytania lektur zmieniło sytuację, choć nie zatarło różnic między miastem i wsią⁵. We wszystkich współcześnie prowadzonych badaniach czytelnictwo książek mieści się wyraźniej w obyczajowości miejskiej niż wiejskiej. Jest to kontynuacja tradycji czytelniczych sięgających

⁵ S. Siekierski: *Czytania Polaków w XX w.* Warszawa 2000.

XIX w., obejmujących głównie środowisko szlachecko-ziemiańskie. Czytanie było wówczas symbolem przynależności do kultury wyższej. Mieściło się w niej, zwłaszcza wśród kobiet, zainteresowanie literaturą francuską (romanse, powieści z życia wyższych sfer) w oryginale oraz w tłumaczeniach, zaś z piśmiennictwa polskiego preferowano pisarzy i utwory uznawane za wartościowe, dotyczące spraw narodowych, tradycji, wspomnień, takie jakie ludzie wykształceni musieli znać.

Jest niewątpliwym paradoksem historycznym fakt, iż państwo komunistyczne wprowadzając cenzurę podtrzymywało czytelnictwo literatury kanonicznej przynależnej do kultury wyższej. Główną instytucją, w której traktowano ją jako obligatoryjną była szkoła. Za pośrednictwem utworów literackich narzucano kolejnym pokoleniom wyobrażenia o polskości, patriotyzmie, historii, bohaterach narodowych, wartości pracy i sprawiedliwości społecznej. W tym procesie uczestniczyły również wydawnictwa i biblioteki. To co wyprodukowały wydawnictwa trafiało do rąk uczniów oraz na półki biblioteczne. A ponieważ z bibliotek publicznych korzystały dzieci szkolne oraz młodzież, ich wybory czytelnicze były zgodne z tym, co zawierał program nauczania w szkole. Oczywiście, dzieci czytały również książki rozrywkowe, przygodowe, podróżnicze, ale wybór tych lektur był raczej skromny.

Tak więc kanon lektur szkolnych pokrywał się z tym, co wypożyczano w bibliotekach. Dokonywane wybory dotyczyły głównie literatury polskiej: Józef I. Kraszewski, Henryk Sienkiewicz, Bolesław Prus, Eliza Orzeszkowa, Stefan Żeromski, Adam Mickiewicz, Juliusz Słowacki, Gabriela Zapolska, Wacław Gąsiorowski, Władysław Orkan. Dorównywały im poczytnością nieliczne utwory autorów obcych: Ernest Hemingway, John Steinbeck, Michał Szolochow, a z dawniejszych Jack London, Alexander Dumas, Joseph Conrad. Wśród młodzieży wiejskiej w 1969 r. aż 70% wypożyczonych książek stanowiła literatura polska, zaś 30% obca⁶.

Rok 1989 zapoczątkował gwałtowne zmiany w systemie politycznym, gospodarczym i kulturalnym Polski. Objęły one również wszystko to, co wiąże się z produkcją i obiegiem książki. Znikła cenzura, wolny rynek objął również produkcję książki, decentralizacji uległ system zakupów nowości wydawniczych w bibliotekach publicznych. Czytelnik uzyskał

⁶ *Czytelnictwo młodzieży wiejskiej*. Warszawa 1971 s. 187-188.

możliwości wyborów lektury; zarówno kupna, jak i wypożyczeń w bibliotekach. Bardzo szybko okazało się jednak, że wyrosła przed nim bariera w postaci cen książek. Odczuli to nie tylko indywidualni czytelnicy, zwłaszcza ubożająca inteligencja, ale również biblioteki publiczne. W 2003 r. wskaźnik zakupów wyniósł 5,1 książki na 100 mieszkańców i był najniższy w ciągu ostatniej dekady⁷. Według przyjętej przez Ministerstwo Kultury i Sztuki w 1982 r. normy biblioteki publiczne powinny kupować 18 nowych książek na 100 mieszkańców. Norma opracowana przez IFLA/UNESCO zaleca 20 nowych książek na 100 mieszkańców w miejscowościach liczących powyżej 50 tys. mieszkańców i 25 nowych książek w miejscowościach liczących poniżej 25 tys. mieszkańców⁸.

Po 1989 r. rynek książki zalały wydawnictwa o charakterze rozrywkowym; wszelkiego typu sensacje, kryminały, fantastyka, powieści obyczajowo-romansowe itp., głównie autorstwa pisarzy amerykańskich. Niezwykłą popularność uzyskały w pierwszych latach dziewięćdziesiątych książki wydawnictwa Harlequin. Tak jak się wydawało badaczom czytelnictwa, chwilowe zafascynowanie literaturą popularną (masową), przez półwiecze niedostępną polskiemu czytelnikowi, okazało się jednak zjawiskiem nietrwałym, choć wpływającym na repertuar wydawniczy, który kształtują zainteresowania odbiorców. W warunkach wolnorynkowych, konkurencyjnych wydawcy muszą uwzględniać preferencje potencjalnych nabywców, w przeciwnym razie czeka ich bankructwo. Wybory czytelnicze przesunęły się w ostatnich latach wyraźnie w kierunku książek niebeletrystycznych. Jeszcze w 1994 r. deklarujący zainteresowanie wydawnictwami encyklopedyczno-poradnikowymi, edukacyjnymi, fachowymi, stanowili 29%, a w 2000 r. już w 44%. Zmniejszyło się w tym samym czasie zainteresowanie beletrystyką romansowo-obyczajową z 31% do 12%⁹.

Niewiele zostało ze wspomnianego kanonu czytelniczego z lat sześćdziesiątych, z dominacji zainteresowań literaturą klasyczną. Z porównania wyników badań z lat 1992, 1994, 1996 wynika, że zostało się kilka pozycji H. Sienkiewicza: *Trylogia*, *Krzyżacy*, *Qvo vadis*, A. Mickiewi-

⁷ „Biblioteki publiczne w liczbach 2003”. Warszawa 2004.

⁸ *Działalność bibliotek publicznych. Standardy międzynarodowe IFLA-UNESCO*. Warszawa 2002 SBP.

⁹ G. Straus: *Stabilne nieczytanie*. „Notes Wydawniczy” 2001 nr 3-4.

cza: *Pan Tadeusz*, E. Orzeszkowej: *Nad Niemnem*, B. Prusa: *Lalka*. Są to lektury szkolne, które wytrzymały próbę czasu i okazały się w programach dość stabilne. Trudno przewidzieć, czy pozycje te zachowają status międzypokoleniowego kanonu literackiego, czy zawarty w nich przekaz symboli będzie wspólny dla całego społeczeństwa.

Odchodzenie od literatury klasycznej, głównie dziewiętnastowiecznej jest faktem, ale nie jest to proces zakończony i może on podlegać różnym fluktuacjom. Bywa, że niektóre utwory czytane w szkole, jako lektury obowiązkowe, a więc pod przymusem, są już w dorosłym życiu odczytywane na nowo. Nie ma ścisłego rozgraniczenia między utworami klasycznymi a utworami, które cieszą się dużym zainteresowaniem i należą do współczesności. Do najpoczytniejszych pozycji w latach 1992 i 1998 należały: M. Sandemo: *Saga o ludziach lodu*; Jana Pawła II: *Przekroczyć próg nadziei*; J. R. R. Tolkiena: *Władca pierścieni*, Biblia, E. Gierek: *Przerwana dekada*, W. Jaruzelski: *Stan wojenny – dlaczego?*, M. Mitchell: *Przeminęło z wiatrem*, R. Ludlum: *Tożsamość Bourne'a*, M. Rodziewiczówna: *Wrzos*, A. Sołżenicyn: *Archipelag Gułag*, M. Blake: *Tańczący z wilkami i inne*¹⁰.

Już z tego wyrywkowego zestawienia widać, że wybory czytelnicze są wielce zróżnicowane, a gatunki literackie dość gruntownie przemierzane. W niedalekiej przeszłości (do 1989 r.) wybory czytelnicze dorosłych były silnie determinowane lekturami obowiązkowymi, egzekwowanymi przez szkołę. Książki wypożyczane przez dzieci z biblioteki szkolnej i publicznej były czytane (zwłaszcza na wsi) przez rodziców. Dziś reforma szkolnictwa stwarza nauczycielowi możliwości dowolnego wyboru książek, które dzieci powinny przeczytać. W związku z tym już w niedalekiej przyszłości wspólnota lekturowa może po prostu zaniknąć. Nie ulega wątpliwości, że czytanie uczniowskie jest dziś zastąpione przez film i wideo, wszelkiego typu streszczenia, tzw. bryki.

Ekranizacja słynnych powieści z repertuaru klasycznego jak Sienkiewiczowski „*Quo vadis*”, „*Ogniem i mieczem*”, „*Potop*”, „*Krzyżacy*”, „*Faraon*” Prusa, czy Mickiewiczowski „*Pan Tadeusz*” sprawiają, że zawarte w nich treści są przyswajane w sposób powierzchowny i bezrefleksyjny. Zapamiętywana jest fabuła i toteż nie w całości. Odpą-

¹⁰ G. Straus, K. Wolff: *Zainteresowanie książką w społeczeństwie polskim w 1996 r.* Warszawa 1998 s. 54.

da znajomość całego kontekstu historyczno-społecznego, jak również zespołu wartości takich jak: sprawiedliwość, współczucie, miłosierdzie, wrażliwość na krzywdę ludzką, tak charakterystycznego dla powieści dziewiętnastowiecznej. Choć oczywiście trzeba pamiętać, że niektóre utwory pozytywistyczne, jak *Lalka* czy *Rodzina Połanieckich*, Reymonta *Ziemia obiecana* ilustrowały polski kapitalizm, w którym dostawy dla wojska, sprzedaż zboża w okresie głodu, wyzysk robotnic w zakładach włókienniczych nie różniły się tak bardzo od tego, co działo się w tym czasie we Francji czy Anglii i co również uwieczniła twórczość W. Hugo, H. Balzaka, Zoli zaliczana do klasyki XIX-wiecznej. W książkach autorów polskich i obcych patriotyzm przeplata się z bezwzględnością ekonomiczną, filantropia z problemami nędzy i brakiem perspektyw dla pracowników najemnych, indywidualny egoizm i okrucieństwo z niesieniem pomocy potrzebującym itp. Szkoła w swoich programach nauczania chętnie eksponowała postaci skłonne do poświęceń dla dobra społecznego, pomijając te, które w sposób bezwzględny zarabiały pieniądze.

Współcześnie obserwujemy zderzenie tradycyjnych wartości z tymi, które tworzy współczesność. Pojęcie dobra wspólnego, służby publicznej zastępuje indywidualistyczne traktowanie własnej przyszłości zajmowanie postaw, które by ułatwiały konkurencję na rynku pracy. Stąd aktywne inwestowanie w naukę, podnoszenie kwalifikacji, jednym słowem „branie spraw we własne ręce”. W dążeniu do wytyczonych celów nie brzydzi protekcja, deprecjonowanie konkurentów, nadmierna układowość wobec zwierzchników, brak solidarności w zespole. Nikt się do nich publicznie nie przyzna, ale w sposób oczywisty stanowią one zespół zachowań ułatwiających osiągnięcie wytyczonych celów życiowych.

Młodym generacjom coraz trudniej przychodzi rozumieć XIX-wieczny obyczaj, filantropię, konflikty społeczne i religijne, sposoby leczenia, stosunek do pracy itp. Nie mówiąc o nazwach roślin, zwierząt, części ówczesnego ubioru, ustawodawstwa itp. Nawet nauczyciele mają z tym kłopoty. Nie dziwią przeto opinie wypowiedzane przez pisarzy i publicystów, że czytanie nigdy nie będzie powszechne, że trzeba się pogodzić z tym, iż będzie ono udziałem mniejszości. Wypowiedzi formułowane w tym duchu zawierają rodzaj kapitulacji, zgodę na podział społeczeństwa na elitę, dla której warto tworzyć literaturę, chociażby ze względu na piękno języka, myśl egzystencjonalną i społeczną, oraz całą słabo edukowaną większość, która i tak swój wolny czas spędza przed telewizorem.

Czy w tej sytuacji biblioteki publiczne mogą odgrywać rolę inspirującą zainteresowania lekturą wartościową, klasyczną? – Nie ma na to jednoznacznej odpowiedzi, zwłaszcza że zmienia się publiczność korzystająca z ich usług. W 2003 r. było w Polsce 8727 bibliotek publicznych (łącznie z filiami), z których korzystało 7 576 405 czytelników, co stanowiło 19,8% ogółu społeczeństwa¹¹.

Prawie 60% tej liczby stanowiła młodzież ucząca się. Z myślą o niej biblioteki organizują różne konkursy literackie, poetyckie, wystawy, koncerty, przedstawienia teatralne. Młodzi biorą w nich udział. Piszą wiersze, próbują prozy, malują, rysują, uczestniczą w przedstawieniach teatralnych. Biblioteki czynią wiele, by te zainteresowania podtrzymać i rozwijać. Wynajdują sponsorów, by wydać tomiki poezji, zorganizować koncert czy wystawę. W 1999 r. takich imprez odbyło się w całym kraju około 250 000. Zważywszy trudności finansowe, z jakimi borykają się biblioteki są to duże osiągnięcia. Aktywność kulturalna bibliotek jest cenna zwłaszcza w środowiskach wiejskich. W wielu wsiach biblioteka publiczna jest jedyną instytucją, która przybliży mieszkańcom wartościową literaturę oraz sztukę.

Zróznicowanie kulturalne między miastem i wsią jest oczywiste. Mieszkańcy miast mają nieporównanie szerszy dostęp do instytucji kultury: bibliotek, teatrów, sal koncertowych, galerii i muzeów. Nie ma szans na powoływanie teatrów czy galerii na wsi. Na to nie mogą sobie pozwolić nawet najbogatsze kraje. Ale istnieje możliwość upowszechniania wartości kultury elitarniej, w tym również literatury kanonicznej, i to właśnie w bibliotekach publicznych. Celem głównym tych zabiegów powinno być zmniejszenie różnic środowiskowo-przestrzennych na tyle, by pochodzenie wiejskie czy małomiejskie nie było głównym wyznacznikiem uczestnictwa w kulturze i by fakt urodzenia w rodzinie chłopskiej czy robotniczej nie przesądzał o losie jednostki w sensie negatywnym. Budowa społeczeństwa demokratycznego, otwartego powinna zmierzać do minimalizowania różnic w statusie społecznym, a przynajmniej nie dopuszczać, by stawał się on dziedziczny. Jest to jedno z najtrudniejszych zadań, jakie musi realizować polityka oświatowa i kulturalna i to zarówno w granicach lokalnych, ogólnokrajowych i być może europejskich.

¹¹ „Biblioteki publiczne w liczbach 2003”. Warszawa 2004 Biblioteka Narodowa.

Truizmem jest twierdzenie, że literatura przybliży świat i jego problemy, że zmusza do wysiłku intelektualnego, do formułowania pytań o sens własnej egzystencji, że odwołując się do przeszłości pomaga zrozumieć losy narodu, społeczności, w której żyjemy. W tym dziele formacyjnym nie zastąpi jej ani telewizja, ani Internet. Nowe technologie informacyjne ułatwiają poszukiwania, poszerzają możliwości dotarcia do źródeł, zmieniają też sposoby korzystania z usług bibliotecznych. Coraz częściej czytelnik wpada do biblioteki na chwilę, by coś sprawdzić na mapie, zajrzeć do słownika czy encyklopedii, połączyć się z bazą danych, odnaleźć opis bibliograficzny. Ale nawet najnowocześniejsza technologia nie ułatwi nam odpowiedzi na zasadnicze pytanie o to, dokąd zmierzamy, jakie cele nam przyświecają. Czy chcemy być bardziej tolerancyjni względem siebie, wrażliwi na los pokrzywdzonych, chorych i słabych, czy też zamierzamy ich traktować jako tych, którym się nie udało? Czy zagapieni w Internet będziemy obserwować taniec na Haiti, czy też zainteresujemy się samotnym sąsiadem? Telewizyjny chłopiec stwierdził, że Internet umożliwi mu znalezienie przyjaciół w świecie. Czy ma to oznaczać, że znikną podwórkowi koledzy? Smutek wieje z takich wypowiedzi, zwłaszcza, że to nie chłopiec je wymyślił, ale specjaliści od marketingu.

Bądźmy jednak optymistami. W 2004 r. ponad połowa (58%) Polaków sięgnęła po książkę, jeszcze 37% kupiło jedną i więcej książek¹². Tak więc czytelnictwo nie znika z kulturalnej mapy kraju. We wszystkich badaniach nad zasięgiem książki w Polsce (a są one prowadzone cyklicznie, co dwa lata) czynnikami różnicującymi stosunek do niej są: wiek, poziom wykształcenia, miejsce zamieszkania, wykonywany zawód. W 1998 r. odsetek czytających 18-24-latków był dwukrotnie wyższy od odbiorców najstarszych (65 lat i więcej). Osoby najlepiej wykształcone czytają czterokrotnie więcej niż ci, którzy kończyli szkołę podstawową. W wieloletnich badaniach Instytutu Książki i Czytelnictwa stwierdzano niejednokrotnie, że warunkiem rozwoju zainteresowań czytelniczych jest ukończenie szkoły średniej ogólnokształcącej.

Struktura wykształcenia społeczeństwa polskiego w latach 1945-1989 była dla rozwoju czytelnictwa wielce niekorzystna. Wyniki badań prowadzonych, przez Grażynę Straus wśród uczniów ogólnokształcą-

¹² G. Straus, K. Wolff: *Czytelnictwo i zakup książek w Polsce w 2004 r.* „Bibliotekarz” 2005 nr 6.

cych liceów warszawskich potwierdzają iż dziedziczenie statusu społecznego ma nie tylko aspekt negatywny. Znacząca część tej młodzieży należała do uprzywilejowanych grup społeczeństwa. Ojcowie 84% uczniów i matki 89% mieli wykształcenie co najmniej średnie, w tym odpowiednio 46 i 44% wyższe. Ponad 3/5 licealistów miało do dyspozycji własny pokój, prawie 2/3 miało komputer (15% z dostępem do Internetu), 15% miało w domu księgozbiór liczący od 501 do 1000 woluminów, a ponad 1000 woluminów – 12%. Młodzież ta czytała dużo. Lektury jej były wielce zróżnicowane: J. Andrzejewski: *Ciemności kryją ziemię*, *Popiół i diament*, M. Bułhakow: *Mistrz i Małgorzata*, A. Camus: *Dżuma*, K. Dickens: *Klub Pickwicka*, D. Diderot: *Kubuś fatalista i jego pan*, E. Fromm: *O sztuce miłości*, J. W. Goethe: *Cierpienia młodego Wertera*. Dużym zainteresowaniem cieszyły się książki autorów, których nie było na liście lektur: M. Weber: *Szkice z socjologii religii*, E. Fromm: *O sztuce słuchania*, D. Goleman: *Inteligencja emocjonalna*, A. Kempański: *Rytm życia*, U. Ecco: *Zapiski na pudełku od zapałek* itp. Zestaw tych lektur świadczy o dużym zindywidualizowaniu zainteresowań czytelniczych dalekim od szkolnej jednolitości¹³.

Przed 1989 r. niecałe 7% ogółu społeczeństwa miało wykształcenie wyższe, 22% średnie, w tym również zawodowe, reszta podstawowe uzupełnione zasadniczą szkołą zawodową. W ostatnich 10 latach poziom wykształcenia się poprawia, ale jest to proces długotrwały. Na wsi i w małych miasteczkach odsetek nie czytających książki był dwukrotnie wyższy niż w miastach średnich i dużych.

Czytający książki przeważali w grupach aktywnych zawodowo: pracowników umysłowych oraz kadry kierowniczej i inteligencji: nauczycieli, bibliotekarzy, urzędników, lekarzy, muzealników, archiwistów itp. Jest to grupa społeczna lepiej wykształcona niż pracownicy fizyczni, wyżej uposażona, dla której książka stanowi w dalszym ciągu wyznacznik przynależności do elity.

Różnice dzielące elitarną grupę czytelniczą (13%) od tych, którzy czytają sporadycznie i rzadko kupują książki nie zawsze przebiegają według posiadanego wykształcenia, pełnionych funkcji społecznych, miejsca zamieszkania, czy też poziomu zamożności. W elitarniej grupie czy-

¹³ G. Straus: *Czytająca młodzież. Pozaszkolne lektury licealistów warszawskich*. „Notes Wydawniczy” 1999 nr 9.

telników można spotkać pracowników akademickich, krytyków literackich, redaktorów miesięczników literackich, ale też po prostu miłośników literatury. Łączy ich gruntowne wykształcenie humanistyczne, w którym wiedza filologiczna przeplata się z filozoficzną. To oni wyznaczają standardy lekturowe, choć podejmowane przez nich dyskusje są dość hermetyczne, przenikają na zewnątrz w niewielkim zakresie.

To co czyta się w tej grupie nie przekłada się na zainteresowania występujące w czytelnictwie powszechnym. Efekt jest taki, że lektury elitarne i masowe funkcjonują osobno. Inaczej rzecz ujmując, elita czytelnicza tworząc we własnym mniemaniu wzory lekturowe nie troszczy się o ich popularyzację wśród grup reprezentujących czytelnictwo powszechne. Nieobecność liderów czytelnictwa elitarnego powoduje, że nawet wśród studentów kierunków humanistycznych zainteresowania ambitniejszą literaturą piękną są niewielkie. Po prostu kandydaci na przyszłych inteligentów czytają mało i nie przywiązują do tej czynności zbytnej wagi.

Z porównania tytułów książek wymienianych przez grono twórców kultury polskiej na łamach miesięcznika „Więź” oraz określanych w badaniach nad zasięgiem książki jako najpopularniejsze w 2002 r. widać, jak głęboko sięga to zróżnicowanie lekturowe. Jako książki najważniejsze czytelnicy elitarni wymienili: Miłosza: *Piesek przydrożny*, *Druha przestrzeń*, Szymborską: *Chwila*, Różewicza: *Nożyk profesora*, *Matka odchodzi*, Mrożka: *Listy 1963-1993 do Jana Błońskiego*, Barańczaka: *Ocalone w tłumaczeniach*, Herberta: *Epilog burzy*, *Labirynt*, Herlinga-Grudzińskiego: *Dziennik pisany nocą*, Kubiaka: *Brewiarz Europejczyka*.

Ani jedna z tych książek nie została wymieniona wśród najpoczytniejszych autorów w czytelnictwie powszechnym, gdzie królowali: Sienkiewicz: *Trylogia*, Tolkien: *Władca pierścieni*, Mickiewicz: *Pan Tadeusz*, Rowling: *Harry Potter*, Biblia, Sienkiewicz: *Quo vadis*.

Zestawienie to dowodzi przemierzania się lektur szkolnych z pozaszkolnymi. Elita czytelnicza nie kryje swojej pogardy dla kultury masowej. Wypowiedź jednego z dyskutantów „Więzi” nie pozostawia co do tego żadnych wątpliwości. „Pomiędzy kulturą masową a elitarną jest mniej więcej taki sam związek jak pomiędzy pomalowanymi ścianami warszawskich kamienic a malarstwem. Tym, którzy mażą kamienice czy wrzeszczą na estradach chodzi tylko o to, by zamanifestować, że ist-

nieją. Nie chodzi im o wytwór, o samorealizację, o doskonałość, eksperyment, tylko o to, żeby pokazać: ja też jestem na świecie”¹⁴. Pytanie tylko, czy to wołanie egzystencjalne jest w rzeczywistości godne potępienia.

Nie znaczy to, że nic nie zmieniło się w środowisku elity akademickiej i intelektualnej. Jacek Bocheński twierdzi, że zmienił się model wykształcenia humanistycznego, oparty na studiowaniu łaciny i pisarzy starożytnych. „Przez prawie dwa tysiące lat łacina oznaczała przynależność do świata wartości najwyższych, reprezentowała religijne sacrum oraz humanistyczne dostojeństwo, zastępowała też wszystko, co starożytne. Łacina w programie szkoły średniej (a wcześniej greka) upadła po II wojnie światowej, jako przedmiot symbolizujący warstwy wyedukowane, nieprzydatny w technicyzującym się świecie, nastawionym na zdobywanie umiejętności praktycznych. Wprowadzając języki narodowe do liturgii Kościół katolicki pozbawił ją swoistej tajemniczości, narzędzia służącego do porozumiewania się z Bogiem, nawet wtedy, gdy pośrednikiem był jedynie ksiądz. Lud od początków chrystianizacji Polski aż po czasy najnowsze łaciny nie rozumiał, ale doceniał jej uniwersalność”¹⁵.

W wojennych pamiętnikach polskich robotników przymusowych w Niemczech można znaleźć potwierdzenie tej świadomości. Uproszczone o odprawienie mszy niemiecki ksiądz wypowiadający łacińskie teksty liturgiczne przywracał (pewnie nie wiedząc o tym) poczucie godności ludziom wyzutym ze wszystkiego, co było dla nich wartością.

Cywilizacja elektroniczna zadała ostateczny cios łacinie i literaturze klasycznej. I nie tylko im. Również muzyce klasycznej. Kierowca takśówki przeprosił mnie wyłączając kanał radiowy z muzyką Mozarta. Nawet przez chwilę nie pomyślał, że ta muzyka może mi się podobać. Nie znaczy to, że sale koncertowe świecą pustkami a muzyka klasyczna odchodzi w niepowrotną przeszłość. Moje dwie pierwszoroczne studentki wydają każdy grosz na bywanie w operze. Wiedzą wszystko o wykonawcach i boleją nad każdym podniszczonym kostiumem.

¹⁴ *Książki najważniejsze*. „Więź” 2004 nr 11.

¹⁵ J. Bocheński: *Łacina i noster*. „Gazeta Wyborcza” 2004 nr 284.

Rozdział IX

PAŃSTWO OPIEKUŃCZE – GOSPODARKA RYNKOWA – BIBLIOTEKI

Myślenie i pisanie o bibliotekach cechują dwie skrajności, a między nimi mieści się środek. Według pierwszej, biblioteki są instytucjami anachronicznymi, nieprzydatnymi w życiu współczesnym, niemającymi przyszłości. Ale przecież są, coś trzeba z nimi zrobić. Według niektórych publicystów można by je sprywatyzować. Samorząd gminny, głównie wiejski może wydzierżawić albo sprzedać księgozbiory biblioteczne drobnym prywatnym przedsiębiorcom. Autor tego pomysłu nie zastanawiał się, czy po opłaceniu lokalu, oświetlenia, ogrzewania, wyposażenia, zakupów nowości wydawniczych, zostanie mu coś na przysłowiową sól do rosołu. Zwłaszcza, że pobieranie opłat za wypożyczenia książek od wiejskich dzieci jest mało realne. Można by przejść do porządku dziennego nad takim pomysłem, gdyby nie to, że opublikował je wysokonakładowy tygodnik¹.

Drugą skrajnością są marzenia o tym, że bibliotekę zastąpi Internet, że dzięki niemu powstanie jedna światowa księga „Liber mundi”, coś w rodzaju Księgi czarnoksiężnika, w której znalazłaby się cała wiedza o świecie. Marzyciele nie mówią jednak, w jaki sposób przeciętny śmiertelnik ma opanować umiejętność czytania tej księgi. Nie mówiąc o rozumieniu zawartych w niej treści. Nieco bliższe ziemi są nadzieje związane z upowszechnieniem się komputeryzacji, na tyle, że korzystanie z baz

¹ W. Kot: *Kultura dotacji*. „Wprost” 2001 nr 5.

informacyjnych oraz tekstów stanie się możliwe bez wychodzenia z domu. Ale tu też brak odpowiedzi, kiedy w naszym ubogim kraju domowe komputery staną się powszechne.

Ludzie środka, do których wypada zaliczyć bibliotekarzy, socjologów i co rozsądniejszych publicystów biorą pod uwagę realia cywilizacyjne i kulturowe naszego społeczeństwa, a przede wszystkim strukturę wykształcenia, stan zamożności obywateli oraz poziom bezrobocia, zróżnicowania społeczno-przestrzenne dzielące nie tylko miasto i wieś, ale poszczególne regiony kraju itp.

W tych realiach biblioteka jawi się jako integralna część sfery publicznej, na analogicznych zasadach jak ochrona zdrowia, opieka społeczna, szkolnictwo, organizacje i towarzystwa kulturalne, lokalna prasa i media. Utrzymywanie i doskonalenie instytucji wchodzących w skład sfery publicznej traktują oni jako obowiązek samorządów i państwa wobec społeczeństwa, obowiązek, który od drugiej połowy XIX w. społeczności europejskie stopniowo i uparcie wymusiły na strukturach państwowych. Efektem tych zabiegów było przejęcie przez państwo świadczeń finansowych na szkolnictwo, opiekę socjalną, ubezpieczenia zdrowotne, oraz w końcowej fazie również na biblioteki publiczne. Państwo opiekuńcze (welfare state) weszło na stałe do współczesnego słownika polityczno-ekonomicznego, wspierane przez jednych, zwalczane przez innych. To na tym polu rozgrywają się przyszłe losy bibliotek. Wypada więc przyjrzeć się tym ogólnym zjawiskom, odległym od warsztatowych problemów bibliotek, bowiem to one stanowią wyznaczniki dzisiejszej sytuacji. Wśród nich dwa wydają się najważniejsze, bowiem wynikają z piętnastoletniego procesu transformacyjnego, tworzącego kontekst gospodarczy i polityczny, w którym działają biblioteki.

Pierwszy, to mało widoczne dla przeciętnego obserwatora umiędzynarodowienie gospodarki określane jako globalizacja ze wszystkimi konsekwencjami, jaki proces ten niesie ze sobą. Drugi, to kryzys państwa opiekuńczego, który niemal każdy obywatel odczuwa na własnej skórze. Co jest przyczyną, a co skutkiem i czy istnieją jakieś możliwości przeciwdziałania niekorzystnym zjawiskom? – Bibliotekarze mają obowiązek zastanowić się nad własnym udziałem we wspieraniu tych procesów, które są korzystne dla jednostki, społeczności lokalnej i uniwersalnej.

Wolny rynek uwolnił nas od uczestniczenia w dzieleniu się niedoborem właściwie wszystkiego, od pralki automatycznej poczynając, po mię-

so, wędliny i papier toaletowy. Odebrał też państwu funkcję jedyne go pracodawcy. W wielu przypadkach otworzył przed jednostką możliwość wyboru rodzaju pracy, nadał jej sens i dostarczył satysfakcji materialnych. Wypada jednak pamiętać, że ci co skorzystali na zmianie systemu gospodarczego stanowią nie więcej niż jedną trzecią ogółu społeczeństwa. Bibliotekarze nie zmieścili się w tej grupie. Postaramy się dociec dlaczego tak się stało. Ile w tym naszej winy, a ile zależności od tak zwanych czynników obiektywnych, zewnętrznych, ideologicznych i politycznych.

Począwszy od 1990 r. polska gospodarka włączyła się do rynku światowego. Symbolem tego włączenia było powstanie giełdy, inwestycje zagraniczne, rozwój bankowości, wprowadzenie nowych technologii itp. Stworzyło to możliwości wzrostu produktu krajowego brutto, umocniło pieniądź oraz przyczyniło do zmian cywilizacyjnych. Urealnienie relacji złotówki do dolara i innych walut otworzyło przed Polakami granice, zintensyfikowało na niespotykaną dotąd skalę turystykę zagraniczną, uwolniło od upokarzających wojaży z pięcioma dolarami w kieszeni. Wśród 65 studentów piątego roku bibliotekoznawstwa tylko jedna osoba wyznała mi, że nie była za granicą, bowiem odwiedziła tylko Słowację. Na zasadzie „Kurica nie ptica, Słowacja nie zagranica”. W porównaniu z okresem PRL są to zmiany wręcz rewolucyjne. Nowe technologie informacyjne (komputeryzacja, Internet, telefonia komórkowa), umożliwiając współpracę nie tylko bankom, koncernom i instytucjom naukowym, ale również bibliotekom, choć oczywiście nie wszystkim. Ale cały ten postęp powoduje zmiany na rynku pracy. Coraz więcej ludzi traci zatrudnienie. Początkowo bezrobotnymi stawali się ludzie z niskimi kwalifikacjami zawodowymi, ci, którzy w latach 1960-1990 kończyli szkołę podstawową oraz zasadniczą szkołę zawodową. Dziś o pracę ubiegają się osoby z dyplomami szkół wyższych.

Bezrobocie osiągnęło w Polsce rozmiary, które bez większej przesady można określić jako społeczną klęskę. W porównaniu z innymi krajami prawie z 3 mln ludzi bez pracy osiągnęliśmy swoisty rekord. Wśród krajów Europy Środkowowschodniej: w Czechach, Słowenii, na Węgrzech stopa bezrobocia jest dwukrotnie niższa.

Problem bezrobocia jako masowego zjawiska społecznego nie jest w historii bibliotekarstwa publicznego czymś nowym. W 1932 r. w okresie jego największego nasilenia, Koło Warszawskie Związku Bibliotekarzy

Polskich zorganizowało w Warszawie sekcję Pomocy Bibliotecznej dla Bezrobotnych, której celem było bezpłatne dostarczanie książek i czasopism ludziom pozbawionym pracy. W 1934 r. działało w stolicy 5 takich specjalnych punktów bibliotecznych (4 na przedmieściach dla pracowników fizycznych i 1 w śródmieściu dla inteligencji) oraz Centrala. Czytelnie te były związane z kuchniami dla bezrobotnych i początkowo tylko otrzymujący w nich obiady mogli z nich korzystać².

Tak po kilkudziesięciu latach historia dopadła biblioteki i bibliotekarzy. Nie jest to tylko polska specyfika. W latach osiemdziesiątych biblioteki publiczne w Wielkiej Brytanii podpisały umowę z Ministerstwem Edukacji i otrzymawszy pewne środki finansowe organizowały u siebie kursy kwalifikacyjne dla bezrobotnych. Akcja ta stanowiła nawiązanie do tradycji robotniczych uniwersytetów wieczorowych popularnych w okresie międzywojennym.

Bezrobocie to nie tylko utrata zarobków i środków do życia, ale również wielorakie konsekwencje społeczne. Wyrażają się one w osłabieniu funkcji rodziny, upadku instytucji i organizacji społecznych, zamieraniu poczucia solidarności, rozpowszechniania się niewiary w zasady równych szans, szerzenia się alkoholizmu, narkomanii, chorób psychicznych i wielu innych bied.

„Specjalista, bezrobotny przez dłuższy czas, nie przeżywa swej sytuacji ze względu na spadek dochodów, lecz czuje się wykluczony ze swego środowiska, a nie potrafi wyobrazić sobie przynależności do innej grupy. Zakwestionowana zostaje tym samym również jego tożsamość”³.

Bezrobotnych określa się dziś mianem wykluczonych i jest to najtrafniejsze określenie. Są wykluczeni ze społeczności, tej lokalnej i tej uniwersalnej. Podobnie jak żyjący na granicy ubóstwa lub bezdomni. Według różnych szacunków łącznie stanowią oni w Polsce około jednej trzeciej populacji. Nie mają swoich organizacji i przedstawicieli ani rzeczników. Ich problemy pojawiają się przed kolejnymi wyborami. Wskrzyszona z okresu międzywojennego filantropia nie jest w stanie zastąpić państwa w zakresie opieki społecznej. Odżyły upamiętnione w literaturze i pamiętnikach upiory eksmisji na bruk.

² J. Kołodziejska: *Publiczne biblioteki samorządowe w okresie międzywojennym*. Warszawa 1967 s. 50.

³ J.-P. Fitoussi, P. Rosanvallon: *Czas nowych nierówności*. Kraków 2000 s. 54.

Są to niewątpliwie koszty transformacji gospodarczej, które mogą być złagodzone przez odpowiednią politykę społeczną. Bardziej brzemienne w skutki mogą się okazać zjawiska takie jak erozja więzi społecznej i rozpad wspólnoty obywatelskiej. Sprzyja mu widoczny gołym okiem wzrost nierówności społecznych, pogłębiające się różnicowanie dzielące poszczególne grupy zawodowe i to już w momencie startu poszczególnych jednostek.

W socjalizmie mieliśmy podział społeczny według trzech zasadniczych grup: robotnicy, chłopci, inteligencja pracująca. Bibliotekarze byli zaliczeni do tej trzeciej grupy. Pod względem materialnym była ona z nielicznymi wyjątkami dość jednorodnie usytuowana, według piosenki o okularnikach z pensją dwa tysiące. Dziś grupa ta zróżnicowała się tak pod względem zarobków, jak i pozycji zajmowanej w hierarchii społecznej. Obserwowane nierówności obejmują nie tylko różnice w kondycji materialnej, które dzielą pracowników sfery budżetowej, w tym również bibliotekarzy, ale również sytuacja wyjściowa, jak: mieszkanie, walory ekologiczne, możliwości kształcenia dzieci, dostęp do instytucji kultury, teatru, kina, filharmonii oraz bibliotek. Warunki wyjściowe licealisty warszawskiego, dysponującego własnym pokojem do pracy, komputerem z dostępem do Internetu są nieporównywalne z jego kolegą mieszkającym w Brzegach koło Bukowiny, który nie może skorzystać nawet z punktu bibliotecznego, bo go tam nie ma, a do Biblioteki Gminnej ma godzinę drogi.

Nierówności społeczne dotyczą dziś ochrony zdrowia, środowiska, opieki przedszkolnej, bezpieczeństwa osobistego na ulicy i klatce schodowej, dostępności transportu publicznego, wszelakich służb publicznych, w których mieszczą się biblioteki. Wszystkie te nierówności stanowią ponadto warunki wyjściowe wpływające na przyszłość jednostek i grup społecznych. Idei równych szans nie da się zrealizować ani zakłeciami, ani dostępem do Internetu w każdej szkole. Równości szans i możliwościom awansu zagrażają dziś nie tylko bieda materialna, ale dezorganizacja całego sektora publicznego, w którym mieszczą się biblioteki. Dostęp do książki, czasopisma, informacji, materiałów medialnych, regionalistów nie jest – jak się niektórym wydaje – spadkiem po socjalizmie ani fanaberią bibliotekarzy, ale integralną częścią całego zespołu warunków wyjściowych, istotnych dla jednostki i grup. Utrzymaniem bibliotek z budżetów samorządowych wspomaganych przez

budżet państwa jest równoznaczne z inwestowaniem pieniędzy w to, co się brzydko nazywa ludzkim kapitałem. „...dominuje przekonanie, pisze Jacek Żakowski – że lepiej wydać milion złotych na drogę niż na dom kultury. Jednak ten milion dobrze wydany na dom kultury może spowodować, że ludzie sami zbudują drogę”⁴.

Inwestowanie w biblioteki oraz całą infrastrukturę kulturową stanowi warunek budowania społeczeństwa otwartego, czyli obywatelskiego. Samorządy, państwo muszą tworzyć po temu warunki, ale państwo społeczne ludzie muszą budować sami. A historia poucza, że nigdzie nie dało się odwrócić tego porządku.

Dobrze się więc stało, że 21 września 2004 r. minister kultury wniósł na posiedzenie Rady Ministrów program pod nazwą: Narodowa Strategia Rozwoju Kultury. Dało to pozytywne skutki finansowe w budżecie państwa umożliwiające zwiększenie zakupów nowości wydawniczych dla bibliotek publicznych. W Programie Narodowej Strategii Rozwoju Kultury umieszczono podprogram: Promocja Czytelnictwa i Rozwój Sektora Książki na lata 2004-2013. Jako cel główny tego programu wymieniono: zmniejszenie różnic regionalnych w dostępie do usług bibliotecznych, w tym szczególnie na wsi, poprawę jakości zbiorów bibliotecznych i dostępu do nich, poprawę konkurencyjności sektora książki, w tym wsparcie wydawnictw i sieci dystrybucji książki. Przewiduje się również takie działania jak modernizacja wyposażenia bibliotek, w tym komputeryzacja, konserwacja zbiorów, wspieranie działalności kulturalnej bibliotek w małych miastach i na wsi itp. Wszystkie te postulaty są słuszne, ale jak to często bywa ustalanie priorytetów zależeć będzie od zmian w dziedzinie polityki a narzędzia umożliwiające ich realizację mogą się okazać niewystarczające.

Wcześniej rząd przyjął program: Kwaśny papier, który ma zapobiec degradacji materiałów bibliotecznych drukowanych na kwaśnym papierze, poczynawszy od połowy XIX w. Tak więc choć pierwsze jaskółki nie czynią wiosny, to jednak widać jakieś zaczątki polityki państwowej w odniesieniu do bibliotek publicznych.

W ciągu ostatniego półwiecza przywykliśmy do uporządkowanego klasowo społeczeństwa i tak je widzieliśmy, i tak je opisywaliśmy, rów-

⁴ *Narcziarz na łyżwach*. Rozmowa z Jackiem Żakowskim. „Rzeczpospolita. Plus-Minus” 2001 nr 89.

niez w badaniach Instytutu Książki i Czytelnictwa. Dziś w miejsce tego porządku mamy do czynienia z indywidualnymi biografiami, które należą do niewielkich grup zawodowych, jakie wyłoniły się z masy pracowników najemnych, a których tradycyjna statystyka nie jest w stanie opisać. Podobne obserwacje wskazują, że pracownicy najemni w firmach zagranicznych lub polsko-zagranicznych, w bankach i różnych mnożących się przedstawicielstwach zarabiają tyle, ile ich odpowiednicy w krajach Unii Europejskiej, natomiast płace nauczycieli akademickich, muzealników, archiwistów i bibliotekarzy są kilkakrotnie niższe niż w Belgii, Holandii, Francji czy Niemczech.

W socjalizmie inteligencja z dodatkowym określeniem pracująca stanowiła część pracowników najemnych służących czy wspomagających, klasę robotniczą i chłopską. Trudno się było bez niej obejść, ale powodów do obdarzenia jej jakimiś szczególnymi przywilejami też nie było. Wyjątek stanowiła grupa twórców (pisarzy, aktorów, reżyserów, muzyków), którą można się było pochwalić w świecie, oczywiście do momentu, gdy nie sprawiała rządzącym kłopotów manifestowaniem swojej niezgody na wszelkie nieprawości. Coś z tej tradycyjnej niechęci do inteligencji przechowało się do dziś. Uporczywe kwestionowanie jej roli społecznej, ochocze odsyłanie do lamusa, wygląkanie niczym kania deszczu nadejścia klasy średniej, która powinna ją zastąpić, dopuszczanie do pauperyzacji wielu zawodów nauczycieli (również akademickich), bibliotekarzy, lekarzy, pielęgniarek, wszystko to pozbawiło jednostkę i grupy oparcia, wyzwoliło postawy roszczeniowe oraz lęk wobec słabo rozpoznanej rzeczywistości i przyszłości.

„Tradycyjna inteligencja polska – pisze Piotr Bratkowski – będzie, tak jak w ostatnich latach, biednieć, marginalizować się, wreszcie – wymierać... Zastąpi ją klasa średnia i – w pewnym stopniu – alternatywne wobec tej klasy, kontestujące jej styl życia, środowiska wywodzące się z kontrkultury...”. Kształtująca się klasa średnia będzie wykazywać coraz większe znaczenie – większe niż dziś – aspiracje do uczestnictwa w kulturze wysokiej, przynależności do elity duchowej. Zarazem jednak, pochłonięta karierą zawodową i często niewystarczająco wykształcona nie będzie mieć czasu i możliwości, by uczestniczyć w kulturze na wzór dawnej inteligencji?⁵. Można by przejść do porządku nad tymi

⁵ P. Bratkowski: *Śmierć inteligenta*. „Gazeta Wyborcza” 2001 nr 8.

niekonsekwentnymi przepowiedniami gdyby nie fakt, że publikuje je gazeta o najwyższym nakładzie w kraju. Jak sobie autor wyobraża (po pochówku ostatniego inteligenta) funkcjonowanie instytucji oświatowych, szkół akademickich, bibliotek, wydawnictw, muzeów i wszelkich galerii – lepiej nie dochodzić.

Według Janusza Żarnowskiego „Wiele się pisze i rozprawia o klasie średniej, która wzorem społeczeństw zachodnich (nie tylko europejskich) ma być podstawą i demiurgiem nowej struktury gospodarczej, społecznej i kulturalnej w krajach Europy Środkowowschodniej, ale gospodarcza część ewentualnej przyszłej klasy średniej, zaangażowana w finansach, przemyśle itd., pozostaje społecznie oddzielona od części wykształconej, wyspecjalizowanej, akademickiej i intelektualnej”⁶. W krajach Europy Zachodniej lekarz, nauczyciel (również akademicki), bibliotekarz, muzealnik, pracownik socjalny, samorządowiec, określa swój status jako przynależny do klasy średniej, do grupy pracowników najemnych w sektorze publicznym. Bibliotekarze, podobnie jak przedstawiciele innych zawodów usługowych określani, są jako „public officer”. U nas dezawuuje się tę całą budżetówkę i na siłę, wbrew doświadczeniom innych krajów, tworzy mit jakiejś nowej, tyle że nie rodowej szlachty finansowej.

Przecież jeszcze pamiętamy, nie było to tak dawno: to w latach 1980/1981 inteligencja ruszyła ławą do zakładania (nie tylko związków zawodowych) najrozmaitszych organizacji i stowarzyszeń, zarówno lokalnych jak i o szerszym zasięgu. Po 1989 r. nie zabrakło jej wkładu w integrowanie społeczeństwa. Z dnia na dzień powstawały stowarzyszenia, kluby, instytucje samorządowe reprezentujące różne grupy twórcze i zawodowe. Również środowisko bibliotekarskie wyłoniło kilka nowych organizacji: Polskie Towarzystwo Bibliologiczne, Polskie Towarzystwo Czytelnicze, Związek Bibliotek Polskich, Związek Bibliotekarzy Biblioteki Narodowej. To była szansa przechodzenia od świeżo wywalczonej demokracji proceduralnej, egzemplikującej się w uczestnictwie w wolnych wyborach do demokracji uczestniczącej, w której jak pisze – Mirosława Marody – realizuje się współdziałanie polityków i obywateli, współodpowiedzialnych za podejmowane decyzje⁷. Ale już

⁶ J. Żarnowski: *Spółczesność XX w.* Wrocław 1999 s. 149.

⁷ M. Marody: *Kredytów nie udzielamy*. „Tygodnik Powszechny” 2001 nr 14.

w 1990 r. większość tych inicjatyw społecznych, obywatelskich politycy zepchnęli w cień i sami usadowili się w pierwszych rzędach. Za sobą mieli zetatyzowane państwo i rozrastającą się biurokrację. Jedną z jej cech jest niewiara w pracę wolontariuszy i mnożenie przepisów na nic nikomu niepotrzebnych. Biurokracja nie chce przyjąć do wiadomości, że Polskie Towarzystwo Czytelnicze nie ma oddzielnej siedziby, etatowego sekretarza, skarbnika itp.

Dziś politycy płacą wysoką cenę za swoją krótkowzroczność, a jest nią obojętność społeczeństwa wobec głoszonych przez poszczególne partie haseł i programów oraz malejące zainteresowanie wyborami. O niechęci do całej klasy politycznej nie ma nawet co wspominać. Ale politycy niezrażeni nastrojami dalej starają się pozyskać klasę średnią. To co dzieje się w środowisku bibliotekarskim świetnie ilustruje rozdział między politykami a reprezentantami różnych organizacji (również związków zawodowych) i stowarzyszeń bibliotekarskich. Bibliotekarze ślą supliki, na coś zwracają uwagę, opracowują raporty o stanie bibliotek, czytelnictwa itp., a politycy traktują to jako nieuzasadnione roszczenia, jako nawyki mentalne wyniesione z czasów socjalizmu. Nie istnieją mechanizmy umożliwiające spotkanie i wzajemne wyjaśnienie o co chodzi, co można zrobić, żeby było lepiej i skuteczniej. A jeżeli już dochodzi do takiego spotkania, to tylko jedna strona (bibliotekarze) jest merytorycznie przygotowana do rozmowy. Druga toczy nieobecny wzrokiem i reaguje na sygnał telefonu komórkowego. Po kilkunastu minutach opuszcza w pośpiechu zebranie.

A przecież w latach 1980/81 optowaliśmy za Polską samorządową. To było marzenie całej solidarnościowej generacji. To miały być prawdziwe szkoły demokracji. Na ich gruncie mieli się spotykać obywatele z wybranymi przez siebie przedstawicielami społeczności lokalnych. Miało być pospólnie, mądrze i dla dobra publicznego. No cóż, bibliotekarze jak rzadko kto wiedzą, co z tego wyszło. Wszystko to razem prowadzi do narastającego zniechęcenia i niewiary, że własną aktywnością można cokolwiek zmienić. Jesteśmy od dziesięciu lat szantażowani priorytetami gospodarczymi. Mało kto dziś pamięta hasło „Najpierw gospodarka” zdobiące ongiś plakat wyborczy. Tonął wśród innych propagandowych dokonań, ale jego myśl przewodnia zadecydowała o dzisiejszych problemach bibliotekarstwa. Nikt racjonalnie myślący nie mógł kwestionować ważności gospodarki i konieczności jej przebudowy, odejścia od

księżycowej ekonomii, centralnego planowania produkcji i dystrybucji, ale to „najpierw” znaczyło już wówczas, że wszelka oświata, nauka i kultura – mają siedzieć cicho i czekać aż wzrośnie produkt krajowy brutto liczony na głowę, spadnie inflacja, zwiększy się konkurencyjność rodzimej produkcji na rynkach światowych, umocni się złotówka itp.

Wśród liberalnych hasel gospodarczych zagubił się pomysł (lansowany przez Tadeusza Mazowieckiego, pierwszego premiera III Rzeczypospolitej) budowania społecznej gospodarki rynkowej, realizowany zresztą skutecznie przez architektów cudu gospodarczego w powojennych Niemczech. Zgodnie z tym hasłem rynek był traktowany nie jako cel sam w sobie, ale narzędzie umożliwiające rozwój i budowę dobrobytu społecznego. Nasi liberalnie nastawieni ekonomiści zachwycają się wzrostem gospodarczym, dowodząc, że wypadamy lepiej niż Czesi i Węgrzy, ale ludzie, również bibliotekarze nie odczuwają tego wzrostu. Przeciwnie, nie mogą pojąć, jak pogodzić z tym wzrostem poszerzające się ubóstwo i bezrobocie. Osiągnięcia makroekonomiczne są niepojęte w sytuacji młodej pomocnicy bibliotekarki w Bibliotece Gminnej w Bukowinie, która ukończyła Liceum Ekonomiczne w Zakopanem i nie mogąc znaleźć pracy została skierowana przez Urząd Pracy do Biblioteki z 400-złotowym zasiłkiem dla bezrobotnych.

„Rynek jest instytucją ludzką – pisze o. Maciej Ziemia – to ludzie nadają rynkowi oblicze niehumanitarne, bezlitosne, degradujące człowieka. A bieda jest zawsze patogenna”⁸.

Jak się mają do tych doświadczeń (obserwowanych również na naszym gruncie), propozycje reprezentantów świata biznesu. Powtarza się postulat deregulacji rynku pracy, za którym kryje się ograniczanie praw pracowniczych, a głównie łatwiejsze zwalnianie ludzi, stosowania bez ograniczeń krótkoterminowych umów o pracę, zmniejszanie płacy minimalnej itp. Kto ma wątpliwości, niech sobie poczyta serię reportaży o sytuacji pracowników, zwłaszcza kobiet w supermarketach, oraz ich wyzysku, na przykładzie Biedronki.

Wśród bibliotekarzy dominują postawy typu: róbmy swoje albo czyń każdy w swoim kółku co każe duch Boży, a całość sama się złoży. W tym pierwszym kryje się ukryta nadzieja, że jakoś się to wszystko uładzi,

⁸ *Historia nie musi być balastem*. Rozmowa z ojcem Maciejem Ziembą prowincjonatem oo. dominikanów. „Przegląd” 2001 nr 15.

trudności przemina i wszystko zostanie po staremu. Byłe przetrwać rok, może następny. Ten drugi zakłada postawy bierno, rezygnację ze świadomego kształtowania bibliotekarstwa, a zwłaszcza jego struktur organizacyjnych. Obie postawy są nie do przyjęcia, zwłaszcza dla młodych wstępujących do zawodu. Widzą oni bibliotekarstwo już w innej perspektywie, są, jak twierdzi Ryszard Turkiewicz, lepiej wykształceni, znają języki obce, nastawieni są bardziej pragmatycznie, mocno tkwią w zagranicznej literaturze fachowej, organizację biblioteki widzą w perspektywie zarządzania a nowe technologie informacyjne jako naturalne otoczenie. To jest pokolenie, które będzie zmieniało i modernizowało biblioteki⁹.

Biblioteki publiczne i nie tylko one były przez niemal półwiecze zarządzane według ekstensywnej gospodarki planowej. W praktyce oznaczało to, że im więcej nowych nabytków w zbiorach, więcej czynności związanych z ich opracowywaniem, więcej udzielonych informacji i więcej czytelników, tym więcej wkładu finansowego w postaci etatów, nowych placówek, większej powierzchni lokalowej itp. Statystyka biblioteczna miała ilustrować wzrost ilościowy na podobnej zasadzie, jak urobek węgla czy produkcja pralek. Nikt nie zastanawiał się nad jakością świadczonych usług, kosztami, rzeczywistymi potrzebami czytelnickimi czy informacyjnymi. Wyniki prowadzonych przez Instytut Książki i Czytelnictwa badań nad zasięgiem książki i funkcjonowaniem organizacyjnym sieci bibliotek publicznych były tolerowane, ale traktowano je dość sceptycznie. W ostatniej dekadzie XX w., przynajmniej z dwudziestoltnim opóźnieniem w stosunku do bibliotekarstwa krajów zachodnich, pojawiają się prace, które torują drogę intensywnemu lub inaczej jakościowemu traktowaniu funkcji bibliotek. Praca Ewy Głowackiej na temat kompleksowego zarządzania w bibliotekarstwie i informacji naukowej wpisuje się w ten nurt i miejmy nadzieję, że będzie inspirowała podejmowanie badań zarówno w bibliotekach, jak i akademickich ośrodkach kształcenia bibliotekarzy¹⁰. Równolegle pojawiają się artykuły przybliżające bibliotekarzom te problemy w czasopismach fachowych¹¹.

⁹ R. Turkiewicz: *Stowarzyszenie Martwiejących Bibliotekarzy czy Bibliotekarzy Martwiejące Stowarzyszenie*. „Bibliotekarz” 2005 nr 5.

¹⁰ E. Głowacka: *Studium zastosowania kompleksowego zarządzania (TQM) w bibliotekarstwie i informacji naukowej*. Toruń 2000.

¹¹ A. Machalska-Garbacz: *Problem jakości usług bibliotecznych i informacyjnych w światowym piśmiennictwie bibliotekoznawczym*. „Przegląd Biblioteczny” 2000 z. 4.

Widać wyraźnie, że myślenie w kategoriach ekonomicznych toruje sobie drogę w środowisku bibliotecarskim. Dzieje się tak w samą porę, bowiem środki na utrzymanie bibliotek są systematycznie ograniczane, również w krajach znacznie od nas bogatszych.

Biblioteka jest coraz częściej ważnym ośrodkiem lokalnym, współtworzącym opinię publiczną. Dotyczy to między innymi wiedzy o świecie, o innych cywilizacjach, krajach, religiach, kulturach. To nasze biblioteczne Discovery może być świetnie wykorzystane (przy niewielkim wsparciu z zewnątrz) w popularyzowaniu wiedzy o Unii Europejskiej. Propozycja Bożeny Bednarek-Michalskiej, by wykorzystać biblioteki jako ważne ośrodki informacyjne, skierowana do ówczesnego premiera Buzka wydać się może oczywista, ale nie zawsze to co wydaje się najprostsze przemawia do wyobraźni polityków¹². Oczywiście, biblioteki nie mogą konkurować z komercyjnymi ośrodkami informacyjnymi, takimi jak: Reuters, Reed-Elsevier, Agence France Press oraz setkami innych działających w świecie. Usługi biblioteczne w zakresie informacji są i prawdopodobnie pozostaną bezpłatne. Głównie dlatego, że w świetle ustawodawstwa unijnego podjęcie działalności gospodarczej nie dozwala finansowania danej instytucji z budżetu państwa. Praktyka taka naruszałaby zasady konkurencji. Ale czy ktoś policzył czy lokowanie w bibliotekach ośrodków informacji o Unii Europejskiej nie byłoby tańsze niż powoływanie kilkunastu wojewódzkich Regionalnych Centrów Informacji Europejskiej i czy ich praca nie byłaby skuteczniejsza.

W latach 1992-1994 w krajach Unii Europejskiej podwoiło się zatrudnienie w sektorze usług informacyjnych. W 1994 r. największy dochód przyniosły usługi informacji biznesowej (66,5% w stosunku do całości). Inne przedsiębiorstwa przyniosły 38,7% całości dochodu, zaś udział bibliotek stanowił tylko 3%¹³.

Repertuar informacji, której mogą udzielać biblioteki jest bogaty: książki, czasopisma, normy, patenty, bazy danych, oprogramowania, multimedia, wideoteksty, informacje elektroniczne itp. Książka czy czasopismo stojące na bibliotecznej półce nie jest informacją, ale pytanie o źródło ich wydania lub o zawartość tekstu już jest. Z drugiej jednak

¹² B. Bednarek-Michalska: *Budować społeczeństwo informacyjne bez bibliotekarzy*. EBIB 2/2001/20/.

¹³ A. Ogonowska: *Świadczenie usług informacyjnych w Unii Europejskiej*. Warszawa 2001. Masz. powiel.

strony jest rzeczą oczywistą, że biblioteki nie mogą sprostać informacjom specjalistycznym: bankowym, handlowym, technologicznym w zakresie produkcji, nie mówiąc o wyspecjalizowanych gałęziach nauki.

Dominująca rola na europejskim rynku informacyjnym przypada Wielkiej Brytanii, Niemcom i Francji. Jest to oczywiste, bowiem są to najważniejsze trzy potęgi ekonomiczne reprezentujące największy potencjał naukowy wśród krajów unijnych, a język angielski, niemiecki i francuski należy do najpopularniejszych. Jest oczywiste, że Polska nie ma szans na konkurowanie z nimi. Ale w porównaniu z Węgrami, Czechami, Słowacją i Słowenią wszystkie wskaźniki opisujące infrastrukturę informacyjną sytuują nas na ostatnim miejscu. Tak więc dystans między Polską a krajami rozwiniętymi oraz sąsiadami za miedzą powiększa się. Brak narodowej strategii w budowie społeczeństwa informacyjnego, w której mieściłyby się również biblioteki może stać się już w niedalekiej przyszłości barierą w kontaktach z Unią Europejską. Między innymi dlatego, że wspieranie rozwoju społeczeństwa informacyjnego jest traktowane przez nią jako jeden z ważniejszych priorytetów gospodarczych.

Rozdział X

PRZEKLEŃSTWO CENZURY

Odkąd człowiek nauczył się werbalizować swoje myśli, głośno wypowiadać swoje opinie, a potem ujmować je w postaci graficznej, tworzyć zapisy na kamieniu, glinianych tabliczkach, papirusie, pergaminie, korze drzewnej i papierze, pojawili się wokół niego cenzorzy. Ludzie ci z tych czy innych względów uzurpowali sobie prawo do kontrolowania tego, co jednostka głosiła albo co napisała, w tej lub innej postaci. Cenzor działał głównie z nadania władcy, tak więc za nieprawomyślne wypowiedzi można było stracić głowę, a to co napisane można było spalić. Nawet w piramidach egipskich wydrapywano informacje o faraonach, którzy narazili się kapłanom.

W czasach nam współczesnych praktyki te były kontynuowane, choć zmieniły się formy i udoskonalono narzędzia. W okresie stalinowskim za opowiedziany głośno dowcip można było trafić do łagru, autorów nieprawomyślnych tekstów wymazywano z fachowych bibliografii, a zakaz publikowania nawet w specjalistycznych czasopismach był powszechny. W Czechosłowacji po 1968 r. profesor Jiří Cejpek nie mógł publikować w Pradze, ale w Bratysławie było to możliwe. Dozowanie i różnicowanie zabiegów cenzorskich miało nie tylko utrudnić pracę, ale również upokorzyć tego, który się władzy naraził lub nie był dostatecznie wobec niej pokorny. Historia cenzury dowodzi, że od czasów starożytnych była ona szczególnie zjadła na książki, choć obejmowała również inne wytwory sztuki. „Książki – pisze Elżbieta Sawicka – hitlerowcy zaczęli palić w 1933 r., w 1937 fala represji objęła zbiory muzealne, skonfiskowali wówczas ponad 17 tys. dzieł. Wielu artystom zabroniono wystawiania prac w galeriach, zakazano także uprawianie twórczości. Dla totalitar-

nego systemu twórczość artystyczna dzieliła się na wspierającą ideologię faszystowską, a więc przydatną, oraz sztukę zdegenerowaną, do której zaliczano przede wszystkim ekspresjonizm oraz takich twórców jak: Marc Chagall, Picasso, Kokoschka. Podobne podziały odnosiły się również do muzyki. Słuchano Beethovena i Wagnera, ale Chopin, Mahler i Gershwin byli zakazani”¹.

W porównaniu z obrazem, rzeźbą czy partyturą muzyczną największy zasięg miało jednak słowo pisane i drukowane. Wobec nich cenzura działała na dwa sposoby. Po pierwsze kontrolując teksty przed ich ukazaniem się (cenzura prewencyjna), po drugie nie dopuszczając ich do obiegu czytelniczego (cenzura postpublikacyjna) i po trzecie niszcząc zasoby, głównie biblioteczne.

Z grubsza rzecz ujmując cenzurę można podzielić na dwa rodzaje: 1. instytucjonalną – świecką lub kościelną – albo też działające wspólnie; 2. społeczną. Pierwsza reprezentuje aktualną władzę, stanowi integralną część struktur państwowych i ma moc egzekucyjną w stosunku do wszystkich obywateli. Druga nie ma umocowań prawnych, reprezentuje określone grupy społeczne, które z różnych względów (religijnych, patriotycznych, moralnych, politycznych) usiłują przeszkodzić rozprzestrzenianiu książek, czasopism, wszelkich druków określając je jako szkodliwe, oczywiście z ich punktu widzenia. Słowo drukowane dokumentuje poziom kultury na danym etapie historycznym i współtworzy jej rozwój. Pod jednym wszakże warunkiem, o którym zdają się zapominać ci, którzy radziby wydzielić książkę z całego kontekstu społecznego, zarówno historycznego jak i współczesnego i rozpatrywać ją jako osobny przedmiot dociekań naukowych. To zupełnie tak jakby dyrygent czytał partyturę koncertu Chopinowskiego i nigdy nie usłyszał go w wykonaniu orkiestry. Jaką wartość (oprócz estetycznej) może mieć książka w języku arabskim dla kogoś nieznającego ani jednej arabskiej litery? Bez tłumaczenia możemy trzymać ją w rękę jak nic nie mówiący nam przedmiot. Toteż wypada zgodzić się z Philipem Bagby, który pisze, że „Książki nie są kulturą: są przedmiotami fizycznymi. Żeby stać się faktami kulturowymi muszą być czytane, a treści w nich zawarte podziwiane lub odrzucane”². Tak więc nie istnieje „Książka

¹ E. Sawicka: *Po drugiej stronie mostu*. „Rzeczpospolita” 2005 nr 135.

² P. Bagby: *Kultura i historia. Prolegomena do porównawczego badania cywilizacji*. Warszawa 1975 s. 136.

jako taka” albo „sama w sobie”, ale zawsze w ścisłym związku z tekstem i jego przesłaniem.

Bibliotekarze, i nie tylko oni, zwykli traktować książkę jako przedmiot, który stanowi wartość i jako taki wymaga troski, ochrony, wręcz wyjątkowego traktowania. Jest to zrozumiałe, gdy odnosi się do książki starej, zabytkowej, pięknie zdobionej, która może, choć nie musi, być czytana przez specjalistów: historyków, filologów, bibliologów. Dotyczy to również książek dokumentujących czas historyczny, w którym powstały. Dla politologa czy historyka idei takie książki jak *Mein Kampf*, *Historia WKBP*, czy czerwona książeczka Mao mogą stanowić istotne źródło dociekań naukowych. To one uzasadniają ich obecność w bibliotece i starania o zachowanie ich dla przyszłych użytkowników. Podobnie dzieje się współcześnie z książkami o treściach antysemickich, przeczących prawdzie oświęcimskiej, rasistowskich a nawet faszystowskich, nawołujących do nienawiści rasowych, klasowych, etnicznych, narodowych. Największe biblioteki krajowe z Biblioteką Narodową na czele gromadzą je, ponieważ dokumentują one czasy, w których żyjemy. Otwartą sprawą jest kupowanie tego typu książek i upowszechnianie ich w bibliotekach publicznych.

Według Zbigniewa Żmigrodzkiego kierowanie się zasadami politycznej poprawności i ocenianie poszczególnych tytułów jako skrajnie prawicowe, faszyzujące, antysemickie itp. jest niedopuszczalne. Zwłaszcza w świetle zaleceń UNESCO i IFLA, które zobowiązują biblioteki do zapewnienia swobodnego przepływu informacji oraz dostępu do wszystkich materiałów bez względu na ich ideologiczną i polityczną treść³. Autor tego skrajnie liberalnego poglądu na temat udostępniania wszelkich treści pominął jednak wydawnictwa antyklerykalne, ateistyczne, pornograficzne a nawet tak niewinne w porównaniu z nimi informacje na temat antykoncepcji.

Bibliotekarze amerykańscy nie dopuszczają małoletnich do oglądania internetowych stron związanych z seksem czy pedofilią w swoich bibliotekach. Tych ograniczeń domagają się od nich rodzice i opiekunowie oraz nauczyciele. Ale już bibliotekarze duńscy nie mają żadnych oporów udostępniając nastolatkom broszury o życiu seksualnym człowieka i antykoncepcji. Nie wydaje się, by można było tworzyć jakieś ogólne

³ Z. Żmigrodzki: *Wirus biblioteczny bias*. „Bibliotekarz” 2001 nr 10.

czy odgórne zalecenia czy zakazy. Za gromadzenie zbiorów i ich udostępnianie odpowiedzialny jest bibliotekarz i nikt go od tej odpowiedzialności nie może zwolnić. Oczywiście, musi on brać pod uwagę rozmaite uwarunkowania kulturowe i obyczajowe, specyficzne dla poszczególnych krajów. Nie znaczy to jednak, że musi się im całkowicie podporządkować. W dążeniu do zachowania autonomii biblioteki i własnej musi też liczyć się z poglądami, zainteresowaniami i aspiracjami czytelników.

Dzieje czytelnictwa dostarczają aż nadto dowodów, że czytanie ma bardzo rozmaite uzasadnienia. Bywa, że czytamy przeciwko komuś albo przeciwko czemuś. Sięganie po książkę było niejednokrotnie wyrazem buntu i niezgody na zastaną rzeczywistość. Czytelnicy *Manifestu Komunistycznego* szukali w nim potwierdzenia swojej niezgody na niesprawiedliwości tego świata, czytali wbrew poglądom rodziców oraz bliskiego im środowiska i co oczywiste wobec establishmentu władzy. Amerykanie z Południa odrzucali treści zawarte w powieści *Chata Wujka Toma*, jako niezgodne z ich wyobrażeniami o rzeczywistym życiu czarnych niewolników na plantacjach bawełny, traktując tę książkę jako naruszającą porządek społeczny, do którego przywykli i traktowali jako niezmienny. Paradoksem jest, że współcześnie to afroamerykanie kwestionują treści *Chaty Wujka Toma* dowodząc, że autorka przedstawiła ich życie i obyczaje w niekorzystnym świetle. W efekcie ponownego odczytania tej ciągle popularnej powieści różne komitety szkolne i biblioteczne domagają się usunięcia jej z listy lektur⁴.

Gorączkę latynoamerykańską Artura Domosławskiego można odczytać jako koronny dowód na to, że procesy globalizacyjne nie służą gospodarkom krajów Trzeciego Świata, albo też jako dowód, że społeczeństwa Argentyny, Wenezueli, Boliwii i Kolumbii są szczególnie nieudolne organizacyjnie, skorumpowane, a ich rządy opresyjne, wręcz okrutne.

Z dwu wymienionych cenzur: instytucjonalnej i społecznej, groźna jest ta pierwsza, bowiem mieści się w strukturach państwowych, a te mają to do siebie, że wszelkie zakazy mogą egzekwować nawet siłą. Przez wiele lat kontrola graniczna w Argentynie nie przepuszczała książek, które wysyłano prywatnie z Polski. Nie inaczej działa się na pol-

⁴ *100 zakazanych książek*. Warszawa 2004.

skich granicach wobec prób przemycania wydawnictw paryskiej „Kultury” albo innych wydawnictw. Celnik na lotnisku Okęcie nie zareagował na widok *Folwarku zwierzęcego* po angielsku. Ale już na granicy polsko-radzieckiej służby celne przetrząsając bagaże Prebena Kirkegaarda – prezydenta IFLA użyły do tego tłumacza. Siedział ten smutny nieszczęśnik na korytarzu i przeglądał nie tylko książki, ale każdy świstek papieru. Pan Kirkegaard – były członek Duńskiej Partii Komunistycznej nie mógł zrozumieć, czego ten człowiek szuka wśród angielskojęzycznych książek bibliotekarskich.

Bywało jednak jeszcze gorzej. W 1945 r. władze radzieckie unicestwiły fizycznie zasoby estońskiej Biblioteki Narodowej. Wszystkie książki wydane przed 1939 r. porąbano siekierami przed gmachem Biblioteki. Uchowały się nieliczne egzemplarze, które ludzie narażając się na szkodę przechowali w domach. W 1990 r. estońskie środki masowego przekazu zaapelowały do mieszkańców by zechcieli je zwrócić do organizującej się Biblioteki Narodowej. I Estończycy nieśli te egzemplarze niczym największe skarby. W krajach bałtyckich polowanie na teksty w językach narodowych było szczególnie zjadłe. Rodzina litewska za przechowanie rękopisu wiersza partyzanckiego została zesłana do łagru.

Niewyobrażalnym dla cywilizowanego świata aktem było zbombardowanie przez Serbów Biblioteki Narodowej w Sarajewie. Ogień zniszczył najcenniejsze zabytki piśmiennictwa muzułmańskiego, ale też serbskiego i chorwackiego. Wiatr rozwiął popioły tego, co stanowiło dowód istnienia i przenikania się różnych kultur na terenie Bośni. I o to chodziło. W tym szaleństwie, które daje o sobie znać na przestrzeni dziejów, kryje się konsekwentny cel. Chodzi o odcięcie narodu od jego przeszłości, pozbawienie go pamięci, a tym samym współczesnej samoświadomości. Nie ma książek muzułmańskich, nie było więc Muzułmanów w Bośni. Stwierdzenie, że było to coś niewyobrażalnego jest przesadne. W *Kronikach marsjańskich* wydanych w 1950 r. jest przepowiednia tego, co się może stać. Pan William Stendhal wspomina swoją spaloną, liczącą 50 tys. tomów bibliotekę, która spłonęła w Wielkim Ogniu. „Na początku kontroli poddano komiksy, potem powieści detektywistyczne i oczywiście filmy, pod takim czy innym kątem, do akcji włączały się kolejne grupki, kierujące się względami patriotycznymi, uprzedzeniami religijnymi, naciskiem związków... Zawsze znalazła się mniejszość, która bała się tego i owego, i ogromna większość czująca strach przed ciemnością,

przyszłością, własną historią, dniem dzisiejszym, ludzie bali się samych siebie i swoich własnych cieni... Piękne literackie kłamstwa i wybryki fantazji straciły rację bytu, toteż pewnego sobotniego ranka trzydzieści lat temu, w 1975 r. ustawiono ich wszystkich pod ścianą biblioteki – świętego Mikołaja i jeźdźca bez głowy, Królową śnieżkę, Rumpelstilstikina i Matkę Gąskę – och jaki podniósł się płacz! – i rozstrzelali ich, spalili zamki z papieru, księżniczki zaklęte w żaby i starych władców, oraz ludzi, którzy żyli długo i szczęśliwie”⁵.

Główną cechą państwa totalitarnego jest zawłaszczanie historii, podporządkowywanie jej celom ideologicznym i politycznym. Klasycznym tego przykładem jest Rosja bolszewicka. „W 1920 r. – pisze Richard Pipes – bolszewicy próbowali wprowadzić cenzurę wsteczną. Krupska, którą Lenin mianował szefem nowego biura propagandy o nazwie Główny Komitet Oświecenia Politycznego (Gławpolitproswiet), postanowiła, że biblioteki sowieckie należy oczyścić z przestarzałej literatury. Na jej polecenie Ludowy Komisariat Oświaty nakazał bibliotekom sowieckim usunąć ze swoich zbiorów wszystkie egzemplarze z wyjątkiem dwóch, które miały znaleźć się w „zbiorach specjalnych” (Specchran) – dzieł 94 pisarzy i filozofów, między innymi Platona, Kartezjusza, Kanta, Schopenhauera, Spencera, Macha, Sołowiowa, Nietzschego, Jamesa, Lwa Tołstoja, Piotra Kropotkina. Dotychczasowy nieskoordynowany system kontroli nad informacją i obrazem ujednolicono 6 czerwca 1922 r., tworząc w ramach Ludowego Komisariatu Oświaty centralne biuro cenzury pod nazwą Główny Zarząd do spraw Literatury i Wydawnictw (Gławnoje Uprawlenie po diełam Literatury i Izdatielstw, w skrócie Gławlit). Do jego zadań należała wstępna cenzura wszystkich publikacji i dzieł plastycznych oraz publikowanie list zakazanej literatury w celu uniemożliwienia druku i kolportażu utworów agitujących przeciwko władzy radzieckiej. Gławlit miał też obowiązek zwalczać podziemne publikacje”⁶.

Biblioteki publiczne oraz naukowe ograniczały udostępnianie utworów znajdujących się w Specchranach. Mój znajomy socjolog pracujący w Bibliotece Lenina złożywszy rewers na Biblię otrzymał go z powrotem z adnotacją „nie pa waszemu profiłu”. A działo się to już w czasach gorbaczowowskiej pierestrojki. Raz nastawiona maszyna cenzorska działała konsekwentnie aż do 1990 r.

⁵ R. Bradbury: *Kroniki marsjańskie*. Warszawa 2004 s. 129.

⁶ R. Pipes: *Rosja bolszewików*. Warszawa 2005 s. 316-317.

Począwszy od 1939 r. Polska doświadczyła działań cenzorskich na niespotykaną skalę. Na terenach wschodnich zajętych przez Związek Radziecki oraz zachodnich i centralnych okupowanych przez Niemców działania cenzury były podobne. Obu okupantom chodziło głównie o przecięcie ciągłości historycznej zajętego kraju, pozbawienie Polaków świadomości narodowej, wiedzy o przeszłości, a co za tym idzie przygotowanie gruntu dla indoktrynacji i duchowej zagłady. Działaniami cenzorskimi objęto w pierwszym rządzie instytucje kształcące. Po wznowieniu lekcji w mojej święciańskiej szkole, w październiku 1939 r. jakiś nieznany typ świecący garniturem złotych zębów oświadczył nam, że od dziś nie musimy już zaczynać lekcji od modlitwy. Zrobiła się cisza i wtedy wstała Kławdia Dzienisowna – prawosławna i powiedziała, że jesteśmy przyzwyczajeni do tej modlitwy, w której uczestniczyli wszyscy: katolicy, mozaści, starowiercy i nasz jedyny muzułmanin Olutek, i niech tak zostanie. Złotozęby coś tam mówił o wspaniałościach Związku Radzieckiego, czerwonej armii, która nas wyzwoliła od ucisku polskich panów, o wielkim Stalinie i walce klas, a może też i o innych sprawach obcych i niezrozumiałych, które zapadły się w niepamięć.

„W Generalnym Gubernatorstwie – pisze Andrzej Urbański – zlikwidowano wszelkie oznaki polskości szkoły. Zakazano noszenia mundurków, wywieszania godła i portretów bohaterów narodowych oraz dostojników państwowych II Rzeczypospolitej, obchodzenia świąt narodowych. Zakazano również nauki historii, literatury, geografii Polski oraz stosowania przedwojennych podręczników. Do bibliotek szkolnych skierowano szczegółowe listy książek, które należało wycofać z czytelniczego obiegu. Nakazano używanie niemieckich nazw miast, ulic i urzędów, korzystania w nauczaniu z tygodników „Ster” i „Mały Ster”⁷. W szkole podstawowej na Podlasiu w Mokobodach podczas czytania przewidzianych przedwojennym programem ten „Ster” leżał ostentacyjnie na ławkach. Nikt do niego nie zaglądał.

W planach niemieckiego okupanta polska książka i biblioteka zostały skazane na zagładę. Do tego celu zmierzano konsekwentnie, po prostu paląc zbiory, zwłaszcza na terenach przyłączonych do Rzeszy. W tzw. Generalnym Gubernatorstwie okupant pozamykał i polikwido-

⁷ A. Urbański: *Totalitaryzm bez współdziałania. Warszawa 1939-1944*. W: *Piśmiennictwo – systemy kontroli – obiegi alternatywne*. Warszawa 1992 s. 195.

wał publiczne biblioteki samorządowe w miastach i gminach wiejskich. Książki wywożono do fabryk papieru na przemiał, bądź magazynowano w beładnych stosach. W Poznańskim takimi zbiornicami stały się kościoły. To co nazajutrz po wojnie zebrano i zabezpieczono z zasobów bibliotecznych wyrażało się dobitnie wskaźnikiem około 5 książek na 100 mieszkańców, czterokrotnie mniejszym niż przed wojną. Straty księgozbiorów bibliotek publicznych szacowano rozmaicie, od 70 do 90% stanu przedwojennego. Największe straty poniosły księgozbiory bibliotek organizacji społecznych.

Niszczenie książek jest typowe dla systemów totalitarnych i ma rację Andrzej Paczkowski, że to one są najszkodliwsze⁸. Myli się jednak lekceważąc skutki prywatnych inicjatyw w tym zakresie. Jako przykład wypadu przywołać działalność Anthony'ego Comstocka, który w 1872 r. założył w Nowym Jorku Stowarzyszenie do walki z Występkim. Nie dość, że uzurpował sobie funkcję głównego cenzora, to jeszcze chwalił się, że przez 41 lat zniszczył 160 ton nieprzyzwoitej literatury. Tępił ją w wydawnictwach, księgarniach, na ulicy, wszędzie. Spowodował wiele aresztowań, a kilkanaście osób doprowadził do samobójstwa. W sprzyjających okolicznościach zawsze znajdą się samozwańczy zakazywacze i oczywiście mogą nas śmieszyć swoją parafiańszczyzną do momentu, kiedy uda im się dojść do władzy i niszczyć wszystko, co napotkają na swojej drodze.

Nie mów brzydkich wyrazów, zwłaszcza publicznie, nie mów, że ciocia Zosia jest głupia – choć słyszałeś, że tak mówili między sobą rodzice, nie powtarzaj w szkole tego, o czym mówi się w domu, zwłaszcza, gdy dotyczy to niepochlebnych uwag o nauczycielach. I tak dalej, i temu podobne. Lista jest długa. Są to pierwsze działania stanowiące wstęp do samokontroli i autocenzury słownej. Te pouczenia kierowane przez dorosłych do dzieci mieszczą się w całościowym procesie socjalizacyjnym. Mają je uchronić przed konsekwencjami mówienia tego, co się myśli. Podwójność myślenia i mówienia płynie wyłącznie z przyjętych w danym środowisku konwenansów, czy też czystego oportunistu, ale jest też wynikiem doświadczeń, które pouczają, że tak zwane mówienie prawdy bez najmniejszych zahamowań wcale nie czyni życia łatwiejszym.

⁸ A. Paczkowski: *Postowie, a właściwie nieco uwag o cenzurze w ogóle. W: 100 zakazanych książek*. Warszawa 2004.

W życiu ludzi dorosłych kontrolowanie tego, co się mówi ma rozmaite powody. Dotyczy to stosunków w pracy, a zwłaszcza w relacjach pracownik i przełożony, w działalności publicznej, głównie w formułowanych poglądach politycznych, wszelkich dyskusjach toczonych na żywo, również w relacjach między studentem a wykładowcą. Bardzo trudno przełamać obyczaj, według którego ten drugi ma zawsze rację a pierwszy nie ma prawa jej się przeciwstawić. Wymiana myśli może przebiegać przy obopólnym poszanowaniu poglądów stron. Tego typu relacje sprzyjają powstawaniu wspólnoty akademickiej warunkującej rozwój każdej dziedziny nauki, w tym również bibliotekoznawstwa.

Wymowę tego co mówimy wzmacnia gestykulacja, mimika, wszystko to, co Ryszard Kapuściński określa jako różnorodny pozasłowny język, jakim będąc w bezpośredniej bliskości obok siebie, razem, komunikujemy się bezustannie, nawet nie mając tego świadomości. W dodatku ten język bezsłowny, język wyrazu twarzy i najdrobniejszych gestów, jest dużo bardziej szczerzy i prawdziwy niż ten mówiony i pisany, bo trudniej w nim nałgać, ukryć fałsz i zakłamanie⁹.

Do historii przeszedł uważany przez wielu za nieprzyzwoity gest naszego sportowca Kozakiewicza na Olimpiadzie w Moskwie, który w ten sposób dał wyraz triumfu nad sędziowskimi matactwami.

Nawet w najbardziej demokratycznym społeczeństwie są słowa i określenia, których się unika, a co dopiero w państwie autorytarnym czy wręcz totalitarnym. „Lęk przed mocą słowa – pisze Antonina Kłoskowska – mobilizujący cenzurę w państwach socjalistycznych zasługuje na szczególną analizę, sięgającą do filozoficznych i światopoglądowych podstaw ich polityki. Teoretycznie światopogląd materialistyczny, do którego przyznawały się te kraje, powinien czynić ich ideologów mniej wrażliwymi na akty działania polegającego tylko na słowach. Prymat bytu nad świadomością miał przecież w ich przekonaniu zapewnić co najmniej ostateczny (w ostatniej instancji) triumf tego pierwszego nad drugą. Stąd powinna wynikać pewna obojętność, jeżeli nie tolerancja dla słów”¹⁰.

Działo się zupełnie inaczej. Władza reagowała wręcz histerycznie na słowo Katyń, nawet jeżeli było ono wypowiedzane na cmentarzu; Stefa-

⁹ R. Kapuściński: *Podróże z Herodotem*. Kraków 2004 s.176.

¹⁰ A. Kłoskowska: *Kontrola myśli i wolność symboliczna*. W: *Piśmiennictwo – systemy kontroli – obiegi alternatywne*. Warszawa 1992 s.13.

na Kisielewskiego pobili nieznani sprawcy za to, że publicznie określił władzę, jako dyktaturę ciemniaków; Stalina wielbiono też publicznie określeniami pasującymi do świętego a nie człowieka z krwi i kości. Podobne nabożeństwa słowne odprawiano na licznych akademiach, zwłaszcza gdy była mowa o Związku Radzieckim. A wszystko według zasady, że to co nienazwane nie istnieje w rzeczywistości i odwrotnie – słowa niczym zaklęcia kreują fakty, choćby nikt w nie nie wierzył.

W ostatnim półwieczu samokontrola w zakresie słowa obejmowała bez mała wszystkich obywateli. Konsekwencje, jakie ponosiły osoby lekceważące tę zasadę były znane i oczywiste. Lęk przed powiedzeniem czegoś, co mogło wydać się władzy podejrzane był powszechny. Dotyczyło to nie tylko wypowiedzi pod adresem wysokich funkcjonariuszy państwowych czy partyjnych, ale również uwag krytycznych w odniesieniu do bezpośredniego przełożonego, kierownika czy dyrektora instytucji, w której się pracowało. Bibliotekarze nie stanowili tu żadnego wyjątku. Można było mówić na seminariach i konferencjach o sprawach warsztatowych, bo na tych się władza nie znała, ale już cytowanie wyników badań czytelnictwa, czy oceny funkcjonowania bibliotek w szerszym kontekście społecznym były przyjmowane nieufnie, jako podważające oficjalnie głoszone osiągnięcia.

Ten cenzorski trening, w którym uczestniczyło kilka pokoleń bibliotekarzy pozostawił wyraźne ślady mentalnościowe i obyczajowe. Polegają one na kamuflowaniu własnych poglądów, lęku przed zadawaniem pytań, a co za tym idzie wyciągania prawidłowych wniosków zarówno pozytywnych jak i negatywnych.

Biblioteki jako instytucje publiczne były i są w polu zainteresowań cenzorskich. Toteż broniąc swojej autonomii w zakresie gromadzenia i udostępniania zbiorów czynią to głównie za pomocą legislacji. Jako wyróżniającą się wypada wymienić uchwaloną dzięki inicjatywie Amerykańskiego Stowarzyszenia Bibliotekarzy (the American Library Association/ALA/) Ustawę o prawach biblioteki (the Library Bill of Rights) w 1948 r., nowelizowaną w 1951 i 1961 r. W punkcie pierwszym Ustawy czytamy, iż biblioteka gromadzi materiały biblioteczne uwzględniając ich informacyjną i oświatową, przydatność dla wszystkich obywateli danej społeczności lokalnej. Żadna książka nie może być dyskryminowana z powodów rasowych, narodowych albo z racji politycznych czy religijnych przekonań. Z biblioteki może korzystać każdy

obywatel niezależnie od tego, jaką narodowość czy rasę reprezentuje, jakie ma przekonania polityczne lub do jakiej gminy wyznaniowej należy¹¹. Ustawę o prawach biblioteki wspierały opinie czołowych bibliotekarzy amerykańskich. Wobec nasilających się zarzutów o niemoralność lub szerzenie idei komunistycznych przez poszczególnych pisarzy, których utwory znajdowały się na bibliotecznych półkach zabrał głos profesor Leon Carnovski, twórca Szkoły Bibliotekarskiej przy Uniwersytecie w Chicago. Stwierdził on mianowicie, że za dobór piśmiennictwa w bibliotece odpowiedzialny jest bibliotekarz, a jeżeli znajdzie się jakiś obywatel, którego treść książki gorszy moralnie, to niech jej po prostu nie czyta, ale niech nie próbuje pozbawiać prawa do lektury innego czytelnika. Carnovski odmawiał kompetencji komukolwiek do ferowania wyroków, czy książka jest moralna czy nie, dowodząc złożoności każdego zjawiska literackiego i dużego zróżnicowania w odbiorze jej treści przez indywidualnych czytelników. Jako dowód przytaczał poszczególne werdykty sądu najwyższego, które nigdy nie były uchwalane jednogłośnie¹².

Pewne podobieństwa z ustawą amerykańską wykazuje duńska ustawa o usługach bibliotecznych z 17 maja 2000 r. Na pierwszym miejscu znalazło się stwierdzenie, iż powinnością bibliotek publicznych jest promowanie informacji, oświaty, aktywności kulturalnej poprzez dostępność książek, czasopism, książek mówionych i innych materiałów takich jak nagrania muzyczne, źródła informacji elektronicznej, włączając w to Internet i multimedia. W drugim punkcie ustawy stwierdzono, że biblioteki publiczne gromadzą materiały kierując się wyłącznie ich wartością jakościową. Zgodnie z przyjętymi kryteriami merytorycznymi przy podejmowaniu decyzji nie można kierować się względami religijnymi, moralnymi lub politycznymi. W sformułowaniu tym zawiera się nieograniczone prawo czytelnika do korzystania z różnych źródeł i materiałów bez względu na zawarte w nich poglądy i idee, ale też i przestroga dla bibliotekarzy, by kompletując zbiory kierowali się wyłącznie ich przydatnością informacyjną, pozostawiając na boku własne poglądy i przekonania.

Ten liberalny punkt widzenia budzi u wielu zastrzeżenia. Dotyczy to również polskiego środowiska bibliotekarskiego, w którym wychowaw-

¹¹ *The Library Bill of Rights*. „Illinois Libraries”. 1966 nr 5 s. 37.

¹² L. Carnovski: *The obligations and responsibilities of the librarian concerning censorship*. „Library Quarterly” 1950 nr 1 s. 21-32.

cze funkcje biblioteki są w dalszym ciągu żywe. A gdzie mowa o wychowaniu, tam odpowiedzialność za udostępniane treści jest oczywista. Treści te dotyczą nie tylko materiałów drukowanych, ale również audiowizualnych, fotografii, ilustracji, plakatów, filmów gromadzonych tradycyjnie przez biblioteki i dostępnych od kilkunastu lat w Internecie. Mimo skrajnie liberalnych przepisów w Stanach Zjednoczonych biblioteki nie godzą się na udostępnianie dzieciom i młodzieży materiałów pornograficznych i obscenicznych i mimo licznych protestów starają się blokować dostęp do nich, zwłaszcza w Internecie.

Ustawa z 12 maja 2000 r. o bibliotekach wydana na Słowacji o określa zasady funkcjonowania bibliotek w ramach systemu bibliotecznego, na który składają się: Słowacka Biblioteka Narodowa, biblioteki akademickie, biblioteki szkolne i biblioteki specjalne. Głównym zadaniem tego systemu jest rozwijanie biblioteczno-informacyjnych usług dla społeczeństwa, ochrona zbiorów historycznych. Obowiązkiem biblioteki jest zapewnienie swobodnego dostępu do informacji oraz zaspokojenie kulturalnych, informacyjnych, naukowych i oświatowych potrzeb, wspomaganie kształcenia ustawicznego i rozwoju duchowego. W tekście słowackiej ustawy nie ma ani słowa na temat uprawnień czytelnika i użytkownika informacji, ani też o uprawnieniach bibliotekarzy w zakresie doboru piśmiennictwa.

Liberalnych deklaracji na temat dostępu do zbiorów bibliotecznych nie zawierał żaden z międzywojennych projektów polskiej ustawy bibliotecznej. Dopiero w Dekrecie z dnia 17 kwietnia 1946 r. o bibliotekach i opiece nad zbiorami bibliotecznymi jest mowa, że biblioteki powszechne służą czytelnictwu w najszerszym zakresie wychowaniu społecznemu, kształceniu ogólnemu i zawodowemu oraz kulturalnej rozrywce wszystkich obywateli Państwa lub określonego terenu. Uznawano powszechne prawo dostępu do książki i oświaty za pośrednictwem bezpłatnych bibliotek publicznych, respektowanie zainteresowań i potrzeb różnych środowisk, ale jednocześnie postulowano wykluczenie z księgozbiorów książek pozbawionych istotnej wartości tak pod względem treści, jak i formy artystycznej, a więc jak to formułowała Wanda Dąbrowska „... wszelką zdecydowaną tandetę literacką, książki o ujemnym wpływie moralnym (pornografia, sensacja), a także literaturę treści antypaństwowej, wyraźnie tendencyjnej i demagogicznej”¹³. O ile można było

¹³ W. Dąbrowska: *Nowoczesne ustawodawstwo w zakresie bibliotek publicznych*. Warszawa 1929 s. 8.

godzić się na eliminowanie tandety, o tyle ocena literatury antypaństwowej nie mogła być jednoznaczna. *Kariera Nikodema Dyzmy*, *Przedwiośnie* dalekie były od apologii systemu politycznego i dla wielu były książkami wręcz obrazoburczymi.

Nieco inaczej formułowała te ograniczenia w doborze książek dla bibliotek ustawa o bibliotekach publicznych (1925) na Słowacji. Zabraniała ona włączania utworów bezwartościowych pod względem treści i formy artystycznej, utworów o charakterze niemoralnym, publikacji tendencyjnie uwłaczających poszczególnym stanom lub warstwom społecznym oraz utworów skierowanych przeciw istnieniu i całości Państwa Czechosłowackiego. Dlatego też specjalna Komisja do wyboru dobrej lektury dla bibliotek publicznych zestawiała katalogi książek mających istotną wartość między innymi dlatego, żeby gminy uniknęły wydatków na książki, które nie będą mogły znajdować się w bibliotekach.

Zgodnie z rodzimą tradycją głównym zadaniem bibliotek było poprzez dobór wartościowych książek i ich udostępnianie wychowywanie jednostki i społeczeństwa. Nie przypuszczano wówczas, że to czynniki zewnętrzne będą decydowały o tym, co jest wartościowe a co szkodliwe, jakie książki można wprowadzić do zbiorów, a jakie należy eliminować i nie dopuszczać do obiegu czytelniczego.

Dopiero w Ustawie z dnia 27 czerwca 1997 r. o bibliotekach zrezygnowano z wychowania na rzecz zaspokajania potrzeb oświatowych, kulturalnych i informacyjnych całego społeczeństwa oraz upowszechniania wiedzy i kultury. Takie ujęcie zadań bibliotecznych jest o wiele bezpieczniejsze niż to, które zawierał Dekret o bibliotekach, niemniej jednak brakuje w ustawie tego, co wydaje się najważniejsze, a mianowicie pełnej autonomii biblioteki w zakresie gromadzenia zbiorów.

Nowa ekipa polityczna, która przejęła władzę w Polsce w 1945 r. traktowała słowo drukowane (głównie książki i prasę) dwojako. Jako, z jednej strony główne narzędzie oddziaływania ideologicznego. Było to o tyle uzasadnione, że przy nikłym rozwoju radiofonii (o telewizji wiedzieli nieliczni) nie miało ono konkurencji. To tym między innymi można tłumaczyć zapał, z jakim nowa władza przystąpiła do likwidacji analfabetyzmu. Brakuje dokładnych danych, ale przyjmowano wówczas, że około 3,5 mln mieszkańców Polski nie umiało czytać i pisać. Żeby upowszechnić wizję lepszego świata i zwalczać to, co władza uważała za wsteczne, trzeba było upowszechnić piśmienność. U podłoża tych dzia-

łań tkwiła wyniesiona z XIX w. wiara w moc oddziaływania słowa drukowanego. Wierzono, że człowiek czytający książki antyreligijne przestanie chodzić do kościoła oraz, że wzbudzą one gniew przeciwko niesprawiedliwości społecznej, krzywdzie, upośledzeniu i wyzyskowi warstw chłopskich i robotniczych w państwach i społeczeństwach kapitalistycznych.

Drugim, równie ważnym elementem były doświadczenia czytelnicze okresu międzywojennego. Dostarczały one licznych dowodów świadczących o znaczeniu formacyjnym literatury pięknej, a w związku z tym o toczonych sporach na temat poszczególnych autorów i tytułów. Środowiska zachowawcze przestrzegały przed wprowadzaniem do bibliotek samorządowych książek wywrotowych i podburzających. Zaliczano do nich między innymi Finka – *Jestem głodny*, Buck – *Błogosławiona ziemia*, Świętochowskiego – *Historia chłopów*, Kruczkowskiego – *Pawie pióra*, Dąbrowskiej – *Na rozdrożu*, Żeromskiego – *Przedwiośnie*. Te zastrzeżenia dotyczyły głównie samorządowych bibliotek publicznych (było ich 884), natomiast stanowiące znakomitą większość (8098) biblioteki społeczne zakładane przez liczne organizacje i stowarzyszenia np.: Towarzystwo Czytelń Ludowych, Towarzystwo Szkoły Ludowej, Towarzystwo Uniwersytetu Robotniczego, Centralny Związek Młodzieży Wiejskiej, Polski Biały Krzyż, Związek Nauczycielstwa Polskiego kompletowały i udostępniały swoje zbiory zgodnie z ideowymi założeniami, sformułowanymi w programach i statutach¹⁴.

Dla nowych władz ekonomiczny i techniczny aspekt książki miał niewielkie znaczenie. Tradycyjny system wydawniczy, w którym książka była towarem a jej regulatorem na rynku była podaż i popyt oraz wynikający z nich zysk, była nie do przyjęcia. Znosząc te mechanizmy zakładano w przyszłości upaństwowienie fabryk papieru i drukarni. „W sierpniu 1944 r. pisze Stanisław Kondek – w Resorcie Bezpieczeństwa Publicznego PKWN utworzono Wydział Cenzury, przemianowany w styczniu 1945 r. na Centralne Biuro Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, które z kolei w listopadzie 1945 r. przekształcono w Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk podporządkowany formalnie Prezydium

¹⁴ J. Kołodziejska: *Publiczne biblioteki samorządowe w okresie międzywojennym*. Warszawa 1967.

Rady Ministrów. Działania cenzury prewencyjnej zalegalizowano dopiero w połowie 1946 r. GUKPPiW kontrolował nie tylko teksty zabraniając lub godząc się na ich opublikowanie, ale wyposażono go także w środki pozwalające na egzekutywę decyzji, umożliwiające skuteczne regulowanie dostępu wydawców niezależnych do papieru drukowego i usług zakładów graficznych”¹⁵. Poprzez likwidację wolnego rynku papieru i usług drukarskich, podporządkowaniu ich instytucjom państwowym i wprowadzeniu zasad reglamentacji i przydziałów nic już nie stało na przeszkodzie do całkowitego podporządkowania ruchu wydawniczego przez jeden ośrodek władzy.

Zniesienie cenzury państwowej w 1990 r. uwolniło jednostkę i społeczeństwo od lęku przed nieprawomyślnymi wypowiedziami, ale nie zlikwidowało całkowicie obaw przed cenzurą społeczną, środowiskową, zawodową, partyjną, kościelną. Jednostce nie jest to obojętne, jakie skutki wywoła jej publiczna wypowiedź słowna, zwłaszcza gdy zostanie powtórzona w środkach masowego przekazu albo opublikowana. Toteż w sądach zarościło się od pozwów o obrazę, pomówienia, deprecjację. Skarżą się nie tylko politycy, osoby działające publicznie, ale i zwykli obywatele. Repertuar jest szeroki. Od stwierdzeń, że ktoś jest oszustem, przestępcą, złodziejem aż po pomówienia o czary.

¹⁵ S. Kondek: *Kontrola, nadzór, sterowanie. Budowa państwowego systemu wydawniczego w Polsce w latach 1945-1951*. W: *Piśmiennictwo – systemy kontroli – obiegi alternatywne*. T. 2. Warszawa 1992 s. 203.

Rozdział XI

OKNO NA PODWÓRZE CZY SZYBA PANORAMICZNA

Po wejściu do biblioteki rzuca się w oczy jej wyposażenie. Współcześnie jest ono wyraźnie zróżnicowane. Od skomputeryzowanej Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego, nowocześnie wyposażonej Biblioteki Śląskiej czy Publicznej w Bogatyni po bibliotekę szkolną w Czarnej Górze, w której drewniane regały i kilka stolików symbolizują dumne hasła, że biblioteka jest zapleczem szkoły, pomaga, kształci, wychowuje i coś tam jeszcze. W znakomitej większości bibliotek publicznych przeszłość przeplata się z nowoczesnością. Znajdujemy więc na widoku szafki katalogowe, stoły, krzesła, biurka, półki, półeczki, kwiaty doniczkowe, tu i ówdzie komputery. Oczywiście, także książki, czasopisma, materiały audiowizualne, najczęściej płyty. Chciałoby się powiedzieć, że tak było od niepamiętnych czasów, odkąd istnieją biblioteki. Dla wielu czytelników biblioteka jest niszą, w której zatrzymał się czas, ot taka wymyślona przez Holendrów „Silent library”. Bibliotekarze patrzą na to różnie. Dla jednych najważniejsze jest, żeby było dużo nowych książek, gdyż tego domagają się czytelnicy. Dla innych to, że biblioteka nie jest skomputeryzowana, bez dostępu do Internetu jest czymś żenującym.

Niezależnie jednak od tego, czy się widzi bibliotekę jako placówkę tradycyjną, czy też chciałoby się ją unowocześnić, większość bibliotekarzy skupia swoją uwagę na tym, co jest w jej wnętrzu. Katalogowanie, klasyfikacja, ustawienie książek na regałach, sprawozdawczość, skrupulatne liczenie czytelników, wypożyczeń, udzielonych informacji. Pra-

wie wszyscy są przekonani o ważności swojej pracy, choć oczywiście niedocenianej przez władze, o misji, którą pełnią, w czym utwierdzają ich pełne optymizmu stwierdzenia w podręcznikach fachowych oraz opracowaniach monograficznych. To z nich bibliotekarze pracownicy wypisują zapewnienia autorów, że biblioteka pomaga w zdobywaniu wiedzy, pośredniczy w przepływie informacji, ale też dostarcza godziwej rozrywki, integruje środowisko lokalne, upowszechnia wartościowe piśmiennictwo, wpływa na kształtowanie się społeczeństwa obywatelskiego, stanowi część społeczeństwa informacyjnego, które jest tuż za progiem. A wszystko to dzieje się gdzieś daleko za górami i lasami i właściwie nie ma większego wpływu na codzienną krzątanię.

Tylko nieliczni bibliotekarze domyślają się, że coś się zmienia za oknami biblioteki i próbują je otworzyć na oścież. Widzą oni zmiany, które cieszą, ale też niepokoją. Bibliotekarka z Targówka napisała, że z okna swojej biblioteki widzi, jak zmienił się wygląd trzydziestoletnich bloków mieszkalnych, jak je w ostatnich latach ocieplono, odmalowano, jak ludzie wymienili w nich okna, wyrzucili stare, sfatygowane meble. Między blokami i podwórkami na parkingach, wszędzie gdzie jest skrawek miejsca stały samochody. Nie ma już wśród nich maluchów nawet polonez trafia się rzadko. W ciągu kilkunastu lat Polacy przesiedli się z byle jakich do markowych samochodów.

Z okna biblioteki widać młodą matkę – Wietnamkę, jak pcha wózek z niemowlęciem a obok szczebiocze po polsku czterolatek, który już jest teź biblioteki czytelnikiem. Kto by przypuszczał, że ci pracownicy ludzie, szukający miejsca na ziemi, zawędrują do naszego kraju wtapiając się w naszą społeczność. Przy okazji warto pamiętać, że gdzieś tam w dalekich krajach nasi też próbują zapuścić korzenie.

Bibliotekarka widzi też, że od paru lat dzieci nie grają w dwa ognie, w ogóle nie wiedzą co to za gra. Z obowiązku muszą dodać, że na moim podwórku zastawionym samochodami też cisza, jeszcze parę lat temu słysząc było gwar, dzieci grały w piłkę, dziewczynki na chodnikach w klasy. Gdzie one teraz bawią się po lekcjach, gdzie nawiązują przyjaźnie, gdzie toczy się walka o podwórkowe przywództwo. Nie trudno zgadnąć. Zasiadły przed telewizorami i żeglują w Internecie.

Z okna biblioteki na Targówku widać siedzących na ławeczkach emerytów. Tu się wiele nie zmieniło, tyle że dołączyli do nich bezrobotni w sile wieku. Kierowca po pięćdziesiątce, którego nikt nie chce zatrud-

nić, poszukujący bezskutecznie pracy absolwent technikum, były właściciel „małej gastronomii” któremu się nie udało i inni. Bibliotekarka obserwuje z niepokojem, jak na jej oczach tworzy się grupka ludzi wykluczonych z rynku pracy i z życia społecznego. Są to obserwacje w mikroskali, ale mają one szersze odniesienia, o których będzie mowa dalej.

Obserwacje poczynione na Targówku nie dadzą się porównać z sytuacją na wsi czy w małym miasteczku. Bibliotekarka szkolna z Sandomierskiego docenia zmiany, które się dokonały w ostatnich latach wokół biblioteki, a dokładniej szkoły. Wybudowano oczyszczalnię ścieków, przeprowadzono sieć wodociągową i gazową, zmieniła się korzystnie telekomunikacja. Mieszkańcy zadbali o czystość i wygląd swoich domów, wyremontowano szkołę i wyposażono ją w dwie sale komputerowe, świetlicę, siłownię i salę gimnastyczną oraz dobrze zaopatrzoną w nowości wydawnicze bibliotekę. Do tego garnka miodu dostała się jednak łyżka dziegciu.

Przed 1989 r. mieszkańcy tego regionu nie mieli kłopotów ze znalezieniem pracy. Mając ukończoną zawodówkę, jakiś staż w hufcach pracy, mogli łatwo znaleźć robotę w fabryce „Visa” zatrudniającej około 2000 kobiet przy produkcji firanek, w „Siarkopolu” w Tamobrzegu albo przy budowie samolotów w Mielcu. W latach dziewięćdziesiątych kryzys dotknął przemysł siarkowy, hutniczy, zbrojeniowy i lotniczy. Spowodował spadek produkcji i wzrost bezrobocia. Ludzie potracili pracę, zubożeli i zaczęli wyjeżdżać do prac sezonowych, głównie do Niemiec. Wiele rodzin utrzymało, a nawet polepszyło dzięki temu swój status materialny, pokupowali samochody, sprzęt audiowizualny, komputery, a niektórzy nawet pobudowali domy. Jednak koszty związane z nieobecnością rodziców w domu ponoszą dzieci. Patrząc z bibliotecznego okna niby wszystko gra, ale rośnie liczba osób korzystających z opieki społecznej, dyrekcja szkoły głowi się jak dożywić dzieci, kupić bilety dla dojeżdżających z okolicznych wsi. Jest o czym myśleć.

O ile bliższe zjawiska widoczne z okna biblioteki są możliwe do opisanie, o tyle te dalsze, niewidoczne wymagają zgromadzenia wiedzy wykraczającej poza jednostkowe doświadczenia. Bibliotekarze są temu niechętni, między innymi dlatego, że od wielu lat utwierdzano ich w przekonaniu, że najważniejsze zawodowe problemy można rozstrzygać w obrębie nauki o książce, o bibliotece, o informacji naukowej. Nie

zauważano, że ta wiedza nie wystarcza, aby objaśnić to, co dzieje się w społeczeństwie, w gospodarce, kulturze i polityce. Podobnie, jak w tym dowcipie o białoruskim partyzancie, który nie wiedział, że wojna się skończyła pół wieku temu i dalej wysadzał pociągi. Wyglądając przez biblioteczne okno można dostrzec zmiany na osiedlu, sąsiednich ulicach, miejscowym skwerze, koło trzepaka i są one ważne jako wskazówki dla bibliotecznej działalności. To bibliotekarka na Targówku słyszy jak przechodząca młodzież gimnazjalna klnie i szpanuje chamstwem, rozpija puszkę piwa przed wejściem do szkoły, to ją prosi uczennica gimnazjum o coś do czytania, ale żeby było o miłości i żeby książka nie była za gruba. W rzeczywistości losy biblioteki rozstrzygają się gdzieś daleko, gdzie wzrok nie sięga i to tam zapadają decyzje o budżecie, wyposażeniu, zakupie nowości wydawniczych, komputeryzacji itp., bywa, że o dalszym jej istnieniu.

Ledwie z grubsza oswoiliśmy się z transformacją, a mówiąc po ludzku z nagłym przejściem od gospodarki planowej do wolnego rynku, również w zakresie produkcji książki, uwolniliśmy się od cenzury, reglamentacji papieru, mocy a raczej niemocy produkcyjnych drukarni i wydawnictw państwowych, a już wyrasta przed nami zjawisko najmniej rozpoznane, ale jak się wydaje określające przyszłość, a mianowicie globalizacja. Dla jednych jest ona konsekwentnym procesem związanym z rozwojem kapitalizmu, jego nieuchronną fazą, zjawiskiem nieodwracalnym, na który nie mamy wpływu. Dla innych globalizacja jest życiową szansą umożliwiającą ulokowanie się w mniejszościowej grupie beneficjentów, wykształconej głównie w dziedzinie zarządzania przepływem kapitałów, udziałowców wielkich międzynarodowych koncernów, organizatorów produkcji w wielkich firmach, ale też wynalazców i realizatorów programów naukowych itp. Przedstawiciele tej grupy będą mieli pracę, konta w banku, kilka domów w różnych częściach świata, perspektywy kształcenia dzieci w najlepszych szkołach, korzystania ze znakomitej opieki zdrowotnej. Rozmaicie określana większość, populacja pracujących prawdopodobnie ulegnie dalszej degradacji, walcząc coraz mniej skutecznie o zachowanie tzw. miejsc pracy, jakieś minimalne płace, równie niskie emerytury albo zapomogi społeczne. To właśnie ta perspektywa opisywana w licznych publikacjach, jawi się jako zjawisko groźne, antyludzkie, wymykające się spod jakiegokolwiek kontroli społecznej, niezależne od poszczególnych polityk narodowych. Podział

ten służy światowym anonimowym korporacjom, żywi się konfliktami zbrojnymi, które napędzają koniunkturę gospodarczą i niewyobrażalne zyski, a jednocześnie generuje bezrobocie i coraz większą nędzę w krajach Trzeciego Świata.

Fernando Savater – filozof hiszpański w rozmowie z: Arturem Domosławskim tak to widzi. „W naszych społeczeństwach płaca jest ściśle związana ze świadczeniem pracy. Kto nie ma szans na pracę ten nie produkuje, a więc zostaje wykluczony z kręgu wzbogacających się. Kiedyś największym niebezpieczeństwem było to, że kraje imperialne podporządkują sobie biedne kraje. Dzisiaj niebezpieczeństwo polega na tym, że te kraje mogą zostać przez wszystkich zapomniane. W Afryce, w Ameryce Łacińskiej istnieją państwa, o których świat zapomniał. Nie mają możliwości rozwijania się, a ich społeczeństwa nie korzystają z takich zdobyczy jak powszechna oświata czy opieka lekarska. Tak więc największym zagrożeniem dla cywilizacji jest to, że będzie pod kontrolą niewielkiej grupy ludzi, że w podziale dóbr będą miały udział tylko nieliczne kraje. A równocześnie – reszta świata będzie pożerana przez wszechobecną przemoc, różne fundamentalizmy i fanatyzmy”¹.

„Globalizacja – stwierdza Joseph E. Stiglitz – służy dziś potrzebom licznych biednych na tym świecie. Nie służy najczęściej poprawie środowiska naturalnego. Nie służy zapewnieniu stabilności gospodarki światowej. Przejście od komunizmu do gospodarki rynkowej przeprowadzono tak źle, że z wyjątkiem Chin, Wietnamu i nielicznych krajów wschodnioeuropejskich ubóstwo się powiększyło, ponieważ spadły dochody”².

Wielu bibliotekarzom wydaje się, że są to sprawy tak odległe, że nie warto poświęcać im uwagi. Państwo zajmuje się losami Orlenu stwierdziła z oburzeniem znajoma bibliotekarka, zamiast poświęcać uwagę zaniedbanym bibliotekom dziecięcym.

Przywykliśmy, że troska o sprawy kultury, w tym i biblioteki są powinnością państwa, gdy tymczasem jak pisze Jadwiga Staniszkis „...globalizacja sprawiła, że dawne państwo o wyraźnym centrum i hierarchicznie uporządkowanych, jednolitych procedurach już nie istnieje. Przekształciło się w państwo sieciowe (network/state) z pajęczynami powiązań

¹ A. Domosławski: *Świat nie na sprzedaż*. Warszawa 2002 s. 179.

² J. E. Stiglitz: *Globalizacja*. Warszawa 2004 s. 192.

wysuwającymi się często poza nominalne granice i ciągnącymi ku zewnętrznym ośrodkom dyspozycji”³. Może więc dobrze, że państwo zaabsorbowane jest Orlenem, bo to by świadczyło, że mamy ciągle do czynienia z rodzimym rynkiem kapitałowym charakterystycznym dla czasu historycznego, w którym ten rynek funkcjonuje od kilkunastu lat i jest widoczny dla społeczeństwa.

Globalizacja nie jest smokiem wawelskim, ale jak twierdzi prof. Octavio Janni „...zrodziła ją zimna wojna a zintensyfikowała się po jej zakończeniu. W jej wyniku ponadnarodowe korporacje przekształciły się w wielkich aktorów gospodarki światowej. Decyzje podejmowały elity polityczne, społeczeństwo nie miało w tych procesach żadnego udziału. W efekcie nastąpiła koncentracja bogactw, niesamowita wręcz kumulacja władzy ekonomicznej, politycznej i kulturalnej (to ostatnie dotyczyło wielkich koncernów medialnych). W wyniku globalizacji świat stanął w obliczu sytuacji, w której poważne problemy mające do tej pory wymiar narodowy i lokalny stały się problemami globalnymi”⁴.

Odwołując się do polskich doświadczeń można stwierdzić, że upadek koncernu Daewoo lub jego reorganizacja w Korei Południowej wpływają na upadek jego filii na naszym gruncie przysparzając kłopotów gospodarczych, zwiększając bezrobocie i tym samym powiększając grupy ludzi wykluczonych, popadających w biedę ze wszystkimi tego społecznymi konsekwencjami.

To, co stanowiło jeszcze niedawno osiągnięcia krajów demokratycznych, a mianowicie redystrybucja środków finansowych pochodzących z budżetu państwa, przeznaczanych na oświatę, opiekę zdrowotną, kulturę, pomoc socjalną i wiele innych zdobywszy rozsypuje się na naszych oczach. Dzieje się tak, ponieważ słabną podstawowe funkcje państwa wypierane przez wielkie korporacje i banki. Ten wpływ ponadnarodowych organizacji i struktur dotyczy nie tylko spraw inwestycyjnych, zastosowania nowych technologii, ale również mentalnych i ideologicznych. Świadczy o tym publicystyka i wypowiedzi naszych rodzimych, dogmatycznie myślących liberałów zapatrzonych w rynek, prywatną własność, efektywność i zysk. W gospodarce planowej liczył się wzrost produkcji. Ciągłe niedobory, właściwie wszystkiego, czym dysponował

³ J. Staniszkis: *Władza globalizacji*. Warszawa 2003 s. 17.

⁴ A. Domosławski: op. cit. s. 106.

rynek i co za pośrednictwem rozbudowanego aparatu administracyjnego trzeba było reglamentować i dzielić, zastąpiła wiara w niewidzialną rękę rynku. Bardzo szybko okazało się – jak twierdzi Jadwiga Staniszkis „że niewidzialna ręka globalizacji wygrała z niewidzialną ręką rynku”⁵. Bibliotekarze przecierają oczy widząc, jak struktury własnego państwa usiłują przerzucić na społeczeństwo wszystko, co nie jest wymiernym zyskiem. A więc w kodeksie pracy ograniczyć nabyte prawa pracowni-
cze, żadne tam etaty z opłacanymi składkami na ubezpieczenia zdrowotne i przyszłe emerytury, tylko umowy-zlecenia z możliwością wypowiedzenia pracy z dnia na dzień, bezkarnego wykorzystywania pracy ponadgodzinowej bez żadnej zapłaty, nieograniczonej dyspozycyjności pracownika, a wszystko to przy akompaniamencie postulatów zmniejszenia podatków bogatym, poddania lecznictwa konkurencji i odpłatności, podobnie szkolnictwa. Tym, którzy się w tym nowym ładzie nie zmieszczą, wypadną za burtę rynku pracy, ubogim i życiowo niezaradnym, niepełnosprawnym i innym nieudacznikom pozostaje pomoc filantropijna. Mogą to być datki zamiast kwiatów na ekskluzywnej garden party albo dochody z balu dobroczynnego dla beneficjentów rynku.

„Jestem już dwa lata po studiach – wyznała mi moja studentka – i jeszcze nie przepracowałam ani miesiąca na jakimś kawałku etatu. Jak się coś trafi to na umowie-zleceniu, po trzech miesiącach próbnych słyszę, że dziękujemy i zaczynam szukać od nowa”. Tak więc to, co wydawało się odległe, staje się codzienną praktyką dla jednostek i całych grup społecznych.

Hasła „państwo ci nie pomoże, pomóż sobie sam”, „bierz sprawy w swoje ręce”, „dać wędkę a nie rybę” i wiele innych podobnych zawołań biorą się z dziesięciopunktowego konsensusu waszyngtońskiego, opracowanego przy współudziale Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Kodeks ów zakładał redukcję deficytu budżetowego, ograniczenie wydatków publicznych, wycofanie się państwa z polityki socjalnej, prywatyzację, zniesienie barier w handlu międzynarodowym, ochronę praw autorskich. Pogram ten był przeznaczony przede wszystkim dla zadłużonych krajów Trzeciego Świata. Miał doprowadzić do uruchomienia odpowiednich mechanizmów wewnątrz zadłużonych gospodarek, aby z czasem były w stanie spłacić wierzytelności bankowe.

⁵ J. Staniszkis: op. cit. s. 118.

Praktyczne efekty tej neokonserwatywnej rewolucji, której jakąś część obserwujemy w naszym kraju okazały się wręcz tragiczne. Zarówno w Brazylii, jak Argentynie, Meksyku, Peru, Kolumbii, Boliwii, Wenezueli miliony ludzi nie mają szansy na inicjatywę ani indywidualną zaradność – pisze w swojej niezwykle interesującej książce Artur Domosławski. Część z nich bierze sprawy w swoje ręce, za pomocą noża i pistoletu. Recepta neoliberalna zepchnęła setki tysięcy ludzi na margines cywilizacji, powiększyły się i tak niemałe rozmiary slumsów okalających wielkie metropolie, w których króluje bezprawie, przemoc, prostytutka, handel narkotykami, gdzie nie ma opieki medycznej, ani szkół, gdzie szerzy się analfabetyzm. O bibliotekach nikt nie myśli, bo i po co, raczej przydałyby się punkty sanitarne⁶.

Kraje Ameryki Łacińskiej, o których pisze Artur Domosławski są daleko. Nie zobaczy się ich z okna biblioteki publicznej na Targówku, ale lektury stojące na bibliotecznych półkach dają do myślenia, a może i działania, by nie dopuścić do tego, co stało się udziałem opisywanych krajów. Mamy w Polsce ponad 5 mln niepełnosprawnych, czy są jakieś szanse by zamiast ryby wzięli wędkę do ręki? Czy przypadkiem zastawszy się z poprzednią, nie tworzymy nowej utopii? Jako wieloletnia taterniczka wiem, że w górach trzeba się trzymać oznakowanego szlaku i nie próbować iść na skróty, bo nic z tego dobrego nie wyjdzie. Można połamać kończymy i wołać na pomoc chłopców z Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego.

Anty czy alteroglobalizm przybiera różne formy, często skrajne, ale ciekawe wydają się inicjatywy podejmowane w Brazylii, ostatnio w Porto Alegre, gdzie na początku lat dziewięćdziesiątych powstały rady ludowe uczestniczące w planowaniu budżetu miasta i redystrybucji dochodów na rzecz najuboższych. Mieści się w niej budowa bloków mieszkalnych, szkół, przychodni zdrowia, boisk, parków w najbiedniejszych dzielnicach miasta.

Lewicowy zarząd miasta wspólnie z radnymi ludowymi wyraził zgodę na budowę supermarketu w zamian za jednoczesne wybudowanie mieszkań dla kilkuset rodzin żyjących w slumsach. Lewica w Porto Alegre zdobywa ciągle zwolenników i wygrywa kolejne wybory, ostatnio na gubernatora stanu Rio Grandede Sul. Szkoda, że podczas wiosennego

⁶ A. Domosławski: *Gorączka latynoamerykańska*. Warszawa 2004 s. 273-274.

Forum Ekonomicznego w Warszawie w 2004 r. alteroglobaliści nie mieli okazji spotkać się z naszymi organizacjami pozarządowymi, a zwłaszcza studentami. Może byłoby o czym porozmawiać i czego się dowiedzieć. Zamiast tego widzieliśmy pokaz sił porządkowych ochraniających niewielką grupę VIP-ów. Nie przedostało się do opinii publicznej, nad czym ono debatowało, co uchwaliło.

Słyszymy i czytamy o wpływie, jaki ma informatyka na życie jednostki i grup społecznych, zachwycamy się możliwościami, jakie w dziedzinie informacji stwarza Internet, ale zasób naszej wiedzy o tym, co widać z okna biblioteki na Targówku i zmian zachodzących w świecie jest ciągle niewielki. Efekt jest taki, że boimy się zmian, których nie jesteśmy w stanie rozpoznać, nazwać i określić. W postawach tych mieszczą się obawy o przyszłość, niewiara we własne siły, upowszechniają się postawy bierne według niezbyt eleganckiego porzekadła „Żryjcie mnie. muchy”. Tymczasem jak pisał w ostatniej swojej książce Jacek Kuroń „Musimy szukać nowych rozwiązań”. Po prostu dlatego, że nie da się wrócić do biurokratycznego socjalizmu ani do klasycznego kapitalizmu. To tak jakbyśmy stanęli na środku długiego mostu. J. Kuroń widzi i cytuje fakty ogólnie znane i powtarzane przez wielu autorów: redukcję zatrudnienia z jednej strony i beneficja zwolenników i uczestników systemów globalizacyjnych, z drugiej znaczenie nowych technologii ale i skutki w postaci marginalizacji wielu zawodów, utratę poczucia bezpieczeństwa wśród jednostek i grup społecznych, wycofywanie się państwa z jego tradycyjnych powinności opiekuńczych wobec obywateli, rosnące dystanse społeczne w dziedzinie materialnej ale też w dostępie do kultury, głównie do wykształcenia i opieki zdrowotnej.

„Wspólna Europa – pisze – jeśli ma być czymś więcej niż Wspólnym Rynkiem, musi ujednolicić politykę socjalną i podatkową, a także prawo pracy. Potrzebujemy wielkiego programu redystrybucji z bogatego Zachodu na ubogi Wschód kontynentu. Musi się ona jednak dokonać poprzez programy wspólnotowe, a nie obłudne konkurowanie inwestora, realizowane w myśl zasad: My proponujemy wielkiemu biznesowi, jeszcze niższe podatki, My obietniemy do zera wydatki socjalne, My pozwolimy jeszcze bardziej bezwzględnie wyzyskiwać pracowników... Redystrybucja bogactwa z bogatej Północy na peryferie Południa to jedyna droga, by zapobiec wzrostowi poparcia dla religijnych fundamentalizmów i nacjonalizmu. Rzecz w tym, że musimy

zrealizować tę dystrybucję przy użyciu publicznych funduszy i pod demokratyczną kontrolą. W przeciwnym razie niekontrolowane siły rynkowe zniszczą do końca systemy społeczne Północy, a jednocześnie wepchną w głąb nędzy słabo rozwinięte gospodarki Południa⁷.

Jacek Kuroń był realistą i marzycielem jednocześnie. Zdawał sobie sprawę, że jeszcze przez kilkanaście lat większość ludzi będzie żyć w warunkach zdziczałego kapitalizmu, ale żeby go ośwoić i ucywilizować potrzeba wielkiej powszechnej edukacji, która umożliwi jego rozpoznawanie i przezwyciężenie. Świata nie zmienia na lepsze analfabeci, ale ludzie światli i wyedukowani. Toteż rządy poszczególnych krajów, Unia Europejska powinny podjąć trud opracowania programu globalnej edukacji powszechnej. To jest inwestycja, która się prostu wszystkim opłaca.

Może więc warto skrzyknąć ludzi rozumnych, którzy zaczną nad tą perspektywą debatować. Od czegoś trzeba zacząć. Nie są to tylko marzenia J. Kurania. O potrzebie zmian i poddaniu społecznej kontroli procesów globalizacyjnych pisze wspomniany już jego znawca i przez wiele lat zwolennik J. E. Stiglitz. Według niego globalizację można i trzeba ukształtować na nowo „...tak, by wykorzystać potencjał dobra w dziedzinie możliwości rozwoju handlu i zwiększenia dostępu do rynków i technologii oraz poprawy poziomu zdrowotności i powstania aktywnego globalnego społeczeństwa obywatelskiego, walczącego o większą demokrację i większą sprawiedliwość społeczną”⁸.

Tak więc poglądy społecznika zostały wsparte przez ekonomistę i noblistę, któremu zyski i efektywność wielkich koncernów nie przesłoniły ludzkiej biedy. Potrzebna jest reforma instytucji międzynarodowych, zwłaszcza Międzynarodowego Funduszu Walutowego oraz Banku Światowego, które rządzą globalizacją. Trzeba naprawić ich działania i skierować na tory służby potrzebom miliardów ludzi, a nie tylko wybranej elitarnej garstki. Wyglądając przez biblioteczne okno można dostrzec, że nie dotyczy to tylko anonimowego, niewidzialnego świata, ale naszego polskiego podwórka. Najbardziej bolesnym widokiem, który obserwuje niemal każdy jest bezrobocie. Wypada więc poświęcić mu nieco uwagi.

⁷ J. Kuroń: *Rzeczpospolita dla naszych wnuków*. Warszawa 2004 s. 41.

⁸ Stiglitz: op. cit. s. 193.

Ma ono różne oblicza. Samo zjawisko jest znane i występowało w krajach europejskich, zarówno między dwiema wojnami, jak i wcześniej. Również w Polsce. Skala tego zjawiska w Niemczech w latach trzydziestych doprowadziła do systemu totalitarnego i wyniosła Hitlera do władzy. Na początku XX w. miały miejsce wielkie fale emigracji z Europy Zachodniej do Stanów Zjednoczonych. To była emigracja ekonomiczna, za chlebem. W końcu XIX w. Irlandczyków do emigracji zmusił głód. Proces ten przebiegał w warunkach dramatycznych. Do dziś wątek bezrobocia przewija się w literaturze, jak i w kinematografii amerykańskiej. Europejczycy wypierali tubylców (Indian, Aborygenów, Murzynów) spychając ich roli najtańszej siły roboczej w kopalniach i na plantacjach, albo po prostu unicestwiając fizycznie. Imigranci – jak pisze Zygmunt Bauman – przemieszczali się z obszarów intensywnie się modernizujących na tereny słabiej rozwinięte.

Współcześnie te emigracyjne drogi prowadzą w odwrotną stronę – z krajów biednych, zacofanych cywilizacyjnie do tych, które osiągnęły widoczny stopień bogactwa. Z Iraku, Angoli, Ruandy, Etiopii, Iranu, Afganistanu, Pakistanu, Bangladeszu ale też z Turcji, Rumunii, krajów azjatyckich byłego Związku Radzieckiego i wielu innych, w jakimś stopniu również z Polski. W przeciwieństwie do bezrobotnych, którzy we własnym kraju mogą mieć nikłą, bo nikłą ale nadzieję, że wrócą na rynek pracy, bo może otworzą się nowe inwestycje, zintensyfikuje budownictwo mieszkaniowe, powstaną nowe typy usług itp. Nowoczesne fale imigrantów odpychane od granic przez kraje bogate, są dla modernizującego się globalnego świata zupełnie bezużyteczne. To są ci ludzie wykluczeni z rynku pracy i wypchnięci z własnych społeczeństw, bez szans na asymilację w kraju, do którego udało im się dotrzeć, czasami w dramatyczny sposób. To oni zapełniają obozy dla uchodźców oczekując pomocy humanitarnej, zamieszkują dzielnice wielkich metropolii tworząc swoiste getta, fawele ze wszystkimi społecznie negatywnymi konsekwencjami. Bez wykształcenia, znajomości języka, jakichkolwiek zasobów pieniężnych ludzie ci zyskują szybko status wykluczonych, odgradzonych od miejscowego społeczeństwa niechęcią, nieufnością i obawą. I jest to wstęp do powstawania gangów handlu narkotykami, wszelkiej przestępczości i rozbojów.

Nowe technologie informacyjne, komputeryzacja produkcji i wszelkiego typu usług bankowych, inwestycyjnych, handlowych sprawiają, że

coraz więcej ludzi traci pracę i trafia do społeczności bezrobotnych, albo co gorsza do wykluczonych. Dotyczy to nie tylko ludzi niewykształconych, imigrantów, azylantów, ale również osób z dyplomami akademickimi. Modernizacja redukuje zatrudnienie, efektywność i zysk jeszcze intensywniej wypycha ludzi pracy najemnej na obrzeża rynku. Dotyczy to również naszego kraju. Reguły gry są twarde: albo wzrost wydajności pracy dzięki modernizacji i redukcji zatrudnienia, albo mniejszy zysk, ale powrót do pracy prostej, dającej szansę na zwiększenia zatrudnienia. Jakie przedsiębiorstwa i instytucje usługowe mogą sobie na to pozwolić. Możemy zabronić supermarketom handlu w niedzielę, a one natychmiast zwolnią pracowników. I kto ich wtedy zatrudni?⁹

Coraz ciśniej robi się na rynku pracy. Również w Polsce. W bibliotekach pojawiają się bezrobotni. Nie bardzo wiadomo, co mamy im do zaoferowania. Również bibliotekarze nie są wolni od lęków o swoją przyszłość, o tzw. miejsca pracy. Dotyczy to w dużej mierze małych bibliotek, głównie w ubogich gminach wiejskich i małomiejskich. Tu nie chodzi o zysk, ale po prostu o oszczędności budżetowe. Trzeba więc gromadzić argumenty przemawiające za obecnością bibliotek w życiu publicznym. Póki jeszcze czas.

⁹ Z. Bauman: *Życie na przemił*. Warszawa 2004 s. 63.

Bibliografia

1. Bauman Zygmunt: *Życie na przemiał*. Warszawa 2004.
2. „Biblioteki publiczne w liczbach 2004”. Warszawa 2005.
3. Drzewiecki Marcin: *Edukacja biblioteczna i informacyjna*. Warszawa 2005.
4. Domosławski Artur: *Świat nie na sprzedaż*. Warszawa 2002.
5. Domosławski Artur: *Gorączka latynoamerykańska*. Warszawa 2004.
6. Ugrešić Dubravka: *Czytanie wzbронione*. Warszawa 2004.
7. Fadiman Anne: *Exlibris*. Warszawa 2004.
8. Kuroń Jacek: *Rzeczpospolita dla naszych wnuków*. Warszawa 2004.
9. Manguel Alberto: *Moja historia czytania*. Warszawa 2003.
10. Kapuściński Ryszard: *Podróże z Herodotem*. Warszawa 2004.
11. Information for All: *The Key Role of Libraries in the Information Society*. 4 November 2003 IFLA.
12. Kołodziejska Jadwiga: *Drukowany świat*. Warszawa 2003.
13. Postman Neil: *W stronę XVIII stulecia*. Warszawa 1999.
14. Radlińska Helena: *Książka wśród ludzi*. Warszawa 2003.
15. Siekierski Stanisław: *Czytania Polaków w XX w.* Warszawa 2000.
16. Straus Grażyna, Wolff Katarzyna, Wierny Sebastian: *Książka na początku wieku*. Warszawa 2004.
17. Szyszkowska Ewelina: *Odmiany uczuć. Popularny romans kieszonkowy w Polsce 1990-2000*. Warszawa 2003.
18. *100 zakazanych książek*. Warszawa 2004.
19. Tazbir Janusz: *W pogoni za Europą*. Warszawa 1998.
20. Tomkowski Jan: *Zamieszkać w bibliotece*. Odrzywół 2004.
21. Zasacka Zofia: *Wyobrażenia ojczyzny i oblicza patriotyzmu w podręcznikach do języka polskiego dla szkoły podstawowej w latach 1945-1990*. Warszawa 2000.





Naszą najważniejszą serią wydawniczą jest „NAUKA – DYDAKTYKA – PRAKTYKA”



Jest to najdłuższa seria bibliologiczna, jaka kiedykolwiek ukazywała się w Polsce. W ostatnich latach wydaliśmy w jej ramach książki cieszące się dużą popularnością nie tylko w środowisku bibliotekarskim. **Polecamy m.in.:**

- **Bibliografia. Metodyka i organizacja**, t. 38 (red. Z. Żmigrodzki; 2000). Cena 47 zł
- **Praca z użytkownikiem w bibliotece**, t. 41 (J. Wojciechowski; 2000). Cena 30 zł
- **Biblioteki publiczne końca XX w.**, t. 44 (L. Biliński; 2001). Cena 44 zł
- **Dokumenty nieksiążkowe w bibliotece**, t. 46 (D. Grygowski; 2001). Cena 18 zł
- **Biblioteka i informacja w środowisku współczesnej szkoły**, t. 50 (M. Drzewiecki; 2001). Cena 41 zł
- **Książka i biblioteka w środowisku edukacyjnym**, t. 49 (red. E. B. Zybert; 2002). Cena 32 zł
- **Działalność bibliotek publicznych. Standardy międzynarodowe IFLA-UNESCO**, t. 55 (red. M. Kisilowska; 2002). Cena 5 zł
- **Słownik encyklopedyczny terminów i języków informacyjno-wyszukiwawczych**, t. 56 (B. Bojar; 2002). Cena 45 zł
- **Idee a rzeczywistość: bibliotekarstwo pragmatyczne**, t. 54 (J. Wojciechowski; 2002). Cena 22 zł
- **Poeści na tułaczce**, t. 57 (W. J. Podgórski; 2002). Cena 9 zł
- **Biblioteki szkolne. Wytyczne IFLA-UNESCO**, t. 60. Pr. zbiorowa (red. E. B. Zybert; 2003). Cena 10 zł
- **Współczesna prasa kobieca a sprawy książki**, t. 66. (K. Wodniak; 2004) Cena 10 zł
- **Jakub Wujek – pisarz, tłumacz, misjonarz**, t. 71 (D. Kuźmina; 2004) Cena 10 zł
- **Językoznawstwo dla studentów informacji naukowej**, t. 74 (B. Bojar; 2005). Cena 40 zł
- **Edukacja biblioteczna i informacyjna w polskich szkołach**, t. 75 (M. Drzewiecki; 2005). Cena 20 zł
- **Od informacji naukowej do technologii społeczeństwa informacyjnego**, t. 78 (pr. zb. pod red. B. Sosińskiej-Kalaty i M. Przastek-Samokowej; 2005). Cena 46 zł

**KUPUJĄC NASZE KSIĄŻKI – WSPIERASZ
STOWARZYSZENIE BIBLIOTEKARZY POLSKICH**

WYDAWNICTWO

SBP



Szanowny Czytelniku!

WYDAWNICTWO

SBP



**KAŻDĄ KSIĄŻKĘ NASZEGO WYDAWNICTWA
możesz zamówić:**

Pisemnie – Dział Promocji i Kolportażu
Al. Niepodległości 213
02-086 Warszawa

Telefonicznie – (0-prefiks – 22) 825-50-24, 608-28-26

Faks – (0-prefiks – 22) 825-53-49

E-mail sprzedaz_sbp@wp.pl

24257_{m2}

Seria wydawana z inicjatywy
**INSTYTUTU INFORMACJI NAUKOWEJ
I STUDIÓW BIBLIOLOGICZNYCH
UNIwersYTETU WARSZAWSKIEGO**
oraz
WYDAWNICTWA SBP